

ÅSA LINDERBORG

Nikt mnie nie ma

Powieść nominowana
do Augustpriset
– najważniejszej szwedzkiej
nagrody literackiej





Åsa Linderborg

NIKT MNIE NIE MA

przełożyła Halina Thylwe



Wydano z pomocą finansową Swedish Arts Council

Tytuł oryginału: *Mig äger ingen*

Copyright © Åsa Linderborg, first published by Atlas, Sweden, in 2007

Published by agreement with Norstedts Agency

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXVII

Copyright © for the Polish translation by Halina Thylwe, MMXVII

Wydanie I

Warszawa MMXVII

Spis treści

[Dedykacja](#)

[Nikt mnie nie ma](#)

[Podziękowania](#)

[Przypisy](#)

Amandzie i Maximowi

Nikt mnie nie ma

Portfel taty, wielkości dłoni, jest czarny i lekko wygięty od przebywania w tylnej kieszeni spodni. Zaczęły mu puszczać szwy. Sporo waży, mimo że prawie nic w nim nie ma. W przegródce na banknoty pusto, w przegródce na monety osiemnaście koron i pięćdziesiąt öre.

Za kartą pacjenta książeczka czekowa Nordbanken i karta członkowska 20 Wydziału Metalowego. I pomięty wycinek z gazety ze statystyką sukcesów w bandy Klubu Sportowego Västerås, i znaczek pocztowy z wizerunkiem króla. W innej przegródce nowiutka karta bankomatowa, owinięta w karteluszek ze słowem „flota” i numerem PIN. Na koncie jest dziewięćdziesiąt dziewięć koron. Kiedy tata zmarł, do najbliższej wypłaty zasiłku dla bezrobotnych zostało jedenaście dni.

W portfelu jest też notesik do zapisywania operacji bankowych, w którym tata zapisywał numery telefonów. W pierwszej linijce jest „Åsa” i mój telefon domowy. Pod spodem, trochę grubszym flamastrem – „Alko” i numer, który powtarza się kilka razy. Dalej telefon do najstarszej siostry, Majken, i reszty rodzeństwa, nawet do tych, do których ani myślał dzwonić. Potem najlepsi przyjaciele, Börje i Berit, i długa lista znajomych: Paproch, Czacha, Buster, Wężu, Hoffa, Babben, Kwiatek, Bella, Cycata Britta. Równie starannie zanotował numer telefonu do siostry mamy, Niny, której nie widział od lat.

I dowód osobisty: Leif Boris Andersson, urodzony 15 lutego 1941 roku. Dobre zdjęcie. Poznaje – to on.

W latach siedemdziesiątych, latach mojego dzieciństwa, Västerås było szóstym co do wielkości miastem w Szwecji. Co trzeci jego mieszkaniec pracował w Asei. Większość przepracuje tam całe życie. Zakłady – duże ceglane budynki pochłaniające ludzi – znajdowały się w centrum. Spory kwartał zajmowała Mimerfabriken¹, a dalej, na tej samej ulicy, mieścił się Punkt, największy dom towarowy w mieście.

Tuż po szesnastej rozlegała się syrena i potężne bramy wypuszczały setki jadących na rowerach metalowców. Potok robotników Asei. Po kilku minutach teren fabryczny pustoszał. Mężczyźni i nieliczne kobiety w chustach sunęli zwartą grupą Stora gatan, po czym się rozpraszali, żeby znów się spotkać następnego dnia o siódmej rano. Na ogół byli to rodowici mieszkańcy Västerås, mimo że wielu miało nazwiska włoskie, greckie, jugosłowiańskie i fińskie. Trochę później wsiadali na rowery urzędnicy z mieniącego się błękitem szklanego dużego budynku tuż obok.

Tata pracował w Zakładach Metalurgicznych w okręgu przemysłowym Kopparlunden. Zakłady Metalurgiczne, usytuowane w centrum miasta, składały się z rzędów niskich szeregowców z jasnej cegły, o dwuspadowych dachach, z kominami, gdzie produkowano wyroby aluminiowe i miedziane. Tata hartował stal, którą rozgrzewano w piecach do temperatury przeszło tysiąca stopni. Jestem takim współczesnym kowalem, wyjaśnił mi, kiedy zapytałam, co robi. Ja jednak wyobrażałam go sobie raczej jako poskramiacza smoków. Każdego ranka przebiegle, śmiało i z niebywałą zręcznością podchodzi do potworów z zygzakami na grzbiecie, które zioną dymem spowijającym miasto. Przez całą noc śpią niespokojnie w Kopparlunden i dopiero kiedy zjawia się Tata Poskramiacz Smoków, łagodnieją i posłusznie otwierają ogniste paszcze.

Sześć po szesnastej tata odbijał kartę i dołączał do potoku robotników Asei. Kilka minut później był pod przedszkolem na Viksäng, gdzie na niego czekałam.

Cieszyłam się, słysząc, jak otwiera drzwi i wyciera buty

w wycieraczkę w przedsionku. Żaden inny rodzic nie był tak porządny. Tata mówił, że tylko motłoch i klasa wyższa nie wycierają butów, zanim gdziekolwiek wejdą. Biegłam do niego, obejmowałam za nogi i czułam chłód zielonej nylonowej parki.

– Hej, staraniuniu, fajnie cię widzieć!

Głaskał mnie po głowie, a ja wdychałam zapach jego potu, papierosowego dymu i pilznera. Pokazywałam mu rysunki, które namalowałam: zawsze księżniczki w sukniach ślubnych, z diademem na głowie i w pantofelkach na obcasie.

Pod przedszkolem stał niebieski crescent taty. Tata sadzał mnie na bagażniku i jechaliśmy do babci i dziadka, gdzie w kuchni z błękitnawymi szafkami czekał na nas obiad.

Droga prowadziła obok niskich czynszówek na Viksäng przez podłużną łąkę, okoloną zagajnikami, i ciche osiedle małych i dużych willi z zadbanymi rododendronowymi ogródkami, w których chyba nikt nie chciał przebywać.

Babcia i dziadek mieszkali na Björkgatan 14 na Södra Skiljebo. Dziadek sam postawił ceglany domek. Budował go w weekendy i wieczorami, po dniówce w Zakładach Metalurgicznych, dzięki tanim pożyczkom, jakie Związek Metalowców oferował po wojnie swoim członkom. W całym Västerås roiło się od podobnych domków, których łączna powierzchnia była niewiele mniejsza niż Malmö.

Babcia Ingeborga, na którą mówiło się Bojan, i dziadek zajmowali parter. W pokoju dziadka był telewizor. Nad łóżkiem wisiał obraz kobiety w ognistej żółtej bikini. Leży nad wodą, ma długie czarne włosy i uśmiecha się do patrzącego. Babcię złościł ten obraz, ale dziadek uważał, że kobieta jest do niej podobna w czasach jej młodości. Zanim babcine piersi można było zwijać, tak jak się zwija naleśniki.

W bawialni stał kredens, komplet jadalniany i komplet wypoczynkowy. Z sufitu zwieszał się kryształowy żyrandol z niebieskimi szklanymi profitkami i świecami stearynowymi, które – ani razu niezapalone – pożółkły z biegiem lat. Tam obchodziliśmy tylko święta i rocznice. W dni powszednie siedzieliśmy w małej kuchni.

Na piętrze mieszkał Olle, który też pracował w Zakładach Metalurgicznych, z żoną Märta. Pod spadzistym dachem panował tłumiony, niewypowiedziany smutek, bo nie mieli dzieci, o czym nikt nie mówił.

W garażu zimowała stara żaglówka dziadka, w piwnicy były setki narzędzi i sprzęt wędkarski. W dużym ogrodzie rosły brzozy i polne kwiaty, przypominające o tym, że na nowo wybudowanym osiedlu Skiljebo nie tak dawno temu pasły się krowy.

Babcia spędzała w kuchni długie godziny, przyrządzając tatusine przysmaki. Zupę mięsną z kluskami kładzionymi, eskalopki wołowe, gołąbki, białą kiełbasę, potrawkę w sosie koperkowym, grochówkę,

naleśniki, solone śledzie, śledzie bałtyckie, sztukę mięsa w sosie chrzanowym, purée z brukwi, ziemniaków i marchewki, golonkę wieprzową i isterband, czyli lekko podwędzaną kiełbasę z mięsa wieprzowego, kaszy jęczmiennej i ziemniaków. Dwa razy w tygodniu był sandacz albo okoń, którego dziadek złowił w Mälaren, rzadziej szczupak. Do tego ziemniaki i inne warzywa korzeniowe, nigdy zielone. Mięso było gotowane, ryby smażone. W plastikowych pojemniczkach stały przyprawy: majeranek, cynamon, pieprz biały i ziołowy. Babcia do wszystkiego dodawała ziołowy. Miewałam długie okresy strajku głodowego i wtedy jadłam tylko makaron kolanka na mleku albo naleśniki z kwaśnym musem żurawinowym na surowo, co babcia cierpliwie dla mnie robiła, ilekroć, naburmuszona, kręciłam głową nad jej garnkami.

Kiedy tam przyjeżdżaliśmy, tata nie był miły. Najczęściej jadł w kurtce – o zdjęciu butów nie było mowy – żeby dać do zrozumienia, że on wcale nie chce tam siedzieć. Pochylał się nad talerzem, wycierając twarz, szyję i kark ręcznikiem podsuwanym przez babcie. Pocił się jeszcze parę godzin po pracy przy gorących piecach hartowniczych. Czasami pot spływał szybciej, skapywał na talerz z nosa albo z brody do sosu, który się ścinał, zanim tata zdążył wymieszać widelcem słone krople.

Siedział i milczał. Zagadywany przez babcie albo dziadka, odwarkiwał w odpowiedzi coś, czego nie byli w stanie zrozumieć. Podnosił wzrok znad talerza tylko wtedy, kiedy ja się odezwałam.

– Co ty powiesz, staruszek?

Poza tym było słycać jedynie zgrzyt sztućców taty o talerz, tykanie kuchennego zegara i pomruki leciwej, włączającej się lodówki. Zdarzało się, że tata narzekał na mdły sos chrzanowy – powinien kręcić w nosie – i nie dość gęste purée. Lekkie piwo wypijał szybko.

Babcia nie siadała przy stole, stała przy kuchennym blacie i miała na nas baczenie, dopóki nie skończyliśmy. Wtedy brała kromkę chrupkiego chleba i szklanę odtuszczonego mleka, które zostawiało białe ślady na jej wąskich, czerwono-niebieskich wargach, i kładła na krześle patykowate nogi w kapciach z resztek włóczki.

– Pyszne – mówiła, kosztując mojego wodnistego naleśnika z wodnistym musem żurawinowym.

Każdy posiłek kończył się tą samą konstatacją: ziemniaki Bintje są najlepsze, a najsmaczniejszą białą surową kiełbasę sprzedają w Konsumie². Gdyby nie cholernie wysokie ceny, najchętniej robiliby się zakupy w kooperatywie. Ale przepłacać dwadzieścia pięć öre za kilo! – grzmiał dziadek, który nie miał już sił, żeby uprawiać ziemniaki.

Dziadka Karla nazywano czule Kallem Chwatem, bo często konfabulował. Na przykład kiedy opowiadał o tym, jak to pewnego poranka złowił gołymi rękami dwadzieścia sandaczy i wrzucił je do wody, zostawiając tylko jednego, dla babci. Przecież żaden człowiek nie może zrobić użytku z tylu ryb.

Zanim zaczynał opowieść, przez kilka sekund rozgrzewał się, brał rozbieg. Otwierał i zamykał usta jak ryba wyrzucona na brzeg, mlaskał, jabłko Adama podskakiwało pod chropowatą skórą na chudej szyi, żywe szaroniebieskie oczy poruszały się tam i z powrotem, marszczył czoło, myślał.

I:

– No więc byłem pierwszym profesjonalnym piłkarzem w Szwecji. Tak genialnie strzelałem, że płacili mi za każdą siatę. Zawsze uzbierało się parę ładnych groszy, którymi się potem dzieliłem po równo z chłopakami z drużyny. Pierwszy profesjonalny piłkarz w Szwecji! Dajesz wiarę, dziewczuszko?

Inna jego opowieść, o tym, jak utarł nosa Gunnarowi Strängowi³ w parku Ludowym, za każdym razem stawała się coraz bardziej brawurowa. W pierwszej wersji, być może całkiem prawdopodobnej, dziadek zakwestionował jakieś słowa Stränga, za co dostał gromkie brawa od publiczności. W późniejszej wersji Sträng miał mu odpowiedzieć: „Słuchaj no, Kalle Andersson, masz, kurna, rację!”. W ostatnich wersjach, które słyszałam, dziadek twierdził, że przyparł Stränga do muru i został bohaterem parku Ludowego. Minister finansów uciekł w niesławie, z podkulonym

ogonem, jak wredny kocur Mons.

O swoim nieznanym ojcu dziadek opowiadał dwie różne historie. Pierwsza: Stary zaraził całe Hubbo syfilisem i prysnął do Sztokholmu, gdzie dorosły już dziadek go odszukał i dał mu w mordę. Druga: Stary wyniósł się do USA i tam zginął w bójce w jakimś saloonie.

Na nocnym stoliku dziadka zawsze leżała sterta komiksów *Bill & Ben*, które Olle kupował mu w kiosku na Stockholmsvägen.

Dziadkowe fantazje nie przeszkadzały mu być człowiekiem uczciwym, przyzwoitym i pomocnym. Jako emerytowany robotnik przypominał figurki Döderhultarna⁴. Był żylasty, miał długie ręce, duże dłonie, lekko się garbił i chodził stępem. Jego pociągła twarz o spiczastym nosie była łudząco podobna do twarzy Marcusa Wallenberga. Kiedy zwróciłam mu na to uwagę, jego starcze oczy nagle rozbłysły, wziął rozbieg, myślał przez kilka sekund, po czym zaczął snuć opowieść, której nikt z nas wcześniej nie słyszał:

– Taaa, raz go spotkałem. I on mi mówi: „Karlu Anderssonie, w całych Zakładach Metalurgicznych nie ma większego twardziela! Bez ciebie sobie nie poradzimy!”. Tak powiedział. I wiesz, co ja mu na to? „Słuchaj no, Marcusie Wallenbergu, ty jesteś najtwardszy ze wszystkich kapitalistów, ale bez ciebie poradzimy sobie doskonale”. Tak mu wypaliłem. Wierzysz mi, dziewczuszko?

– Ech! – mówiła babcia za każdym razem, jeśli w ogóle go słuchała.

Dorośli przestali go słuchać dawno temu, tylko ja zbierałam dziadkowe opowieści, nizałam je jak indiańskie paciorki na gumową nić.

Babcia Bojan była okrągła, miała siwe kędziorki, czerwoną siateczkę naczynek na policzkach i żylaki grubości lukrecjowych lasek. Myślałam o niej jak o babeczkach, które ciocia Nina piekła na Boże Narodzenie. Były słomkowożółte, słodkie, przepyszne.

Babcia rzadko się złościła i rzadko martwiła. Nigdy się nie denerwowała. Podobno w młodości była zniewalająco piękna, ciemne kręcone włosy odziedziczyła po zmysłowych,

gorącokrwistych walońskich przodkach ze Skultuny. Teraz dreptała w granatowej sukience, fartuszkę, grubych beżowych nylonowych pończochach, przypinanych do pasa, i rozsiewała słaby zapach moczu. Jej zaczerwienione oczy ciągle łzawiły, zatkany nos bez powodzenia odtykała inhalatorem Vicks. Sztuczną szczękę wkładała do szuflady z nożami albo do szklanki z wodą na kuchennym blacie. Lurowatą, gotowaną kawę piła ze spodeczka, wkładając do ust kostkę cukru, do naleśników jadła śledzie. Urodziła się w 1899 roku, była rówieśnicą dziadka.

Babcia i dziadek zostali rodzicami, kiedy mieli po osiemnaście lat. Potem przyszło na świat jeszcze sześćoro dzieci. Tata był najmłodszy.

– Ciepniej go do innych! – zażartował dziadek, kiedy babcia po raz ostatni opuściła porodówkę.

Prawdę mówiąc, z tatą obchodzili się tak, jakby w ciągu dwudziestu czterech lat był ich jedynym celem płodzenia dzieci, mimo że żadne dziecko nie było planowane. Zwłaszcza on.

Przez dekady babcia łątała i cerowała, piekła i prała, szyła i robiła na drutach, sprzątała i szorowała, gotowała i przecierała, troszczyła się o dzieci i wnuki i układała je do snu. Była jedną z dziesiątek tysięcy gospodyń domowych, które utrzymywały przy życiu siłę roboczą dla nigdy nienasyconych fabryk w mieście i wychowywały nowy narybek. Była geniuszem, radzącym sobie z codziennym zaspokajaniem potrzeb ich wszystkich z jednej pensji metalowca.

Tata mówił, że nikt nie ma takiej dobrej matki jak on. Dziadek nierzadko go irytował, ale o babci nigdy nie powiedział złego słowa. Przyznawał tylko, że jest gaską. W całym swoim życiu nie przeczytała ani jednej książki i niewiele rozumiała z tego, o czym pisano w „VLT”⁵. Należała do tego pokolenia kobiet, które nie miało szans ani na zdobycie wykształcenia, ani na samodoskonalenie. I to dawało się zauważyć. Nie była pewna, czy Ziemia jest płaska, czy okrągła, ale – jeśli dopisało mi szczęście – opowiadała o krasnalach i vättar, które widywała w okolicznych lasach koło swojego rodzinnego domu. W obecności mężczyzn nie wspominała o tym ani

słowem.

I tata, i babcia twierdzili, że mają szósty zmysł, dzięki któremu przeczuwają rychle odwiedziny, choroby i zgony. Babcia nie widziała w tym nic wartego roztrząsania, tata natomiast uważał, że to coś absolutnie nadzwyczajnego. Tylko on odziedziczył po babci szósty zmysł, a ja po nim. Nie miał go nikt inny, ani jego siostry, ani bracia, ani żadne z ich dzieci.

– Nikt inny! Rozumiesz? Nikt z tych imbecylnych łachudrów!

Po obiedzie biegłam na piętro po dwa papierosy. Wyciągałam rękę z dwiema pięćdziesięcioórówkami do Ollego, który leżał na kanapie i oglądał telewizję. Märta – krótkowłosa, z wytrzeszczem oczu, bo miała nadczynność tarczycy, i z rzadkimi zębami – uśmiechała się radośnie na mój widok. Nigdy niczym mnie nie częstowała, pytała, czy chciałabym zostać i trochę porysować, a ja mówiłam, że nie, bo tata na mnie czeka. Lubiłam ją, ale trudno jej było konkurować ze wszystkimi innymi ciociami, które chętnie się mną zajmowały.

Kiedy wracałam na parter, wniebowzięty dziadek wyjmował z malutkiej zamrażarki w lodówce lody Igloo. Wdrapywałam się na tatusine kolana, żeby je zjeść, ale tata – zbyt rozgrzany po pracy – nie miał siły mnie dźwigać i prosił, żebym zeszła. Kiedy byłam już na tyle duża, żeby grać w karty, grałam z dziadkiem w cassino⁶.

– Czyste⁷!

– Coś ty wziął? Waleta? Czy siedem plus sześć to jedenaście?

– Oj, dziewczuszko, myślałem, że to król!

Po skończonej rozgrywce dziadek miał ochotę śpiewać. „Vedholm i Gruby Lasse, Karl-Herman i ja, Herman i ja, graliśmy w knajpie Snuvan kaaażdego dnia, każdego dnia...”. Z pewną nieśmiałością, bo może dziadek wolał występować solo, przyłączałam się do refrenu: „Harmonia i klarnet jak trza, hopsa i siup, i już!”⁸. Chciał śpiewać z werwą, ale jego starczy, ochryply głos już sobie nie radził z dłuższymi melodiami i nie bardzo mógł mi dorównać, kiedy mu wtórowałam silnym dziecięcym głosem, nie do końca rozumiejąc wszystkie słowa.

Tata gasił na talerzu pierwszego papierosa i zapalał drugiego. Poprawiał się na krześle, prostował plecy. Wtedy zdarzało się, że miał siłę wysłuchać opowieści dziadka o dwukilowych okoniach, które złowił tego ranka tylko po to, żeby w drodze do domu rozdać je przypadkowo spotkanym i wdzięcznym mu przechodniom.

Babcia pytała, jak minął mi dzień w ogródku dziecięcym.

– W przedszkolu, babciu! To się nazywa przedszkole.

„Overall” wymawiała tak, jak się pisze, i mówiła „lać” zamiast „siusiac”. Zwracała się do mnie „moja słodka cipko”, a ja skręcałam się z zażenowania. „Cipka”. Nie było brzydszego słowa.

Przed wyjściem dostawałam batonik Daim albo Japp.

– Matka, masz trochę floty? – pytał tata szeptem.

Babcia prawie zawsze miała w kieszeni fartuszek dziesięć albo pięćdziesiąt koron. Wsuwała je tacie do ręki ukradkiem, żeby dziadek nie widział. Czasami tata się irytował, dając jej do zrozumienia, że to za mało. I dostawał więcej. Rzadko odszeptywała, że musi poczekać do czwartku, kiedy przyjdzie jej renta. Ja dostawałam od babci pięciokoronówkę, którą tata obrzucał zazdrosnym spojrzeniem, albo kilka monet od dziadka, wysupłanych z czarnego piterka. Zdarzało się, że dziadek, z wymowną miną, jakiej nigdy nie widziałam u babci, dawał pieniądze tacie.

– Nie zmarzniesz, dziewczuszko? – pytali babcia i dziadek, kiedy kładliśmy dłoń na kłamce.

– Nie! Nie zmarznę!

– Musisz coś podłożyć, dziewczuszko, bo zmarzniesz! Weź „VLT”!

Gazeta przesuwawała się pode mną na bagażniku. Byłam mała i lekka jak pchełka, nie mogłam jej utrzymać na miejscu.

Wszystkie popołudnia i wieczory były takie same, nie licząc dni po wypłacie. Wtedy nie potrzebowaliśmy babci i dziadka.

Wizyty na Björkgatan nie trwały długo. Kiedy przyjeżdżaliśmy, obiad już na nas czekał. Szybko go zjadaliśmy. Tata jak najprędzej chciał stamtąd wyjść.

I jechaliśmy do hali targowej Stjärnhallen.

Najpierw były półki z piwem. Tata zastanawiał się przez chwilę, ile wziąć puszek średniego⁹. Sześć czy osiem? Zawsze Pripps Blå. Kiedy przechodziliśmy dalej, ciągle zaglądał do koszyka i liczył. Czy nie za mało? Czy go na to stać? Jeśli brakowało mu pieniędzy, pytał, ile floty dostałam od babci.

Potem kupowaliśmy chleb z piekarni Lundiusa¹⁰, jeszcze ciepły, z kropelkami pary w foliowej torebce. Przykładałam bochenek do policzka. Tuż po wypłacie kupowaliśmy prästost¹¹, który tata kroił w grube plastry i który zjadaliśmy tego samego wieczoru. Innym rarytasem był topiony ser z krewetkami w tubce i wędzony boczek. Zwykle kupowaliśmy margarynę Bregott, chude mleko, sardynki w sosie pomidorowym, ravioli w puszcze i słoik anellini dla mnie. I szwedzki kawior z dużą ilością ikry, który jak na mój gust był za słony.

Kiedy byłam starsza, poprosiłam tatę o jasnozielone błyszczące jabłka na styropianowej tacce.

- Wiesz, skąd one pochodzą, co?
- Z Argentyny.
- Chyba wiesz, co to za kraj?
- Wiem. Tam jest dyktatura wojskowa. Dagmar Hagelin¹².
- No właśnie. Faszyści. Parszywe sukinsyny.

Włożył jabłka do koszyka i lękliwie rozejrzał się wokół. Nie dlatego, że ktoś mógłby zobaczyć, co kupujemy, ale dlatego, że ktoś mógłby nas usłyszeć.

Ponieważ stołowaliśmy się u babci i dziadka, nie kupowaliśmy falukorv, paluszków rybnych ani żadnych dań obiadowych, ale w dniu wypłaty tata miał ochotę na makaronowe muszle z sosem mięsnym własnej roboty. Psioczył, że oliwa z oliwek jest potwornie droga, a do sosu dużo jej potrzebował. To było jedyne danie, które umiał zrobić. Jako że sos powinien się gotować na wolnym ogniu przez trzy godziny, zanim posiłek był gotowy, czyli późnym wieczorem, jedliśmy prästost. Tata rzadko odczuwał głód, bo piwo wypełniało mu żołądek, a ja zapychałam się słodyczami.

Nie brał wózka, żeby nie zajmować swoją osobą zbyt dużo

miejsca, nigdy nie pytał personelu, jeśli czegoś brakowało. Wszystko, czego potrzebowaliśmy, było na widoku, a on nie chciał sprawiać kłopotu. Nawet kiedy robiliśmy małe zakupy, nie spieszył się. Chodziliśmy po sklepie i dobrze się bawiliśmy. Patrzyliśmy, co kupują inni klienci, albo chichocząc, długo oglądaliśmy pomarańczowo-czerwone puszki kiszonych śledzi, czarny fiński pudding wielkanocny i pakowane próżniowo, blade, ściśnięte trójkami pyzy.

Czasami tata zatrzymywał się przy ladzie chłodniczej i brał do ręki ofoliowaną kanapkę z krewetkami, szynką, jajkiem i majonezem. Mówił, że wygląda pysznie, ale nigdy nie włożył jej do koszyka. Oprócz piwa i raków rzadko pozwalał sobie na coś, co naprawdę by chciał. Łakomym spojrzeniem obrzucał żeberka obracające się na ruszcie w gorącym piekarniku za ladą z mięsem. Kupowanie przy ladzie wymagało pewności siebie. Tata obawiał się, że powie coś nie tak, że ekspedientki w białych czepkach i niebieskich fartuchach zapytają go, czego sobie życzy i ile hekto, a on nie będzie wiedział, ile to jest. Nie chciał niczego kupować, jeśli nie potrafił obliczyć ceny. Gdyby było za drogo, nie mógłby się przecież rozmyślić.

– Na tych żeberkach nie ma mięsa – przekonywał sam siebie.

Kupowaliśmy nie więcej niż połowę papierowej reklamówki. Torby plastikowe były dla ludzi pozbawionych stylu. Poza tym papierowe były idealne – nie demaskowały puszek piwa. Na puszkach kładliśmy ciepły chleb.

Przy wyjściu był kącik z kwiatami, gdzie pracowała urocza długowłosa blondynka. Tata udawał, że ogląda rośliny doniczkowe, byle tylko zamienić z nią parę słów, na co ona reagowała promiennym uśmiechem. Tata ożywiał się i myślał, że trochę jest nim zainteresowana. Ba, wręcz całymi dniami na niego czeka.

– Idziemy, Natasza! – mówił głośno na odchodne, żeby go słyszała.

– Natasza!

Peszyłam się. Natasza miałam na drugie. Rzadko zwracał się do

mnie „Åsa”, najczęściej – „staruszko”, „staraniuniu”, „fisiu” albo co mu w danej chwili przyszło do głowy. Kiedy leżałam w maminy bruchu, rodzice mówili o mnie „Jaskierka”. Potem tata jakby się rozmyślił co do Åsy. A tak się chwalił, że to on wybrał mi to imię. Uważałam, że na całym świecie nie ma brzydszego imienia. Nosiły je spaślaki z tłustymi udami, warkoczami i szerokimi zębami. Chciałam się nazywać Gabriella, Johanna, Józefina albo równie słodko i dziewczęco i żeby było dużo liter dla podkreślenia, że jestem kimś.

Do taty zawsze mówiłam „tato”. Nigdy „stary” i absolutnie nie „ojciec”. Czasami się zapominałam i mówiłam „Baloo” – bo był duży, silny i zabawny – ale jemu się to nie podobało. Z Baloo się wyśmiewano, że to taki nierozgarnięty amerykański miś z dżungli. Wolał być porównywany do kapitana Efraima Pończochy, taty Pippi – siłacza z tatuażami na ramionach i nieokiełznaną potrzebą wolności.

Mówiliśmy, że jesteśmy kumplami i kompanami.

– Ty i ja jesteśmy kumplami i kompanami.

W kiosku – małej wnęce w ścianie – kupowaliśmy papierosy, „Aftonbladet” i drobne słodycze za koronę albo dwie. Co wieczór dostawałam coś słodkiego. Tata niechętnie zgadzał się na coś, czego nie znał, na przykład na laski lukrecji albo zielone cukierki w plastikowych muszelkach, a o płaskich twardych torebkach gumy do żucia z nalepką Robin Hooda Walta Disneya mówił, że są beznadziejne. Zawsze jednak kupował mi to, co chciałam. Jeśli na nic nie miałam ochoty, czuł się urażony.

– Nic nie chcesz? A może rolkę Center¹³? Czy nie są pyszne?

Kiedy decydowałam się na Zig Zag, był zatroskany.

– Tylko kartonik pastylek? Na pewno nic więcej? A może dwa Ploppy¹⁴?

Moją odmowę odbierał jako osobisty afront.

Potem jechaliśmy do domu.

Tam, gdzie na Viksäng rozpościera się zielone i wolne od samochodów osiedle mieszkaniowe, stacjonował pułk. W rewolucyjnym roku 1917 w mieście należącym do najbardziej niespokojnych w kraju żołnierze wszczęli bunt, doszło do silnych „rozruchów kartoflanych”¹⁵ i strajków. Naturalnie nie pozostał po nich ślad, nie nauczyliśmy się o tym na lekcjach poświęconych naszemu regionowi. Czytaliśmy tylko o Västerås w epoce kamienia, o sejmie stanowym zwołanym przez Gustawa I Wazę na zamku i o powstaniu Asei. A o tym, co pomiędzy, nic. O buncie żołnierzy dowiedziałam się od dziadka, który – o dziwo – nie twierdził, że brał w nim udział. Z tamtego okresu zachowało się kilka budynków koszarowych. W jednym mieściła się biblioteka. Miała tak zniszczone marmurowe schody, że wchodząc po nich, bałam się, że się rozpadną. Zabudowa terenu wokół powstała w latach sześćdziesiątych.

Mieszkaliśmy na Rönnergatan 34 na drugim piętrze w mieszkaniu szczytowym, gdzie bez trudu zaglądało słońce. Trzy pokoje z kuchnią, lokatorskie. Blok stał na wzgórzu w sąsiedztwie czterech innych białych pięciopiętrowych punktowców, które kontrastowały z jasnobrązowymi szeregowcami okalającymi wzgórze. Poniżej był park zabaw, gdzie dzieci jeździły kolejką linową, wspinały się i robiły drewniane domki. Było stąd zaledwie kilka minut drogi rowerem do przedszkola i szkoły, blisko na Skiljebo, do centrum i do Mälaren.

W łazience nie mieliśmy mydła, szamponu ani szczoteczek do zębów. Na haczykach nie wisały żadne ręczniki. Chropowata wanna, nienapełniana wodą, zaczynała się zsycać.

Ani razu nie widziałam, żeby tata brał prysznic, kąpał się czy w ogóle porządnie się mył, chociaż na pewno mu się to zdarzało, kiedy nie było mnie w domu. Ale co wieczór po pracy golił się i starannie cesał na wodę stalowym grzebieniem, który nosił w tylnej kieszeni spodni. Strzygł się u fryzjera w małym murowanym domu na parkingu przed Mimerfabriken. To było

najbardziej dziadygowate miejsce w mieście. Pewien starszy chłopak, który mieszkał w naszym bloku, powiedział mi, że tata śmierdzi sikami. Nie uwierzyłam mu.

Bieliznę osobistą – białe bawełniane siatkowe slipy z wysoką talią, które niezbyt skwapliwie zmieniał – kupował na Stora Torget. Jego codzienna garderoba była skromna: kilka białych koszul, w których dokładnie podwijał rękawy, i dwie pary gabardynowych spodni, beżowe i ciemnoniebieskie. Jeśli kupował sobie ubrania, to tylko na „wytworne okazje”, na które liczył i które nigdy się nie zdarzyły. Miał kremowy garnitur z rdzawobrunatną poszetką, granatową dwurzędową marynarkę klubową ze złotymi metalowymi guzikami i jasnobieżową zamszową kurtkę, którą pewnej zimy niemiłosiernie utyłł. Mimo marzeń o obracaniu się w doborowym towarzystwie przebywał jedynie w gronie rodzeństwa, z którym spotykał się na wspólnej wigilii u babci i dziadka, gdzie niezależnie od wyrafinowanego stroju był traktowany jak niechluj.

Tata mówił o sobie „elegancki zawodnik”, facet, który wie, co to styl i finezja. Miał srebrną zapalniczkę. Chciał być postrzegany jak Tony Curtis w *Partnerach*: bogaty, dobrze ubrany i wygadany. W rzeczywistości był w jakiś bliżej nieokreślony sposób staroświecki. Ubierał się jak Jan Sparring¹⁶ i za nic nie włożyłby dzinsów ani sztruksów. Jeszcze na początku lat siedemdziesiątych uważał za rzecz oczywistą, że w dni wolne od pracy trzeba chodzić w garniturze, jak niegdyś robotnicy. Wolałby się tak ubierać trochę częściej.

Za młodu tata był podobny do Larsa Ekborga¹⁷, ale szybko jego atrakcyjna twarz zrobiła się nalana i straciła figlarny wyraz. Był raczej uroczy niż przystojny i mogłam zrozumieć, że inni nie od razu widzieli czarujący dołek w brodzie, szerokawy nos, ładnie uformowane uszy, niebieskoszare oczy i trochę krzywy uśmiech, odślanający równe zęby. Jego stusiedemdziesięciopięciocentymetrowe umięśnione ciało długo było harmonijne, jakby zostało odlane w jednym kawałku. Wyglądał jak

modelowy wizerunek robotnika i mógłby pozować każdemu radzieckiemu socrealiście.

Tym, co tatę wyróżniało, były dłonie. Duże, grubo ciosane, zgięte i pełne stwardnień. Dłonie hartownika. Zanim skończył trzydzieści pięć lat, były sztywne od pracy w fabryce. Wieczorami, przestraszony i dumny zarazem, bezskutecznie próbował rozprostowywać palce.

– Widzisz?! To nie są ręce, to szpony!

Ubolewał, że nie może nosić sygnetu. Jeśli zdarzało mu się myć twarz, przypominał kota. Ponieważ w dłoniach bez czucia nie był w stanie utrzymać wody, wydawało się, że tylko masuje nimi policzki i czoło.

Na białych ramionach miał wytatuowane fregaty, a na lewym przedramieniu serce przepasane wstążką. Z biegiem lat tatuaże stały się nieco kaszkowate. Czasami dzieci na podwórku pytały, czy był na morzu albo czy siedział w ciupie. Nie, zrobił sobie te tatuaże, kiedy był w wojsku i tęsknił za domem. Napinał mięśnie – i fregaty łapały wiatr w żagle.

– Pokaż muskuły, tato!

Chętnie pokazywał.

– Mało kto ma takie bicepsy! Takie bicepsy ma tylko tata Pippi i ja!

Więszym problemem niż dłonie były jego obolałe stopy, płaskie jak płyta laminowana w kuchni. Dzień w dzień stał przy piecach hartowniczych i stopy wspomagały jego ramiona w ujarzmianiu stali. Wkładał ciężkie buty robocze, używane w Zakładach Metalurgicznych. Pod rudawą skórą była metalowa powłoka, gdyby przypadkiem upuścił jakieś ciężkie narzędzie czy gorącą stal. Rocznie kwitował odbiór jednej pary albo dwóch. Nosił je w pracy i po pracy, nawet w lecie. Kiedy je zdejmował, rozchodził się intensywny smród. Na stopach miał pęcherze wielkości dwukoronówek. Wieczorami nacinał je scyzorykiem i wyciskał płyn surowiczny na ręcznik, sztywny od poprzednich, zaschniętych wysięków.

Kiedy chciał być elegancki, wkładał lekkie i śliskie półbuty. W najgorszym razie nakładał na nie płytkie gumowce.

W dniu wypłaty szliśmy do sklepu obuwniczego Grimaldis. Mieścił się w podziemnym garażu w Viksäng Centrum i unosił się w nim odurzający zapach skóry. Pan Grimaldi witał klientów skrzekliwym głosem, pani Grimaldi uśmiechała się, pokazując zęby ze złotymi krawędziami. Ich szwedczyzna pozostawiała wiele do życzenia.

Tata oglądał, dotykał, ważył w dłoniach, przymierzał, posługując się łyżką jak emeryt, i świecił dziurami w skarpetkach. Pan Grimaldi wyrażał swój zachwyt, mówił, że but leży jak ulał, a tata z zafrasowaniem marszczył czoło i kręcił głową. Pan Grimaldi miał inną propozycję, doskonała włoska robota, tata przymierzał i znów kręcił głową. Za drogo. Udawał, że nie pasują.

– Żydowskie trepy – mruczał pod nosem, kiedy wracaliśmy rowerem do domu. – Sto trzydzieści kerooon za jedną parę butów!

Na pieniądze mówił „flota”, ale kiedy coś dużo kosztowało, podawał cenę w koronach, które po västmanlandzku wymawiał „keroony”. Czternaście kerooon za pieprzony kawałek sera! Dlaczego wszystko nie może być po dziewięć dziewięćdziesiąt?

Ale mnie kupował buty. Białe sandały, których nie chciałam, uważał za absolutnie niezbędne. Potrzebowałam butów na zimę, gumowców, drewniaków i tenisówek, a on kupował mi włoskie sandały.

Byłam tak samo źle ubrana jak tata i tak jak on nie przejmowałam się ani myciem, ani szorowaniem zębów, chyba że mi powiedział, żebym to zrobiła.

Pieniądze szły na inne rzeczy niż ubrania. Nie licząc trzech kurtek dla mnie. Kiedy chodziłam do przedszkola, kupił mi kurtkę w żółtym, pisklakovym kolorze, z mankietami ze sztucznego puchu, które szybko zbrązowiały i zrobiły się ciężkie od mokrego piasku w piaskownicy. W pierwszych trzech klasach szkoły podstawowej miałam jasnoszarą zamszową kurtkę, którą szybko zniszczył deszcz i śnieg. W szóstej klasie zmusiłam tatę, żebyśmy razem poszli do Hennes & Mauritz, gdzie sama mogłabym sobie wybrać kurtkę.

Pikowaną. Był tam pierwszy raz i powiedział, że to cholerny sklep, ale zdumiewająco tani. Oboje wracaliśmy do domu zadowoleni, chociaż przez kilka następných dni tata czuł się pod psem, oszołomiony silnym oświetleniem, mnogością luster i obecnością wymalowanych ekspedientek.

Majken, najstarsza siostra taty, kupowała mi ubrania w Strands, drogim sklepie z odzieżą dziecięcą na Vasagatan. Dobrej, szwedzkiej jakości, ale tak różne od tych, które nosiłam na co dzień, że wyglądałam w nich dziwnie: czarne gabardynowe spodnie z zaprasowanym kantem, spódniczka w szkocką kratę, strój marynarski, brązowe gumowe botki na obcasie, lodenowy płaszczyk.

To Majken nas opierała. Przywoziliśmy do niej brudne rzeczy w papierowej torbie i odbieraliśmy czyste i wyprasowane. Zrzędziła, że jest tego za mało, że brakuje pościeli i ręczników, które trzeba wygotować. My niemal całą naszą bieliznę mieliśmy na sobie, a pościeli nie używaliśmy.

Ci, którzy widzieli tatę poza domem i zwrócili uwagę na jego powierzchowność, byli zaskoczeni, przekroczywszy próg naszego mieszkania. Tata bez przerwy sprzątał. Mył okna, odkurzał, przecierał kaloryfery, dbał o porządek. Kiedy nie mógł zasnąć, polerował ławę w pokoju dziennym. Zabronił mi o tym mówić.

W przedpokoju wyłożonym ciemnoczerwoną tapetą była żółtobeżowa wykładzina, pod sufitem, na grubym mosiężnym łańcuchu, wisiała czerwona latarenka. W pokoju dziennym przez lata stał mchowozielony komplet wypoczynkowy z miękkiego szerokiego sztruksu. Mnie bardzo się podobał, tata mówił, że jest brzydki. Mniejsza, dwuosobowa kanapa była moja, fotel był taty. Duża kanapa, na której nikt nie siadał, przez kilka lat była przykryta, odkąd pewnego wieczoru zasnął na niej Sundstedt z papierosem w ręku. Guma piankowa pod sztruksem zmieniła się w cuchnący krater. Tata był wtedy w kuchni, a ja siedziałam i patrzyłam.

Tacie marzył się angielski komplet wypoczynkowy z prawdziwej skóry, ale było go stać tylko na rdzawobrazowy z pluszu, na raty. Mieliliśmy go zaledwie kilka tygodni, kiedy któregoś dnia niechcący przykleiłam do jednej z poduszek różową gumę Hubba Bubba. Innego dnia tata oparł łokieć na balonówce Bugg i zniszczył swoją klubową marynarkę.

Na dłuższej ścianie przez lata wisiał obraz z żaglówką o zachodzie słońca. Później zastąpił go obraz z łoszą i młodymi o wschodzie słońca, który odziedziczyliśmy po przyrodnim bracie dziadka. Był w ramie ze starych skrzynek na cygara. Tata mówił, że jest wartościowa. Uważał, że pewnego dnia okaże się, że to, co mamy, to bezcenne skarby, na przykład rosyjska herbata w puszcze, spinki do mankietów ze Skultuny czy krasnoludek, którego dostałam na pierwszą gwiazdkę od stryjka Jarla. O wartościowe przedmioty musimy dbać.

Na mahoniowym regale z mosiężnymi okuciami prawie nie było książek. Nic nie wskazywało na to, żeby co wieczór tata usiłował cokolwiek czytać. Obok *Nacka show* z autografem Nacki Skoglunda¹⁸ stał *Offerrök* Jana Fridegårda¹⁹ i roczniki sportowe.

Brzydkie książki były pochowane, poza zasięgiem wzroku. Półki zdobiły przedmioty dekoracyjne, każdy wyeksponowany na haftowanej serwetce. W dolnych szafkach tłoczyły się prezenty zaręczynowe dla taty i mamy: kolorowe filiżanki do mokki, akcesoria do drinków, kubek na lód, czerwona karafka grająca, czeska zastawa stołowa ze złotym szlaczkiem. Wszystko nietykalne. Udawaliśmy, że nie istnieje.

Z sufitu pod plastikowym plafonem zwieszał się kryształowy żyrandol. Po kilku latach plastik zdeformował się od ciepła żarówek i miał się nijak do sztukaterii, którą tata sobie wymarzył. Zasłony we wszystkich pokojach zostały uszyte na miarę w sklepie przy Apotekarbron. W pokoju dziennym były zasłony z grubego ciemnoczerwonego aksamitu i cienka koronkowa firanka z nylonu, pożółkła od nikotyny. W oknie wisiały kryształowe lampki.

Tata mówił, że nasze okno wygląda jak okienko nr 24 w kalendarzu adwentowym. Wyobrażał sobie, że baby przechodzące pod blokiem zadzierają głowy i widząc nasze okno, myślą, że na pewno mieszka tam jakaś zaradna gospocha.

– Ale by się, kurde, zdziwiły, gdyby do nich dotarło, że to nie gospocha, tylko mistrz hartownik Leif Andersson!

Był przekonany, że doprowadza je do szału, bo nie mają pojęcia, co zrobić, żeby ich okna wyglądały równie gustownie.

Z tego samego powodu każdego lata dbał o to, żeby balkon tonął w powodzi kwiatów. Wieczorami potrafił długo tam stać i czekać na zachwyty przechodniów. Chociaż miał dobrą rękę do roślin, w mieszkaniu stopniowo wymieniał żywe kwiaty na plastikowe albo jedwabne, które z czasem wyblakły od słońca. Sztuczne kwiaty miały idealne kształty i były niezawodne.

Z ciemnego mahoni, jak regał, była też szafka na sprzęt stereo. Stało w niej siedemnaście płyt LP: dwie Cornelisa Vreeswijka, Harry'ego Belafonte'a i Magnusa i Brassego²⁰, po jednej Everta Taubego, Stefana Demerta²¹, Roffego Bengtssona²², Hasseåtage²³, Lill Lindfors²⁴, Simona i Garfunkela, i moje: Abby, Baccary, Kozaków dońskich, Gösty Knutssona czytającego *Filonka Bezogonka*

i kolędy Egona Kjerrmana²⁵. Słuchaliśmy wszystkich z wyjątkiem Simona i Garfunkela, bo płyta była mamy i tata mówił, że to gangsterska muzyka, prawie jak Bitelsów, tych długowłosych ćpunów, których – co kompletnie niezrozumiałe – mama też lubiła. Jeszcze gorsza była Abba – cztery gęgające gąski, zawdzięczające sławę i bogactwo wyłącznie swojemu jełopowatemu wyglądowi. Ale wspaniałomyślnie trzymał w ręku album *Waterloo*, kiedy jechaliśmy do przedszkola, mimo że nie był w stanie pojąć, dlaczego dzieciaki wolą naśladować Abbę niż Lill Lindfors.

W sypialni stało łóżko, które tęskniło za mamą. Kiedy tata poznał Sonię, a może miała na imię Anita, kupił nowe, z czarnego drewna tekowego z mosiężnymi okuciami. W wezglowiu obitym łososiowym welurem było radio z zegarem. Na ścianie wisiała reprodukcja obrazu Bruna Liljeforsa z lisem chwytającym kurę. Tata zastanawiał się, ile może być warta. Nie powiedziałam mu, że na targowisku Brödet och Fiskarna²⁶ nad Svartån widziałam identyczną za kilka koron.

Fronty kuchenne tata postanowił pokryć samoprzylepną ciemnobrązową imitacją mahoni. Okleina była droga i trudno było ją przykleić, nie zostawiając pod spodem pęcherzyków powietrza. Po położeniu jednej rolki tata robił miesięczne przerwy i zanim skończył, takiej okleiny nie było już w sprzedaży. Doszedł do połowy, reszta pozostała zielononiebieska przez kolejne piętnaście lat, kiedy to właściciel nieruchomości dokonał gruntownej renowacji, ostatecznie uwalniając tatę od realizacji przedsięwzięcia.

Szafki były prawie puste. Nie mieliśmy wieloczęściowych serwisów stołowych, plastikowych pojemników do przechowywania żywności ani sprzętów kuchennych. W jednej szafce leżały książki, w drugiej stały moje stare butelki ze smoczką i model transatlantyku zbudowany przez tatę z zestawu. Były tam również dwa pornosy w wydaniu kieszonkowym ze szczegółowo zaprezentowanymi pozycjami współżycia seksualnego i wyeksponowanymi genitaliami. Umówiłam się z Camillą, że przyniosę je do przedszkola. Ukradkiem schowałam pockety pod kurtką, ale nakryły mnie panie przedszkolanki i kiedy tata po mnie

przyszedł, pokazały mu, co zarekwirowały. To było krępujące dla nas obojga, zwłaszcza dla taty. W domu najpierw włożył je z powrotem do szafki, potem jednego wyjął i wyrzucił do śmieci. Gdzie się podział drugi, nie wiem. Szukałam, szukałam i nie znalazłam.

Mój pokój nie wyglądał tak jak u innych dzieci. Tata wstawił do niego meble, które mu się sprzykrzyły. Moje koleżanki miały ładne biurka, narzuty z falbanką i białe dekoracyjne półki zastawione lalkami z Wysp Kanaryjskich. U nich na ścianach wisiały plakaty z Björnem Skifsem i słodkimi kociećkami pod ręcznikiem kąpielowym. U mnie stały stary regał na książki i ława, których tata nie chciał się pozbyć. Na podłodze leżał żółto-pomarańczowy włochacz. Przez lata mój pokój zagracał tapczan, który dostaliśmy po przyrodnim bracie dziadka – tym od obrazu z łosiami – ciężki i szary jak krążownik pancerny. Spaliśmy na nim przez pewien czas, kiedy tata nie mógł się uporać ze swoim łóżkiem. Potem kupił łóżko z radiem i zegarem, stare przeciął na pół i wstawił połówkę, tę mamina, do mojego pokoju.

O tym, że w moim pokoju mieszka dziecko, świadczyły wyłącznie zabawki i domek dla lalek Lundby. Dziewczynki z podwórka też miały domki dla lalek, ale z oświetleniem. W moim nie było ani lamp, ani lalek, tylko różne mebelki i sprzęty. Ustawiałam je i przestawiałam. W ich domkach mieszkały anemiczne pełne rodziny z miękkiego kauczuku z drutami w środku, które same nie mogły stać: tata w koszuli, mama w spódnicy, starszy brat i siostrzyczka. Mama gotowała. Tata leżał na podłodze i nic nie robił.

– Idźcie spać! – mówiła mama. – Nie chcemy! – odpowiadały kauczukowo-druciane dzieci. – Umyjcie zęby! – mówił tata, który nagle ożywał. – Nie chcemy! – odpowiadały dzieci.

Myślałam, że tak rozmawiają ze swoimi dziećmi zwyczajni rodzice. Ale nie tata. Słodczyce w sobotę, pora iść spać, tygodniowe kieszonkowe, brezentowe spodnie na szelkach, nie wyjdiesz, dopóki nie posprzątasz w swoim pokoju – to były nieznane nam reguły. Tata nigdy nie zrzędził, nie wrzeszczał, rzadko okazywał irytację.

W moim pokoju stało również akwarium z molinezjami i mieczykami. Karmiliśmy je tak obficie, że wyglądało jak po katastrofie ekologicznej. A kiedy kończył się pokarm, zapominaliśmy kupić nowy. W równych odstępach czasu zamulało się do tego stopnia, że w ogóle nie było widać, czy rybki żyją, czy zdechły. Zabawnie było je spuszczać w toalecie. Nie lubiłam zwierząt, przerażały mnie króliki, chomiki syryjskie i świnki morskie. W domu koleżanek zginałam palce u nóg w obawie przed pogryzieniem i zawsze odmawiałam, ilekroć mnie pytały, czy nie chciałabym potrzymać i pogłaskać ich zwierzątek. Tata mówił, że to rozsądne, bo takie włochate potworki nie zawahałyby się odgryźć ręki albo nogi, gdyby tylko nadarzyła im się okazja.

Rzadko przyprowadzałam koleżanki do siebie i zawsze, kiedy przekroczyły próg, patrzyły szeroko otwartymi oczami na zasłony, kryształowe lampki i dekoracyjne poduszki. Tego się po moim tacie nie spodziewały! Ale dziwiły się, widząc zaschnięte, blade nitki wymiocin wokół sitka w zlewozmywaku. I dlaczego nie macie ręczników w toalecie?

Na podwórku było mnóstwo wiewiórek. Urzędowały na sosnach pod oknem pokoju dziennego i błyskawicznie wspinały się po chropowatej fasadzie. Pewnego ranka wiewiórka wślizgnęła się do mieszkania przez kuchenny lufcik i zaczęła jeść babkę biszkoptową, która stała na blacie. Energicznie wcinała słonecznie żółte ciasto. Potem wyskoczyła, niczego nie zrzucając.

Tata się ucieszył i od tej pory dbał o to, żeby w każdy weekend była w domu babka biszkoptowa. Jeśli nie dostaliśmy jej od babci, kupował ciasto w proszku, mieszał i piekł z taką samą starannością, z jaką przyrządzałyby suflet na wykwintne przyjęcie. Zachowywał się jak zakochany. W soboty i niedziele wstawał wcześniej rano i czekał.

W przedpołudniowym świetle wiewiórcze futerko lśniło nadzwyczaj pięknie, mieniło się odcieniami miedzianej czerwieni i brązu, których nie potrafiłam oddać na papierze, choćbym nie wiem jak się starała, a które widziałam też w długim końskim ogniu mamy.

Trochę się tej wiewiórki bałam. Żywe stworzenie zaglądało do naszego domu, do którego przychodziło się tylko w jakiejś konkretnej sprawie, na przykład żeby mnie zabrać albo zostawić. Zaczęłam podejrzewać, że wiewiórka jest wysłanniczką, że pewnego dnia przekaże nam wiadomość o świecie zewnętrznym, coś, o czym absolutnie musimy wiedzieć. Fantazje wzięły górę, w końcu byłam przekonana, że któregoś dnia zastanę ją na kuchennym stole i jak od gołębiczy z *Braci Lwie Serce* usłyszę, że już czas.

Czas na co?

Na śmierć? Wyjazd? Przenosiny?

Za każdym razem wiewiórka bawiła zaledwie przez kilkanaście sekund i z nadejściem lata zniknęła. W nadziei, że wróci, tata nie zamykał lufcika niezależnie od pory roku, ale już się więcej nie pojawiła. Przestał piec babkę i kupił figurkę wiewiórki z Hongkongu, którą postawił na nocnym stoliku.

Zaraz po przyjściu do domu tata zapalał kryształowe lampki okienne w pokoju dziennym. Nie dla siebie, raczej z myślą o babach z sąsiedztwa. Tak się spieszył, że nawet nie zdejmował butów. Kiedy wszystko pozapalał i powkładał wiktuały do lodówki i spizarki, golił maszynką swój jednodniowy rudawy zarost.

Resztę wieczoru spędzaliśmy przed telewizorem. Ja zajmowałam się sobą, tata siadał w fotelu, czytał od końca „Aftonbladet”, pił piwo i palił.

Wypalał dwie paczki Gula Blend dziennie. Wkładał papierosa między nasadę palca środkowego i wskazującego. Zaciągając się, stulał dłoń wokół ust, przy ostatnim sztachu trzymał peta kciukiem i palcem środkowym, a wydmuchując dym, lekko mrużył oczy – mniej więcej jak Humphrey Bogart. Kiedy w srebrnej zapalniczce kończył się gaz, stawiał papierosa na płytce grzejnej. Papieros się przewracał. Podnosił go, palce zbliżały się niebezpiecznie do intensywnego ciepła. Płytką rozgrzewała się do czerwoności, a potem robiła się czarna. Papieros znów się przewracał. Znów go podnosił i tak do skutku, dopóki się nie zapalił. Rozżarzona płytka mogła poparzyć każdego. Stałam obok i krzyczałam, żeby uważał.

Był niewzruszony.

– Jestem mistrzem hartownikiem, zapomniałaś?

Piwo pił z porysowanej szklanki z duraleksu. Opróżnioną puszkę ścisnął aż do głuchego trzasku, twarde blaszane puszki starego typu zgniatał tak, jakby to były torebki po cukierkach. Taki silny był mój tata. Najsilniejszy na świecie.

Mnie pochłaniały różne zajęcia. Sortowałam znaczki i fotki gwiazd filmowych, szydełkowałam, coś rysowałam albo coś pisałam. Kiedy tata przeczytał gazetę, był chętny do gry. Wprawdzie Czarny Piotruś i Szczęśliwe Rodziny go nie bawiły, ale nie protestował przeciwko trylmie²⁷, cassino, szwedzkiemu wariantowi makao ani grze w czarne albo czerwone²⁸. Nie miało dla nas znaczenia, kto wygra. Kiedy trochę podrosłam, tata nauczył mnie gry w szachy i czuł się nieco zawiedziony, że się nie wciągnęłam.

W szufladzie w kuchni leżała killelek²⁹ przypominająca o latach, kiedy mieszkała z nami mama i przychodziło dużo przyjaciół, którzy

lubili razem spędzać czas. Uwielbiałam te piękne karty z girlandą, trefnisiem i szlachcicem, ale ilekroć prosiłam tatę, żeby mi wytłumaczył, co która znaczy, był zakłopotany. Nie dzisiaj, słyszałam za każdym razem i nigdy się nie dowiedziałam. Killelek należała do innego życia.

Jeśli dopisało mi szczęście, tata rysował. Wyczarowywał na papierze kwiaty, słonie, Chińczyków i Göstę Bohmana. Robił to błyskawicznie. Jego sztywna dłoń odzyskiwała giętkość, którą rzadko widywałam. Po kilku minutach miał dosyć i odkładał ołówek. Kiedy prosiłam, żeby jeszcze coś narysował, udawał, że jest zbyt zajęty czytaniem gazety.

Chętnie chwalił się swoim talentem, podając jako przykład rysunek ołówkiem przedstawiający dokera, który stoi w pewnej odległości od kolegów. Pracował nad nim po nocach, rozmyślając, co w tym czasie robi mama i dlaczego nie wraca do domu. Wciskałam twarz w miękki sztruksowy podłokietnik kanapy, potem podchodziłam do taty, siadałam na podłodze przed fotelem i kładłam mu głowę na kolanach.

Wtedy się pochyłał i szeptał do moich włosów:

– Zagramy partyjkę?

Kiedy byłam w trzeciej klasie, zapytano nas, czy rodzice nie wzięliby udziału w konkursie rysunkowym na rzecz kampanii „Stop dewastacji!”³⁰.

– Mój tata zrobi fajowy rysunek – powiedziałam. – Mój tata pięknie rysuje.

Pani żywiła pewne nadzieje, bo nigdy nie widziała ładniejszego charakteru pisma niż tatusiny, na co zwróciła uwagę, czytając formularz o przebytych przeze mnie chorobach wieku dziecięcego. Ale to nie tata go wypełnił, tylko kuzynka Rosita. Tata ją o to poprosił, bo się bał, że ze zdenerwowania zrobi jakiś błąd ortograficzny.

Tak czy inaczej, obiecał, że coś narysuje. Co wieczór siadał nad kartką papieru, z piwem i z papierosem w dłoni, i ani razu nie podniósł ołówka.

Mogłam chodzić spać, kiedy chciałam. Ani John Blund z *Halvsju*³¹, ani Kiwaczek i Giena ze *Sveriges Magasin*³² nie oznaczały, że pora do łóżka. Wieczorami tata nie odczuwał potrzeby samotności i nie myślał o tym, że potrzebuje więcej snu niż on.

Spędzaliśmy wieczory na rozmowach. O tym, jak to jest być robotnikiem, jak sobie świetnie radzę w szkole, o Nacce Skoglundzie i socjalizmie, o mamie i innych ważnych sprawach, o których tylko my mieliśmy jakieś pojęcie.

Cały czas chciałam być blisko taty. W sklepie trzymałam go za nogawkę, siedząc na bagażniku, mocno go obejmowałam, kiedy szedł do toalety, szłam razem z nim. Spałam tuż obok niego.

Przed snem nie szorowaliśmy zębów ani się nie myliśmy. Tata kładł się w slipach i nierzadko w skarpetach, ja w majtkach. Na ogół nie używaliśmy pościeli. Leżeliśmy pod niepowleczoną kołdrą, często bezpośrednio na materacu Dux, tylko poduszki były w brudnoszarych poszewkach, żeby pierze nie drapało.

Spałam z tatą do dziesiątego roku życia. Duży tata i mała ja mieliśmy do dyspozycji dziewięćdziesiąt centymetrów. Mamina strona łóżka pozostawała nietknięta. Kiedy miałam wstrząs mózgu i potrzebowałam więcej miejsca, tata spał w fotelu. Nic innego nie wchodziło w grę.

Tata czytał mi *Filonka Bezogonka*, Andersena i *Hylands hörna ABC-bok*³³. Kładłam nos na jego ramieniu i wdychałam zapach potu. Zadzierając głowę, ledwie widziałam jego twarz, tak potężne miał ramię.

Pospiesznie głaskał mnie po głowie.

– Dobranoc, kumplu.

– Dobranoc, kompanie.

Mocno trzymałam go za prawy kciuk. Pod pachą ściszałam Lenę, błękitną frotową lalkę, którą tata kupił mi kiedyś na stacji benzynowej. Podarła się, wysypywały się z niej jasnożółte strzępy pokruszonej gumy piankowej, była coraz cieńsza, poplamiona jedzeniem i babciną kawą. Wszyscy sarkali, że jest stara i paskudna, ale ja broniłam i jej, i siebie.

Spałam niespokojnie, kopałam tatę w brzuch, plecy, uda.

Odrzucał moje nogi, ale one szybko wracały. Nie wierzgaj tej nocy, prosił mnie każdego wieczoru, bardzo mnie to męczy. Prosił bez skutku.

Rzadko nas ktoś odwiedzał, tylko latem wpadali Ersa i Sune. Byli kawalerami i mieszkali w Kärrobo. Tata poznał ich, kiedy grał w piłkę nożną w Klubie Sportowym Skiljebo. Otwierali butelki i nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Czasami zaglądał Lola, jeden z ekscentrycznych przyrodnych braci dziadka. Najmilszy na świecie i zawsze wesoły, nawet kiedy nie było mu do śmiechu. Grał na kościach z takim zapalem, że mógłby wystraszyć osobę postronną, kołysał się na boki i przerywał w pół taktu, żeby pokazać tokowanie głuszca. Najpierw był samiczką, która z pewną kokieterią krąży po kuchni z zadartym kuprem, udając, że szuka pożywienia. Potem przeistaczał się w koguta, nabrzmiewał od wyimaginowanego pióropusza, odrzucał głowę do tyłu, wydobywał z siebie guturalne dźwięki, tak głębokie, że myślałam, że się udusi, i cały czas trzymał stulone dłonie na genitaliach. Tata już po chwili miał go dosyć i wychodził z kuchni. Ja siedziałam przed telewizorem. Jeśli musiałam pójść do toalety, zerkałam do kuchni: zafrasowany Lola mówił do kieliszka. W późne wiosenne wieczory zabierał nas swoim oplem, który nie miał wskaźnika poziomu paliwa, na wypatrywanie łosi i lisów.

Kiedy dzwonił do drzwi świadek Jehowy, tata rozmawiał z nim przez chwilę i brał od niego „Strażnicę”. Nie wiedział, dlaczego to robi. Może czuł się dostrzeżony przez tego miłego mężczyznę w szarym kapeluszu, który tak wytrwale go odwiedzał. Dostrzeżony i ważny.

Raz w roku przychodziła bibliotekarka z biblioteki osiedlowej po niezwrócone książki. Mieliśmy ich mnóstwo. Cały nasz zbiór Gösty Knutssona był z biblioteki. Tata patrzył z ubolewaniem na skromną kobietę, kiedy wyjmowała listę naszych przewinień.

– Mam tutaj odnotowane, że w zeszłym roku wypożyczył pan *Rodzinę Rasków* Vilhelma Moberga. Dzięki temu, że odbieramy książki w domach, nie trzeba wnosić opłat karnych.

– Aha, tak pani mówi... Niestety, pożyczyłem ją bratu.

– Pańskiemu bratu? Uhm, a Ivar Lo-Johansson, Jan Fridegård, Bo Balderson³⁴?

– Przykro mi, też są u niego.

- A *Pippi w kraju Taka-Tuka*³⁵ ... i cztery *Filonki Bezogonki*...?
 - Niestety... Brat zachorował i potrzebował czegoś do czytania. Ale jak pani przyjdzie za kilka dni, myślę, że będę je miał.
 - No nie wiem... Tę usługę świadczymy tylko w tym tygodniu... Proszę nam wszystko odnieść samemu. Ale jak najszybciej, bo inni też chcieliby się z tym zapoznać.
 - Świetnie, umowa stoi!
- Chwytał się takich wykrętów, zażenowany, że nie dotrzymuje terminów zwrotu. Tymczasem książki i film leżały w kuchennej szafce albo w sypialni.

W drugiej połowie maja, na moje urodziny, przychodzili babcia i dziadek, siostry i bratowe taty, i ciocia Nina z wujkiem Guidem. Babcia wystrojona, w jasnoniebieskim płaszczyku, który miała na sobie na ślubie mamy i taty. Zobaczyć ją w innym miejscu niż kuchnia na Björkgatan – to było coś niezwykłego. Rzadko wychodziła z domu i rzadko nas odwiedzała. Czy to naprawdę babcia? – myślałam zdumiona, kiedy zdejmowała w przedpokoju czarne wyjściowe buty, a potem wręczała mi bukiet z tulipanów, narcyzów i szafirków z własnego ogrodu, w którym ani razu jej nie widziałam.

Majken przynosiła tort z bitą śmietaną. Musiałam go spróbować, mimo że mówiłam, że nie lubię tortu.

– Fisiu, oczywiście, że lubisz!

Na masie marcepanowej pojawiały się napisy: „Åsa zuch dziewczynka 4 lata”, „Åsa zuch dziewczynka 6 lat”, „Åsa zuch dziewczynka 10 lat”... A na kopertach prezentowych, w których były pieniądze – „Åsie zuch dziewczynce z gratulacjami”. Wszyscy solenizanci, bez względu na wiek, dostawali pieniądze.

Nina i Guido przynosili prawdziwe cuda: srebrną biżuterię, drewniaki na obcasie, zegarki, książki, grę w Monopol, płytę LP *Varning för barn*³⁶ Magnusa i Brassego. W 1978 roku, na dziesiąte urodziny, dostałam piłkę futbolową MŚ. Tata powiedział, że jest zbyt doskonała i cenna, żebym pozwalała nią grać dzieciakom na podwórku. Najlepiej w ogóle jej nie dotykać, a już na pewno nie

nogą.

Telefon przeważnie milczał, ale kiedy dzwoniła mama, obie płakałyśmy. Łatwiej było jej wysłać kartkę. Miałam pokaźny zbiór kartek ostemplowanych w Eskilstunie, na wielu były koty z dolepionymi ruchomymi oczami, na wszystkich to samo pozdrowienie: „Całusy i uściski! Mama”.

Mama odeszła od nas pewnego zimowego wieczoru. Chyba w niedzielę.

Nie było jej od soboty, słyszymy, jak przekręca klucz w drzwiach, wychodzimy do wąskiego przedpokoju, a ona – zamiast powiedzieć „cześć!” i zdjąć palto – przeciska się obok nas, żeby wziąć walizkę z garderoby.

I coś mówi do taty.

I rozmawiają podniesionymi głosami.

Tata bierze mnie na rękę, sadza na kanapie w pokoju dziennym i mówi, że mam tu siedzieć, bo mama zwariowała. Kompletnie zwariowała.

Czując za plecami ciemność, widzę rodziców w przedpokoju. Słyszę ich.

– A co z dziewczuszką, co z dziewczuszką? – pyta tata raz po raz.

Z dziewczuszką? Z dziewczuszką!

Tata chce mamę zatrzymać. Mama go odpycha, wchodzi do garderoby i wrzuca ubrania do walizki, która leży otwarta na podłodze.

Siedzę nieruchomo, tak jak tata mi powiedział. Kanapa wydaje się duża, ale grube prążki mchowozielonego sztruksu są miękkie. Spod spódniczki wystają mi nogi w białych rajstopkach, skosmaconych na kolanach, rozciągniętych i wypełnionych powietrzem na stopach.

Nagle jestem z mamą w przedpokoju. Mama kuca i obejmuje mnie. Długi kasztanowy koński ogon leży na jej plecach.

Mówi, że znów musi wyjść i że ja nie mogę jej towarzyszyć. Płacze. Łzy z ciemnych oczu spływają po piegowatych policzkach do dużych czerwonych ust. Ma dwadzieścia osiem lat. Tata, mimo że dwa lata starszy, jest tylko chłopcem. Na podwórku przed domem, o czym dowiedziałam się później, czeka Lasse w gołębim saabie.

Jest styczeń 1972.

Ta data stała tacie kością w gardle, przyprawiała o uporczywy ból, ale nie rozmawialiśmy o tym. W maju miałam skończyć cztery lata. Chociaż nie zapomniałam tamtego dnia, kiedy mama przyszła do domu tylko po to, żeby zaraz wyjść, szybko przywykłam, że jesteśmy tylko my, tata i ja. Jakby zawsze tak było.

Później pojawiły się wspomnienia z naszego wspólnego życia z mamą. Nie wiedziałam, co z nimi zrobić. Nie chciałam ich stracić, a jednocześnie nie byłam w stanie ich zachować. Żeby nie zniknęły, zmuszałam się do ich regularnego przywoływania, jednego po drugim. W przedszkolu siadałam w szafasie z przerobionej szafki pod zlewozmywak i liczyłam je jak pies pasterski dogładający owiec. Kiedy miałam jedenaście lat, wszystkie spisałam, niektóre w fragmentach, w modrym pamiętniku z gołębkiem na okładce, prezencie od taty, i ponumerowałam. Dwadzieścia dwa puzzle w niekompletnej układance, w której brakowało tysięcy elementów. Nie myśl o tym, upominałam samą siebie, ale nie wyrzucaj z pamięci. Jeśli zapomnisz, umrzesz. Jeśli będziesz o tym myśleć, nie będziesz mogła żyć.

Pamiętam, jak siedzimy we troje w kuchni i jemy, mama odchyła się na białym krześle, żeby sięgnąć po nóż leżący w szufladzie, a ja się boję, że upadnie na plecy i coś sobie zrobi.

Pewnego popołudnia wracam z mamą z przedszkola do domu i chcę trzymać ją za rękę, ale ona ma obie ręce zajęte, bo niesie torby z zakupami. Przez całą drogę z Trumpeten – małego obok sklepu osiedlowego, który wkrótce miał się zwinąć – milczy i patrzy w ziemię. Pytam, czy jest smutna, odpowiada, że ciężko jej dźwigać zakupy. Nie wierzę jej.

Tata i ja siedzimy w fotelu i słyszymy, jak mama pichci coś w kuchni. Tata pali papierosa, wygłupiamy się i chichramy, żadne z nas nie jest w stanie normalnie rozmawiać. Tata mówi, że wybiera się do kiosku, i pyta, czy nie miałabym na coś ochoty. Mówię, że chciałabym czekoladę z ptaszkami. Nie wie, o co mi chodzi, więc mu tłumaczę: żółty papier, w środku czekolada w kratkę i na każdym kawałku gruby ptaszek. Oboje odczuwamy ulgę, kiedy tata wreszcie załapuje.

Któregoś wieczoru tata trzyma mnie na rękę, a ja histerycznie płaczę, bo zjadłam pety z popielniczki i mam usta pełne gorzkiego, papierosowego popiołu. Mama też płacze, karci mnie i głaszcze, i mówi, że przecież dobrze wiem, że tego mi nie wolno, że to nie pierwszy raz. Tata się nie odzywa, biały kołnierzyk jego koszuli jest

zapaćkany szaroczarnym popiołem i glutami. Wczepiona w jego ramię dostrzegam obraz w przedpokoju, którego wcześniej nie widziałam, i czuję, że tata lubi mnie pocieszać, kiedy mama jest zdenerwowana.

Tata wolał zatrzymać swoje wspomnienia z tamtych lat dla siebie. Owszem, odpowiadał na moje wątpliwości, ale kiedy byłam na tyle duża, żeby zrozumieć jego odpowiedzi, przestałam mu zadawać najważniejsze pytania. Nie zapytałam, ile chciał albo zdołał zachować z tego, co ustawicznie przypominało mu o tym, że kiedyś był szczęśliwy.

Mama, odchodząc, zabrała ze sobą tylko trochę ubrań. W mieszkaniu mnóstwo rzeczy o niej przypominało. W sypialni stała biała toaletka z biżuterią i perfumami. Teraz to był martwy dziwny mebel. Miejsca, na którym spała, nie tykaliśmy, udawaliśmy, że nie istnieje, ale pamiętam, kiedy tam leżałyśmy i czytałyśmy o psie Polluksie³⁷.

W kuchni na haczyku wisiała obrączka ślubna taty. Półka z przyprawami świadczyła o tym, że niedawno mieszkał tu ktoś, kto umiał gotować.

W szafce nad lodówką stał karton płatków kukurydzianych Kellogg's z piejącym kogutem. Objawił się przypadkiem, kiedy szukaliśmy czegoś innego. Relikt z czasów, kiedy ktoś robił śniadania. Tata nie potrafił się przemóc, żeby go wyrzucić, tak jak nie potrafił się pozbyć ciemiernika czerwonego mamy. Powiedział, że jego brzydota urąga wszystkiemu, co rośnie na tym świecie. Niejednokrotnie chciał go zasuszyć na śmierć, ale gnany wyrzutami sumienia, w ostatniej chwili przybiegał z konewką. Wtedy miał ochotę go utopić.

– A niech to jasna cholera, czy ty nigdy nie zdechniesz!

W końcu dał za wygraną i zostawił ciemiernika tam, gdzie kiedyś postawiła go mama.

W kącie. Za karę. Ołtarzyk.

W regale na książki – a dokładniej na ozdoby – stał album ze zdjęciami ślubnymi rodziców i z okresu ich małżeństwa. Na jednym z nich wychodzą z sądu i tata z dumą wkłada do kieszeni marynarki świadectwo ślubu. Jest rok 1967. Mama, tuż po swoich dwudziestych czwartych urodzinach, trzyma bukiet żółtych róż.

W młodości tata zniewalał swoim wdziękiem całe Skiljebo i mama musiała się wykazać bezgraniczną cierpliwością, żeby zwrócił na nią uwagę. Był dwa lata starszy i bawił się w Rotundzie³⁸ w parku Ludowym, kiedy ona jeszcze nie mogła. Wiedziała, że będzie mijał jej dom w towarzystwie jakiejś dziewczyny, i wypatrywała go tylko po to, żeby usłyszeć jego „Cześć! cześć!”. Zanim się pobrali, chodzili ze sobą ładne parę lat. Ja byłam ich upragnionym ślubnym

dzieckiem. Teraz suknia panny młodej, klasyczny krótki model, wisiała w piwnicy.

Czarny kodak, którym zostały zrobione te kwadratowe zdjęcia w smutnym albumie, leżał w kuchennej szufladzie. Był w nim film, ale tata nie chciał go wywołać, przypuszczalnie dlatego, że była na nim mama. Nie miał jednak nic przeciwko temu, żebym się bawiła aparatem. Kiedy spytałam, czy mogę go włożyć do akwarium i zrobić zdjęcia rybkom, powiedział, że nic z tego nie wyjdzie, ale jasne, spróbuj.

Najbardziej ze wszystkiego to ja przypominałam mu mamę. Byłam jej nieodrodną córką i wyglądałam jak ona. Miałam ognistorude włosy, piegi, masywne łydki, duże czerwone usta, brązowe oczy i śmiałam się donośnie. Nie licząc odstającego prawego ucha, które wskazywało na powinowactwo z dziadkiem Karlem, byłam jej kopią. Nawet chodziłam jak ona, z rękoma za plecami. Kiedy ktoś zwracał uwagę na moje podobieństwo do Tani, tata odpowiadał, że kiedy byłam malutka, było inaczej.

– Wszyscy mówili, że dziewczuszka i ja jesteśmy jak dwie krople wody!

Pewnego wieczoru mama przyszła po wiklinowy kuferek na pościel, kuferek z jej domu rodzinnego. Jako tragarz towarzyszył jej Lasse. Po raz pierwszy i ostatni przestąpił nasz próg, zawsze czekał na dole w samochodzie. I po raz pierwszy tata i Lasse się przywitani. Wizyta trwała kilka sekund. Tata chciał okazać dobrą wolę i pomoc, ale kuferek był zbyt mały, żeby jego pomoc miała jakiś sens, dlatego pozostało mu tylko stać i patrzeć. Ja, nieco zalekniona, trzymałam się na uboczu. Chciałam z nimi porozmawiać, ale poczuwałam się do lojalności wobec taty i milczałam.

Mama odwróciła się do rosyjskiego obrazu z dziewczętami i chłopcami sortującymi ryby.

– To mój obraz. Czy mogę go zabrać?

– Tak, tak, oczywiście – powiedział tata i zdjął obraz.

Ale maminej lwiozółtej radzieckiej encyklopedii wiedzy o planetarnej energii atomowej i innych zjawiskach przyrodniczych,

które zaświadczały o wyższości radzieckiego socjalizmu, strzegł jak żrenicy oka, mimo że nie znał słowa po rosyjsku. Mama nigdy nie chciała ze mną rozmawiać o latach spędzonych z tatą, czasami jednak pytała o encyklopedię, której nie chciał jej oddać.

Tata kupił nowy obraz przedstawiający kilka bijących się srok. Podobał mi się. Na miejscu kuferka postawił wykonaną współcześnie komódkę w stylu empire, którą kupił na raty. Ilekroć przechodził obok, muskał palcami jej chłodny marmurowy blat. Do górnej szuflady włożył kilka medali piłkarskich, niesamowicie wartościowe spinki do mankietów, wycinek z „VLT” z jego zdjęciem, na którym wodzi swoją mahoniową łódź, i wycinek o wizycie Olofa Palmego u Fidela Castro.

Co wieczór wysuwał tę bezgłośną szufladę tylko po to, żeby podziwiać stolarski kunszt.

Dużo rozmawialiśmy o mamie, ale nie o tym, dlaczego nas zostawiła. Uznaliśmy, że odeszła, bo poznała Lassego. O winie taty nie było mowy. Może on sam nie bardzo wiedział, co się stało. Prawdopodobnie nawet nie starał się zrozumieć – odpowiedź wskazywała na Lassego. Po tym styczniowym wieczorze, kiedy mama spakowała walizkę i wyszła, nie odbyli żadnej szczerzej rozmowy.

Czułam się odpowiedzialna za to, co zrobiła, i chciałam ją usprawiedliwić.

Ktoregoś wieczoru upuściłam na podłogę talerz muszli makaronowych z sosem mięsnym i zamiast posprzątać, usiadłam na sosie i odłamkach.

– Przebacz mi!

Płaczowi towarzyszył na wpół zdławiony krzyk.

– Przebacz mi! Przebacz mi!

Nie krzyczałam z powodu rozbitego talerza, krzyczałam to, co tata chciałby usłyszeć od mamy. To nie ja siedziałam na podłodze, tylko ona. Mama. Tania.

Tata się domyślił. Odchylił się do tyłu, oparł lewym przedramieniem o blat i patrzył na mnie. Stał i patrzył w nieskończoność.

– Przebacz mi – poprosiłam jeszcze raz i położyłam się na sosie, muszlach i odłamkach talerza. – Przebacz.

Bałam się swojego zachowania. Bałam się taty.

Podszedł do mnie i przykucnął.

– Nic się nie stało, staraniuniu.

Znowu byłam Åsą.

Kiedy tamtego styczniowego wieczoru mama zamknęła za sobą drzwi, tata zadzwonił do Majken, starszej od niego o osiemnaście lat. Wydaje mi się, że ona i Aleksiej przyjechali po nas swoim szarym garbusem. Nocowaliśmy prawdopodobnie w dużym żółtym ceglanym domu, dokąd tata zawsze uciekał, jakby był ich dzieckiem. Tego nie wiem na pewno, bo nie wryło mi się w pamięć i nikt ze mną o tym nie rozmawiał. Ale pamiętam, że kilka dni później

siedziałam w kuchni na Björkgatan z babcią i Majken i słyszałam, jak rozmawiają o czymś poważnym, co spotkało mnie i tatę i co ma związek z mamą. Patrzą na mnie. Babcia ze smutkiem kręci głową, a Majken mówi, że jestem dzielną dziewczynką.

Dziadek i rodzeństwo taty wysuwali pod adresem mamy mętne zarzuty.

To wszystko była jej wina.

Nikt nie chciał słyszeć, że tata przepijał pieniądze i małżeństwo ze starymi kumplami od piłki nożnej i mężczyznami na przystani, że mama nie miała za co kupić mi butów.

W rodzinie taty rozwody były czymś nie do pomyślenia. Porażką. Wstydem.

Co innego w rodzinie mamy. Zostawiając nas, postąpiła tak samo jak pokolenia jej przodków, kiedy czuły, że powinny odejść. Kiedy babcia Wiera poznała Juliusza i przeprowadziła się do Polski, mama z Niną zostały z tatą Runem. A Wierą i jej bratem, też oddzielonymi od mamy, opiekował się ich tata Peter.

Silne kobiety. Silni mężczyźni.

Mama, dotychczas kochana przez wszystkich za poczucie humoru i wdzięk, w ciągu jednej nocy stała się kimś, kogo imienia nie wolno było wymawiać. Zwłaszcza w obecności dziadka.

Zdarzało się, że babcia nieopatrznie mówiła o mamie jak o przyjaciółce, która odeszła zdecydowanie za wcześnie.

– Tania była miła. Prze-prze miła.

Babcia odczuwała brak mamy. Tak jak my wszyscy. Ale tylko tata mnie pytał, jak się mamie wiedzie.

Podczas pierwszego spotkania z mamą po jej odejściu, jakie zapamiętam, był Lasse i zaczynał topnieć śnieg.

– Dawno się nie widziałyśmy – mówi mama i pomaga mi wejść na tylne siedzenie saaba.

W rękę trzymam dużą tubkę gumy do żucia w pięknych kolorach. Byliśmy na zakupach w centrum handlowym Smedjan w Eskilstunie. Teraz tam mieszkają i oboje pracują w Urzędzie Pośrednictwa Pracy. Wkrótce brzuch pod maminą budrysówką znowu urośnie. Tydzień

po moich piątych urodzinach urodziła się Kajsa. Tata wysłał kwiaty.

U mamy i Lassego na krawędzi wanny stał szampon Barnängen, na ścianie wisiał Che Guevara, na adapterze obracała się płyta zespołu Hoola Bandoola³⁹, a w radiu leciała piosenka *Aj, aj, aj*⁴⁰, którą mama chętnie nuciła. Domyślałam się, że jest zakochana, i cieszyłam się z tego powodu. Czytałyśmy *Sprätten satt på toaletten*⁴¹, układaliśmy puzzle, grałyśmy w weszki⁴², chodziłyśmy do kina, demonstrowaliśmy przeciwko wojnie w Wietnamie i dyktaturze wojskowej w Chile, walczyłyśmy o żłobki i przedszkola dla wszystkich dzieci i o sześciogodzinny dzień pracy. Z tatą tego nie robiłam.

Byłam u mamy i Lassego co drugi weekend, spędzałam z nimi urlop, ferie Bożego Narodzenia i ferie wielkanocne. W piątek wieczorem, zanim mama po mnie przyszła, dziadek wycierał mi twarz ścierką i wydlubował nożem do mięsa brud spod paznokci.

Z przykrością patrzyłam na mamę i tatę rozmawiających w kuchni, jakby nic się nie stało. Stali przy blacie, czekając, aż spakuję Lenę – nigdy nie usiedli – i opowiadali sobie jakieś zabawne historie. Raz tata mocno objął mamę. Czy poczuła jego przyrodzenie? Roześmiała się zakłopotana, widziałam, że chce się uwolnić.

Kiedy odjeżdżaliśmy, tata stał w kuchennym oknie, pochylał się pod zwisającym nylonowym kwiatkiem, machał ręką na pożegnanie i płakał. Ja też płakałam. Kilkaset metrów dalej zapominałam o jego istnieniu.

A w niedzielę wieczorem zanosłam się płaczem, wtulona w ramiona mamy. Tata stał w kuchni przy blacie i nie wiedział, co robić. Brał mnie na ręce i nie puszczał, dopóki nie obeschły mi łyzy. Słyszałam, jak mama wychodzi, a tata mnie pytał, jak mi minął weekend.

Kiedy miałam siedem lat, mama, Lasse i Kajsa przeprowadzili się do Västerås i zamieszkali przy Råbykorset, na osiedlu wybudowanym w ramach Programu Milion znanego z problemów społecznych. Tata mówił, że to siedlisko gangsterów, pijaków i Finów. Przez krótki czas pracował tam jako robotnik przy budowie

granitowoszarych trzypiętrowych domów. Osiedle znajdowało się po drugiej stronie miasta, a ja nadal spędzałam u mamy co drugi weekend.

Mama nie lubiła pluszowych kanap, chleba od Lundiusa i ravioli w puszcze. Mówiła, że *Lilla Fridolf*⁴³ uwłacza kobietom, i przestrzegała zasad mycia zębów i pór kładzenia się spać.

- Czasami jesteś bardzo podobna do taty – mówiła.
- Wiem – odpowiadałam.

Nie znałam nikogo, kto mieszkałby tylko z tatą. Na podwórku, w przedszkolu, w świetlicy i w szkole było dużo dzieci rozwiedzionych rodziców, ale wszystkie mieszkały z mamą i często nie miały żadnego kontaktu z tatą. Ja współczułam im, a one mnie. Mówiły, że to dziwne i niespotykane.

- Nie masz mamy? Umarła?

Pytałam mamę, czemu nie wzięła mnie ze sobą tamtego styczniowego wieczoru. Nie pytałam dlatego, że chciałabym z nią pójść, ale żeby poznać powód.

Zawsze odpowiadała tak samo.

Było jej tak żal taty, że postanowiła mu oddać coś najwspanialszego, co miała.

Tata miał łódź. Drewnianą kabinową łódź motorową z niebieskim dachem. Masywną i smukłą zarazem. Nazywała się „Åsa” i w znacznej mierze była jego dziełem. Wiosną ręcznie ją szlifował i pokrywał pokostem dopóty, dopóki ciemny mahoń nie zaczął błyszczeć jak syrop klonowy. Lśniła urodą.

– Nikt nie ma ładniejszej łodzi! – mówił tata i rzeczywiście wszyscy ją podziwiali.

– Masz superłajbę, Leffe!

Slipowanie kosztowało. Co roku, kiedy wszystkie łodzie wydawały z siebie miłe dla ucha „plusk, plusk” i „skrzyp, skrzyp”, najładniejsza „Åsa” stała samotnie na przystani motorowodnej pośród dmuchawców i nie zapowiadało się na to, żeby kiedykolwiek miała pójść w ich ślady.

– Leffe, nie zwodujesz łodzi? – wypytywali tatę różni ludzie. – Pomóc ci, Leffe?

W końcu dziadek uiszczając opłatę i z nieskrywaną przyjemnością dyrygował trochę uroczystym opuszczaniem „Åsy” na prawie nadające się do kąpieli Mälaren, czemu towarzyszył krzyk mew.

Do jeziora mieliśmy pięć minut rowerem. Po drodze mijaliśmy stację BP, gdzie kupowaliśmy kanister benzyny, dom starców Södergården, dawny kościół garnizonowy i opuszczone korty tenisowe. Na poboczach żwirówki rosły leszczyny, przylaszczki i poziomki. W oddali majaczyła górka Himlabacken w parku Mälaren. Zatrzymaliśmy się i zrywaliśmy podbiał.

Na przystani pachniało rozlaną farbą, rozgrzanym od słońca brezentem i wczesnowiosennym Mälaren. Głośno chrzęścił gruby żwir.

Po dotarciu na miejsce tata zawsze sikał pod parkanem, odwrócony plecami do jeziora, bez względu na to, czy tuż przed wyjściem z domu był w toalecie, czy nie. Ledwie zszedł na przystań, ustawiał się pod parkanem i witał z innymi, którzy stali obok.

– Czołem, czołem, cześć, cześć!

Rozpinał rozporek i kierował strumień moczu na parkan.

Przystań to był świat mężczyzn. Kobiety miały tworzyć dobrą

atmosferę, czyli zjawiać się z torbami chłodniczymi przed wypłynięciem na jezioro.

Kiedy tata się wysikał, szliśmy do barakowozu klubu motorowodnego, gdzie można było kupić coś do picia bez marży. Kupowaliśmy oranżadę Zingo o smaku bananowym i piwo w butelce. Od oranżady łaskotało mnie w nosie i drapało w gardle. Czyściłam nią moje znaleziska: krzemienie i mikę.

Nudziłam się, patrząc, jak co wieczór, tydzień po tygodniu, tata szlifuje łódź. Zero jedzenia, zero zajęć i tylko kamienie do siedzenia. Marudziłam, że chcę do domu.

Przychodzili stryjowie, mówili, że jestem zuch dziewczynka, bo pomagam tacie, i częstowali mnie kanapkami, na których było za dużo masła. Odmawiałam i wracałam do zrywania strupów na kolanach.

Jeśli zdarzyło nam się wypłynąć na jezioro, obieraliśmy kurs na Granskär. Wtedy tata był zachwycony. Ja sterowałam, on stał za mną, chwalił mnie i śpiewał: „Mugge Vigge, Mugge Vigge, puff, puff, puff. Mahoniowa łódź z ka-ju-tą-tą...”⁴⁴.

Na Granskär byli akordeoniści i radośni ludzie. Z szacunku dla jeziora tata nie pił.

Raz w roku chciał przepłynąć obok plaży nudystów na Östra holmen, głównie po to, żeby się pośmiać. Zmieniał bieg silnika na jałowy i sunęliśmy powoli, ale w tak dużej odległości od brzegu, że niewiele mogliśmy zobaczyć. To jednak wystarczyło, żeby wprawić tatę w dobry humor. Kiedy chciałam, żebyśmy zatrzymali się gdzieś, gdzie mogłabym się wykąpać, mówił, że nic z tego. Nie miał też w sobie tyle spokoju, żeby łowić ryby, w czym ani trochę nie przypominał dziadka.

Kto wie, czy nie ociągał się ze zwodowaniem łodzi, dlatego że pływanie wcale nie sprawiało mu przyjemności. Kiedy po powrocie z czterotygodniowych wakacji z mamą i Lassem pytałam go, czy gdzieś pływał „Åsą”, niezmiennie odpowiadał, że niewiele, bo

pogoda była pod psem, nawet jeśli była wspaniała. Mówiąc o łodzi i urlopie, wydawał się zrezygnowany.

Kiedy opadały liście, Mälaren przybierało ciemnoszarą barwę i robiło się wietrznie, wszyscy pytali tatę, czy nie potrzebuje pomocy w wyciągnięciu łodzi. Co roku ostatni w wodowaniu i ostatni w wyciąganiu.

Jeśli tacie siadały nerwy, wypływaliśmy w środku tygodnia. Pewnego późnego wieczoru byliśmy sami na jeziorze, inni wysłuchali komunikatu meteorologicznego. Zerwał się wiatr, rozpętała burza, chlusnęło zacinającym deszczem. Nad nami przetaczały się fale. Tata nic nie widział, bał się, że „Åsa” albo pójdzie na dno, albo się roztrzaska. Krzyczał, żebym weszła do kajuty, ale odmówiłam. Chciałam być tuż obok niego. W końcu mnie tam zamknął.

W domu, wylękniony, wyjął z kieszeni koszuli moką paczkę papierosów. Ten jeden jedyny raz widziałam, że się boi, myślał, że zginiemy.

– Tylko nic nie mów dziadkowi! I ani słowa tym babom w przedszkolu.

Następnego dnia w „VLT” pojawiła się informacja o wyjątkowo groźnej burzy z piorunami, która pozrywała dachy i powyrywała drzewa z korzeniami, o czym nam powiedziały panie przedszkolanki.

Zamiast pływać łodzią po jeziorze, jeździliśmy rowerem do Irsty, kilka kilometrów w głąb lądu, do Krychola, którego tata poznał, kiedy grał w piłkę nożną w Klubie Sportowym Skiljebo.

Krychol wynajmował nędzną drewnianą chałupę na skraju pola. Smród był tam wręcz namacalny. Pod łóżkiem z materacem z końskiego włosia przykrytym końską derką stało radio tranzystorowe. Wszędzie kłębiły się zawodzące z głodu koty. Nowe mioty Krychol wkładał do worka i zabijał albo topił.

Na poddaszu mieszkał siedemnasto-, osiemnastolatek, o którym tata i ja nie wiedzieliśmy praktycznie nic. Kiedy tam byliśmy, stał w kuchni i nic nie mówił. Pewnego dnia wypadł z łodzi i utonął.

Policja bez powodzenia przeszukała jezioro drapaczem. Nikomu nie powiedziałam, że tata i ja znaleźliśmy tego młodego topielca, o którym można było przeczytać w „VLT”.

Tata zastanawiał się, czy ten biedak sam ze sobą nie skończył, w czym Krychol go utwierdzał. Pewnie tak właśnie było.

Chłopak cicho zszedł ze strychu, przez chwilę powstał w kuchni z rękami w kieszeniach spodni i koniec, nigdy więcej tego nie zrobił. Przerazające. Któregoś wieczoru po jego śmierci Krychol poszedł na poddasze, wziął jego klaser ze znaczkami ze wszystkich części świata i dał mi go, mimo że nie miał do tego prawa, bo przecież na pewno gdzieś byli rodzice chłopaka. Innym razem dostałam jego drogą kolejkę Märklina.

Przez lata cieszyliśmy się z tego zbioru znaczków. Spędziliśmy mnóstwo wieczorów, sprawdzając je w katalogu Facit z nadzieją, że odkryjemy prawdziwy skarb. Choć nie miały żadnej wartości, tata uważał, że kilka zagranicznych sztuk to rarytasy, zwłaszcza afrykańskie z bokserami. Był tam też jeden z Hitlerem, z którym nie wiedzieliśmy, co zrobić.

– Czy to naprawdę właściwe miejsce dla tego szaleńca?

Bawił się myślą, czyby Führera gdzieś nie schować.

– Może włożymy skunksa do pudełka z innymi idiotami? Z generałem Franco, królową Elżbietą, Suharto, świętą Brygidą, Eisenhowerem, Guciem V...?

Potem zmienił zdanie. A jeśli gdzieś przepadnie? Nie można wykluczyć, że jest bezcenny.

Babcia Wiera wniosła swój wkład w wyjątkowość kolekcji w postaci olśniewających kolorami i urodą radzieckich znaczków z Leninem, pancernikiem „Potiomkin”, pisarzami, kompozytorami i naukowcami. Jeden, o wymiarach 14 na 6 cm, przedstawiał Jurija Gagarina na pierwszej na świecie wędrowce w kosmosie. Tata udzielał mi rad, jak powinnam je wkładać, żeby odpowiednio wyeksponować walory, kolor i kształt.

Swoje szczególne zainteresowanie znaczkami okazywał raz na kwartał, w te wieczory, kiedy nie zapłacił rachunku za prąd

i wszystko było wyłączone. Lamy, kuchenka, lodówka, która powoli się rozmrażała, telewizor i radio. Wtedy zapalaliśmy świece, wyjmowaliśmy wszystkie znaczki i układaliśmy je w kupki: Magyar Posta, Suomi, Helvetia, France... Uzgodniliśmy poręczny system, ale zawsze potykaliśmy się na Niemczech, ich różnych epokach i podziałach. To nie całkiem w porządku, mówił tata, żeby umieszczać Waltera Ulbrichta w jednym rzędzie z Hindenburgiem i Konradem Adenauerem, ale co tam, furda, niemieckie sukinsyny to niemieckie sukinsyny.

Poza tym miał pełną kontrolę nad sytuacją. Kupki znaczków na ławie można było ogarnąć i nad nimi zapanować w odróżnieniu od całej reszty, która bez przerwy stwarzała trudności.

W dniu wypłaty tata szedł do banku i podejmował całą pensję. Zanim włożył pieniądze do portfela, przeliczał je dwa razy i napominał mnie, żebym nikomu nie mówiła, ile ich jest. Ani babci i dziadkowi, ani Majken i Aleksiejowi, nikomu. Wiedział, że dobrze zarabia, ale nie chciał, żeby inni o tym wiedzieli, bo wtedy wierzyciele mogliby się zacząć dopytywać, gdzie się ulatniają pieniądze, i zażądać zwrotu długów. Za każdym razem czuł się skrępowany, kiedy musiał podać wysokość swoich dochodów Aleksiejowi, który wypełniał mu deklarację podatkową. Ilekroć ktoś napomykał, że oprócz nie najgorszej pensji dostaje zasiłek mieszkaniowy, dodatek na dziecko i alimenty od mamy, z irytacją odpowiadał, że wszystkie rachunki, którymi małżeństwa się dzielą, on płaci sam. I miał rację, tyle że to nie tłumaczyło, dlaczego jego portfel świeci pustką.

Kiedy inni rozmawiali o jego zarobkach, czuł się osaczony. Nie rozumieli, jak ciężko musi na to pracować.

Uważał, że między wypłatami mija nieskończenie dużo czasu, i nieumiejętność zarządzania pieniędzmi błędnie utożsamiał z niedostatkiem. Był robotnikiem, a robotnicy z definicji są biedni. Postrzegał swoją sytuację tak, jak opisywali ją Jack London i Ivar Lo-Johansson. Mówił, że bieda to przestępstwo karane dożywotnią pracą.

Jednocześnie przejmował się pokazywanymi w serwisach informacyjnych głodującymi dziećmi w Afryce – z wydętymi brzuskami, tak osłabionymi, że nie miały siły odegnąć much z twarzy. Kiedy Lutherhjälpen⁴⁵ wrzucała do skrzynki kartonową skarbonkę, ostrożnie ją składał z myślą o datkach dla dzieci skrzywdzonych przez los. Kiedy kończyły mu się pieniądze, nie odrywał od niej wzroku.

– Jesteś głodna, staruszko?

– Trochę.

– Tu jest napisane „Pokonać głód”. Hm, czemu nie...?

Szybko rozrywał skarbonkę i liczył monety. Mówił, że biedy nie da się pokonać chrześcijańską dobroczynnością. Trzeba usunąć całe to społeczeństwo złodziei!

Na kuchennym blacie stała moja skarbonka w kształcie kamienicy z przezroczystego czerwonego plastiku. Regularnie ją ogałacał: wkładał ostrze noża do wlotu monet, zsuwał po nim dwudziestopięćoörówki i chował do kieszeni.

– W przyszłym tygodniu dostaniesz je z powrotem – mówił beztróska.

Kiedy tata nie miał gotówki, płacił czekiem. Za każdym razem z duszą na ramieniu. Dumny ze swojego charakteru pisma, chciał wypełnić czek perfekcyjnie, ale ilekroć miał okazję wykazać się swoim talentem kaligraficznym, dłoń odmawiała mu posłuszeństwa.

Najpierw musieliśmy znaleźć długopis. W żadnym wypadku nie mógł być z czerwonym tuszem.

– Bo pomyślą, że jesteśmy komunistami!

– Przecież jesteśmy komunistami.

– Tak, ale w sklepie nie muszą o tym wiedzieć!

– Czemu kasjerka miałaby tak pomyśleć tylko dlatego, że się podpiszesz czerwonym długopisem?

– Ludzie wierzą w największe bzdury. Poza tym nie ma powodu demonstrować swoich poglądów politycznych. Przez czerwony tusz mogliby nas wziąć za kogoś z bohemy. Za odmieńców. Nie takich jak inni.

W skupieniu wpisywał „trzysta koron” w rubryce „kwota do wypłaty”, natychmiast łapał się na tym, że zrobił błąd, i tak wypełniał czek po czeku, gniotąc je i wyrzucając z grymasem irytacji na twarzy.

Rzecz jasna, kasjerki nie interesował ani kolor podpisu, ani jego uroda, sprawdzała tylko zgodność nazwiska na czeku z tym, które było w legitymacji taty. Kiedy wracaliśmy do domu, pienił się i wymyślał kasjerkom od najgorszych. Za każdym razem miał nadzieję, że pochwalą go za piękny charakter pisma.

Życie taty byłoby dużo łatwiejsze, gdyby nie oczekiwał tego, co niemożliwe.

W dniu wypłaty tata przychodził do przedszkola albo do świetlicy

z białą papierową torbą z Domusa⁴⁶, w której były książki: *Detektyw Blomkvist żyje niebezpiecznie*, *Przygody Hucka Finna* albo te z czerwonymi grzbiecami z Wahlströms⁴⁷. Nowe czasy! Tak myślał. Wystarczy pieniędzy do następnej wypłaty! Ba, nawet coś zostanie! Spłacę długi, trochę odłożę, kupię nowe ubrania, kupię coś ładnego, pozwolę sobie na ocieplacz na siodełko rowerowe, dam Åsie to, co zechce. Nigdy więcej stołowania się u matki i ojca!

Tego dnia robiliśmy zakupy w Viksäng Centrum. Najpierw szliśmy do banku odebrać pensję, potem na pocztę opłacić podstawowe rachunki, a potem przez duszną kwiaciarnię do supermarketu ICA, który mieścił się na piętrze. Ja chciałam jechać na górę przestarzałą okrągłą windą o niepowtarzalnym zapachu, ale tata mówił, że tylko łązęgi i wyższe sfery nie mają siły chodzić po schodach.

W koszu przy wejściu były karty kolekcjonerskie gwiazd, które kusiły fotkami Abby i scenkami z *Aryskotratów*. Tata mówił, zgodnie z prawdą, że mam już tych kart całe mnóstwo, ale ja chciałam mieć więcej, żeby potem nie szukać jakiegoś szczególnego obrazka z kolekcji. Bez entuzjazmu kupował mi dwa pakiety po pięćdziesiąt öre sztuka, ale kiedy miałam pieniądze, które dostałam na Skiljebo, płaciłam sama.

Jeśli tatę dla odmiany naszła chętka na Tuborg zamiast Pripps Blå, szliśmy do Konsumu, który świecił pustkami i w którym nie mieli fajnych łąkoci. Na puszkach Tuborga był śmieszny rysunek dwóch obdartusów, wysokiego i niskiego, i ich słowa w dymkach, napisane po duńsku.

Zapytałam, co oni do siebie mówią.

– Mały grubas pyta: „Za którym razem Tuborg smakuje najlepiej?”, a chudy drągal mu odpowiada: „Za każdym”.

Nie zrozumiałam dowcipu, ale ucieszyłam się, że tata kupuje takie ładne puszki.

Najczęściej robiliśmy zakupy w Stjärnhallen, która była bliżej Rönnergatan. Zwykle tata chodził tam brudny i spocony, ale kiedy miał pieniądze, wkładał garnitur. Czuł się bogaty i tak chciał wyglądać. Nowe czasy! – myślał. W takie dni nie wypadało jeździć rowerem, wtedy spacerowaliśmy wolnym krokiem, żeby wszyscy

mogli nas zobaczyć.

Dostawałam wszystko, co chciałam – ser topiony z krewetkami, kołonotatnik, flamastry – ale to nie był czas na wygłupy, nie krążyliśmy po sklepie od lady z pyzami z mięsem do półek z kiszonymi śledziami. Kiedy tata miał pieniądze, nie był już zabawny, tylko poważny i wyniosły. Był mężczyzną z klasą i godnością. W takie dni nie chciał też mówić o polityce, a jeśli mówił, to zajmował stanowisko na prawo od wyznawanych poglądów. Gdyby miał do wyboru: wygrać milion w totolotka albo wprowadzić socjalizm, bez wahania wybrałby pieniądze. Inny porządek społeczny marzył mu się tylko wtedy, kiedy nie miał grosza przy duszy.

Pozwalał sobie też na zakup kwiatka u tej czarującej dziewczyny i nie spieszył się z podjęciem decyzji.

– Chodź, Natasza! – mówił na odchodne. – Mamy dzisiaj trochę zajęć!

Spacerkiem wracaliśmy do domu i jedliśmy prąstost przed telewizorem.

Po pieniądzech wkrótce nie było śladu. Znowu jeździliśmy rowerem do babci i dziadka, stołowaliśmy się u nich i wyłudzaaliśmy flotę.

Pewnego lata, kiedy byliśmy spłukani do czysta, tata sprzedał mój niebieski rower, który dostałam w prezencie na piąte urodziny od mamy i Lassego. Wprawdzie z niego wyrosłam, ale nie miałam innego, no i przede wszystkim był mój. Pięćdziesiąt koron, które zarobił, wydał w monopolowym. Innym razem sprzedał Loli mój zegar z kukułką i w ogóle się nie przejął, kiedy upomniałam się o pieniądze.

W gruncie rzeczy nie był pozbawiony skrupułów i nie chciał nikogo oszukiwać ani wykorzystywać, ale często doświadczał silnego poczucia opresji, że żyje na cudzy koszt. Ilekroć pożyczał pieniądze, zawsze miał ambicję, żeby je szybko zwrócić. I nigdy nie zwracał.

Wspomagali nas babcia i dziadek. Tata nie okazywał im szczególnej wdzięczności. Przeważnie się boczył i obarczał ich winą za swoją

trudną sytuację życiową.

Któregoś wieczoru usiadł w fotelu i zaczął narzekać, że dziadek nie dał mu pieniędzy.

– Nigdy o nic nie proszę i kiedy jeden jedyny raz zwracam się o pomoc, spotykam się z odmową.

Tuż przed położeniem się spać powiedział, że wychodzimy. Kazał mi usiąść na bagażniku na dwóch papierowych torbach. Kiedy zapytałam, dokąd jedziemy i po co, udał, że nie słyszy. Zatrzymał się na Björkgatan, oparł rower o niskie metalowe ogrodzenie, przesadził je i wylądował po drugiej stronie.

Był cichy jesienny wieczór, całe Skiljebo wydawało się pogrążone we śnie. Tata obszedł dom, sprawdzając, czy gdzieś nie pali się światło. Spojrzał w górę, w okno Ollego i Märty. Przywarłam do ściany domu, ze strachu zziębły mi dłonie. Pomyślałam, że tata chce się włamać do swoich rodziców. Ale nie. Wdrapał się na jabłoń przed babciną bawialnią i potrząsnął.

Jabłka spadały z hukiem, po dziesięć naraz. Jak huk kanonady na polu walki. Pomyślałam, że jeśli wyjdzie dziadek, tata dostanie za swoje.

Wróciliśmy do domu objuczeni dwiema torbami jabłek.

Ani on, ani ja nawet ich nie tknęliśmy. Ja lubiłam tylko jabłka Dagmar Hagelin, tata z owoców jadł wyłącznie śliwki i chichotał na myśl, jak go przeczyszczą.

Następnego dnia wieczorem dziadek opowiadał wzburzony, że jakieś łobuzy ukradły mu jabłka i że przez cały dzień zbierał pierwszorzędne owoce, które zostały pod drzewem.

– Coś takiego! – powiedział tata. – O jasny gwint!

Mama też dorastała na Skiljebo, w odległości dwóch przecznic od taty, w szwedzko-rosyjskiej rodzinie i gronie licznych przyjaciół niczym w powieści Lwa Tołstoja. W eternitowym domu, od którego wzięła swoją nazwę Funkisgatan⁴⁸, mieszkali Wiera z Runem i rodzice Runego, Bertil i Lisa. Rune i Wiera pracowali w Asei, on był tokarzem, ona frezowała silniki, Bertil był formierzem odlewnikiem w Zakładach Metalurgicznych, a Lisa – salową w przyszpitalnym sanatorium. W domu było troje dzieci: Nina, Janne i Tania.

W tym nieformalnym miejscu spotkań partii komunistycznej ciągle roilo się od ludzi. Policja, urządzając polityczne naloty, trafiała tam jak po sznurku. W midsommar w 1941 roku z polecenia Gustava Möllera⁴⁹ policjanci mieli złożyć wizytę każdemu komuniście w kraju. Najczęściej przychodzili i odchodzili, brali gruszki leżące na kuchennym blacie i mówili „Do rychłego zobaczenia”. Mimo to rodzina ukrywała na piętrze polskich Żydów – niemile widzianych w Szwecji – a pod materacami u dzieci chowała książki partyjne i „Ny Dag”⁵⁰. Kiedy wojna na froncie wschodnim przybrała inny obrót, wizyty policji stały się rzadsze, ale nadzór pozostał. Każdy miał swoją teczkę w bezpieczeństwie.

Ponieważ pamięć o przodkach jest krótka, a oficjalne przekazy historyczne zakłamane, opowiadali mi w dzieciństwie legendy o Funkisgatan. Przywoływali przeszłość, żeby oddać cześć zmarłym i wychować przyszłe pokolenia do takiej samej odwagi cywilnej. Jedną z legend była o Bertilu, dziadku mamy, który zorganizował pochód pierwszomajowy w wyjątkowo nieprzyjaznym roku zimnej wojny. Na skąpanym w wiosennym słońcu Stora Torget zebrało się kilkanaście osób, głównie rodzina.

– Nadeszła pora wymarszu, towarzysze! Stańcie w szeregu w odległości pięciu metrów od siebie!

Wszyscy się śmiali, ale nikomu nie umknęło ważne przesłanie: wstydić powinni się wyłącznie ci, którzy nie zajmują żadnego stanowiska. Trzeba walczyć, trzeba się organizować, nie zważając na to, czy będziemy sami, czy wyjdziemy na głupców, choćby wszystko wydawało się beznadziejne.

Naprzód, towarzysze! „Naprzód dąż i pieśni sens oczywisty chwyć!”⁵¹.

W czasie wojny Wiera i Rune jeździli na rowerze tandemie osiemdziesiąt kilometrów do Enköpingu i z powrotem po nakład „Ny Dag” obłożony zakazem przewozu. Przyjeżdżał pociągiem ze Sztokholmu w anonimowych torbach. Wsuwali gazety do cholewek i sprzedawali po kryjomu kolegom z pracy, między innymi dziadkowi Karlowi. Dowiedziałam się, że kuzyn Siggego trafił do obozu pracy w Storsien⁵², mimo że nie był aktywny politycznie. Pomylili go z kim innym. Wrócił kompletnie odmieniony. Babcię zwolniono z Asei, bo reprezentowała metalowców na kongresie związków zawodowych w Warszawie⁵³. Stina została wyrzucona ze sklepu pasmanteryjnego Lindberg & Hellberg, gdzie pracowała jako ekspedientka, bo była komunistką i jeden z klientów nie życzył sobie, żeby go obsługiwała. Przeprowadziła się do Spångi. Przed przeprowadzką partia powierzyła jej zaszczytne zadanie odczytania nekrologu Stalina w parku Ludowym na uroczystości dla uczczenia jego pamięci. Na stare lata śmiała się z własnej głupoty. Z radością powitała zmianę kursu C.H. Hermanssona⁵⁴, ale babcia Wiera i dziadek Rune nie byli zachwyceni. Uważali, że nowy lider ich partii zbyt kompromisowo traktuje pryncypia socjalizmu. Czyżby dwadzieścia dwa miliony obywateli radzieckich, którzy poświęcili życie walce z nazizmem, nagle nic nie znaczyło?

Tym, co różni ludzi od siebie, jest antyfaszyzm. Ten, kto nie jest antyfaszystą, nie ma prawa mówić o wolności i demokracji. Jeśli nie zrozumiesz, Åsa, że faszyzm ma charakter mieszczański i że może go rozbić na miazgę tylko nieprzejednany front ludowy, przyłożysz rękę do zwycięstwa sił reakcji. Jeśli teraz nas nie wysłuchasz, przypuszczalnie nigdy o tym nie usłyszysz. Możesz nie wiadomo ile lat chodzić do szkoły, ale tego się nie dowiesz.

I pamiętaj, Åsa, że urodziłaś się 20 maja 1968 roku. Tego samego dnia i roku zmarł Bertil i robotnicy i studenci walczyli w Paryżu o wspólną sprawę.

Kiedy dorosłam na tyle, żeby zrozumieć, jakie wydarzenia

towarzyszyły moim narodzinom i do czego mnie to zobowiązuje, drżałam na myśl o mojej roli. To nie mógł być przypadek. Byłam wybrana. E tam, powiedział tata, dzieciaki z wyższych sfer w Paryżu. Nie ma o co robić hałasu. 20 maja Kubańcy obchodzą święto narodowe⁵⁵ i to jest coś, co warto świętować, Natasza!

Babcia Wiera urodziła się w Rosji rewolucyjnej jesienią 1917 roku i dorastała w Jarosławiu, dwieście kilometrów na północny wschód od Moskwy. Tata Wiery, Peter, pracował w Asei, która w 1932 roku przeniosła produkcję do Västerås, kiedy Stalin chciał wykupić wszystkie zagraniczne zakłady. Firma zaproponowała swoim pracownikom wyjazd do Szwecji i Peter się zgodził. To było dość dramatyczne, chociaż wcale nie takie nienaturalne, ponieważ Peter miał szwedzkie korzenie. W latach osiemdziesiątych XIX wieku jego ojciec, zamiast popłynąć statkiem do Ameryki, wyemigrował za pracą na wschód. Żona Petera, Olga, przeprowadziła się do Szwecji dopiero po wojnie, kiedy Peter założył już nową rodzinę.

Kiedy Wiera przyjechała do Szwecji z ojcem i bratem Aleksiejem, miała piętnaście lat. W tym samym roku rozpoczął się długi okres rządów socjaldemokratów, ale przejęcie władzy na Starym Kontynencie przez faszystów skłoniło ją do wstąpienia do Komunistycznej Partii Szwecji. Jako Rosjanka zyskała w partii pewien status, była również cenna dla Rosjan. Mogła się swobodnie przemieszczać między dwoma państwami. Kiedy w latach pięćdziesiątych mama pojechała na obóz pionierów do Związku Radzieckiego, traktowano ją jak dziecko rosyjskiej elity partyjnej.

Z czasem Wiera zostawiła Runego i wyszła ponownie za mąż za Juliusza. Najpierw przeprowadzili się do Polski, a parę lat później, w roku 1958, do Związku Radzieckiego. Ci Szwedzi, którzy w latach pięćdziesiątych słuchali radia na falach krótkich, mogli usłyszeć wyraźny głos babci zapowiadającej wiadomości Radia Moskwa: „Tu mówi Moskwa”. Jeśli głos był młodszy i szybszy, przy mikrofonie siedziała mama. Mama mieszkała w Moskwie przez dwa lata i z mieszanymi uczuciami patrzyła na przywileje partyjnej nomenklatury i na to, że obywatele Kraju Rad nie mogą swobodnie

podróżować. Starsi z pobłażliwym uśmiechem, dla zatarcia złego wrażenia, składali wszelką krytykę na karb jej młodzieńczych błędów.

Po Moskwie były Tyresö, Karlstad i Vara. Babcia z dziadkiem trwali w niezłomnym przeświadczeniu o wyższości realnego socjalizmu. W każde Boże Narodzenie dochodziło do burzliwych dyskusji o Związku Radzieckim, podczas których mama chciała wymóc na nich przyznanie się do błędów i wypaczeń systemu. Babcia i dziadek – Rune zmarł młodo, dla mnie dziadkiem był Juliusz – przytaczali więcej argumentów za wkroczeniem wojsk radzieckich do Afganistanu niż Breżniew, a mama, rozgorączkowana, kontrargumentowała, że nikt, do cholery, nie ma prawa do inwazji na żaden inny kraj i do ciemnienia innych narodów.

– Taniuszka, najśłodsza Taniuszka – apelował dziadek, przekonany, że mama nie rozumie, czym dla afgańskich kobiet jest wykształcenie i zrzucenie burki.

– Czy nie jesteś członkinią Women’s International League for Peace and Freedom? – pytała mama, zwracając się do babci.

– Jestem. Zawsze byłam.

– I?

– I uważam, że trzeba pracować na rzecz pokoju i rozbrojenia.

– I?

– Tak uważam. Od zawsze.

Na Rönnergatan tata dawał z siebie wszystko, żeby zrozumieć Rosjan, ale niekiedy bez powodzenia. Pocieszałam go, mówiąc to, czego się dowiedziałam od dziadka i babci.

– Afganistan to tylko konflikt regionalny. Wewnętrzny! Coś, co muszą rozwiązać bez ingerencji z zewnątrz.

Nie satysfakcjonowała go moja odpowiedź. Przecież z byle powodu Rosjanie nie gnębiliby niewinnych ludzi.

Tata zgadzał się z dziadkiem Juliuszem w kwestiach politycznych, ale mimo to nie potrafił go zrozumieć. Stroił sobie żarty z jego obrazów i niekończących się monologów o Diderocie, Stanisławskim i Sarze Lidman. Według dziadka sztuka, literatura, teatr i muzyka

nie tylko miały coś do przekazania klasie robotniczej – uważał, że klasa robotnicza powinna zająć wobec nich swoje stanowisko, choćby podczas obiadu bożonarodzeniowego czy przy sznapsie w midsommar. Zadaniem kultury jest wyzwalać, oświecać, mobilizować.

Marks i Engels napisali, że burżuazja stwarza sobie społeczeństwo na obraz i podobieństwo swoje⁵⁶. Czy na potwierdzenie tych słów mamy jakieś dobre współczesne przykłady? Dlaczego możemy powiedzieć, że Arvid Falk⁵⁷ jest radykałem, ale nie rewolucjonistą? Czy *Wiśniowy sad* to komedia, czy tragedia?

Dziadek, w golfie i wełnianej marynarce – przypominający wujka Melkera z *My na wyspie Saltkråkan* – był typowym krzewicielem oświaty ludowej w rodzinie, która nie całkiem pozwalała się doksztalać. W każdym razie nie bez przerwy. Obudź mnie, kiedy Julek skończy, szeptał Aleksiej, który przez małżeństwo z Majken był szwagrem dziadka i taty.

Dziadek Juliusz kochał klasę robotniczą, co tata odbierał jako obraźliwe. Dziadek wychodził z założenia, że robotnicy powinni się zachowywać w określony sposób i mieć określone poglądy, dlatego że są robotnikami. Jeśli tak nie było, czuł się zawiedziony. Tata się oburzał. Jakim prawem Julek – uczeń Svena „X” Erixsona⁵⁸ w Akademii Sztuki – który opowiadał dyrdymały jako pedagog teatralny w Pradze, a teraz siedzi za biurkiem w Skaraborgu jako konsultant oświatowy, mówi o warunkach życia i pracy robotników w fabryce?

– Do czego on, cholera, używa swoich rąk? Do malowania farbami! Do pisania na maszynie! Tak wyglądają moje szpony, a on głądzi o Göranie Palmie⁵⁹ i jego pracy w LM Ericsson.

W ogóle by się nie przejął, gdyby Czechow wstał z grobu i przez parę tygodni nadymał się w Zakładach Metalurgicznych.

Było mi przykro, kiedy tata tak mówił. Mojej miłości do dziadka Juliusza nie przesłaniały żadne chmury. Spędzałam z nim wesołe letnie dni pośród krzewinek czarnych jagód i żmij, przynosił mi książki i domagał się natychmiastowej lektury, żebyśmy mogli

porozmawiać. A mimo to śmiałam się i trzymałam stronę taty, kiedy tata z niego drwił.

Pewnego razu dziadek wyraził się niepochlebnie o mahoniowym regale taty i tata nigdy mu tego nie wybaczył. W rewanżu krytykował dom babci i dziadka za kompletny brak stylu, a dla mnie był to najpiękniejszy dom na świecie. Proste meble Brunona Mathssona, tekstylia z Borås, ażurowe regały, babcine patchworkowe obicia i szydełkowe koce. Na ścianach barwne obrazy dziadka i rosyjscy awangardysty. Wszędzie książki i zapach espresso, pielmieni, kurczaków tabaka i barszczu. Słuchało się Wysockiego i Violety Parry, rozmawiało o Balzaku i Strindbergu. Mimo określonego stosunku do Związku Radzieckiego istniała przestrzeń dla wszelkich poglądów.

Według taty wszystko było koszmarnie.

Bodaj najbardziej wytrącał go z równowagi wykład dziadka Juliusza o klasie robotniczej jako awangardzie rewolucji. Kiedy dziadek, obrzucając tatę wymownym spojrzeniem, oświadczał, że to klasa robotnicza powinna przywieść kraj do socjalizmu, tata uważał, że stawiane mu wymagania są nieludzkie.

Za to bez problemu znajdowali wspólny język, dyskutując o Ingmarze Bergmanie. Filmowanie pieprzonego zegara, który tyka, mówił tata, albo pokazywanie jakichś lęków faceta na widok gołej madam – to ma być arcydzieło klasy światowej? No jasne, że ludzie chodzą na coś takiego do kina, bo kto, do cholery, nie chciałby zobaczyć cycków Harriet Andersson? Dziadek mówił, że Bergman to mieszczański malkontent, który nie boi się ekskrementów, ale jest politycznym tchórzem. Nie inaczej, przytakiwał tata, gównu, oto na czym mistrz się zna. I na cyckach.

Babcia Wiera też irytowała tatę, choć jednocześnie darzył ją bezgranicznym szacunkiem, bo urodziła się w Związku Radzieckim i służyła za tłumaczkę wszystkim światowej sławy Rosjanom, którzy przyjeżdżali do Szwecji. Tata mówił, że pracowała i zaprzyjaźniła się z Jurijem Gagarinem, Chaczaturianem, baletnicami, uczonymi, trupami cyrkowymi, a przede wszystkim z reprezentacją Związku

Radzieckiego w hokeju i jej trenerem Tarasowem. Miał nadzieję, że część tego splendoru spłynie również na niego. Babcia wracała do domu z wyrobami rosyjskiego rękodziela, lalkami, znaczkami pocztowymi, porcelaną. Kiedy pokazywałam te prezenty tacie, traktował je jak skarby z grobowca Tutenchamona.

Któregoś roku babcia przyjechała do Västerås z zespołem baletowym. Zatrzymali się w Hotelu Miejskim i poszliśmy ją odwiedzić. To było przeżycie! Weszliśmy po grubym dywanie do okazałego budynku przy Stora Torget, który wydawał się niezdobytą twierdzą. Regularnie chodziliśmy do narożnego pubu Backfickan – a może wtedy nazywał się jeszcze Bondkällaren? – ale tutaj nigdy nie byliśmy. Tacie marzyła się wytworna kolacja w pięknej hotelowej sali restauracyjnej, tak jak marzyła mu się wyprawa do Sztokholmu, do Gyldene Freden⁶⁰ na Starym Mieście, gdzie siedzielibyśmy obok Everta Taubego i Cornelisa Vreeswijka i wcinali befszytk z cebulką.

Babcia, niska i krągła, w barwnej tunice i tiubietejce na krótkich włosach, z radością przywitała nas w apartamencie. Zwracała się do mnie „Åsik”, zdrabiając po rosyjsku moje imię. Mówiła przepięknie. Miętko i melodyjnie.

Tata trzymał w objęciach duży bukiet szeleszczących, zwilżonych, czerwonych róż. Wręczył go babci i strzepnął z garnituru krople wody, których nie wchłonął materiał. Był spięty. Od rozwodu z mamą bardzo rzadko się widywali i może na jego niechęć do babci wpłynęło coś, co miało z tym związek. Rozmowa stała się luźniejsza, kiedy do apartamentu zajrzały rosyjskie gwiazdy. Czy nie miałyby ochoty na jednego głębszego? Tata zerknął na babcię. Tak, dziękuję, spasiba.

– To mimo wszystko nieprzeciętna kobieta – powiedział, kiedy wyszliśmy. – Ale kwiaty kosztowały kupę floty.

Mama i tata dorastali wśród świadomych klasowo metalowców o wysokim morale, którzy walczyli o demokratyczne reformy i o prawa robotników. Ale rewolucyjny dom mamy na Funkisgatan i bardziej reformistyczny dom taty na Björkgatan różniło wszystko.

Na Funkisgatan, gdy tylko nadarzyła się okazja, organizowali się, dyskutowali, czytali książki i urządzali przyjęcia. Na Funkisgatan, gdzie wiecznie żywe były marzenia o socjalizmie, wykuwała się idea jedności łączącej sumiennego robotnika z bohema. Na Björkgatan niczego się nie czytało ani nie świętowało. Wychylenie się, wyjście przed szereg, było grzechem śmiertelnym, a za zaoszczędzone pieniądze kupowało się kryształowy żyrandol. Kobiety na Funkisgatan pracowały i zarabiały. Babcia Bojan była gospodynią domową, jej świat kręcił się wokół dziadka.

Ale dziadek Karl, opowiadając o swoich śmiałych bojach, tak tego nie widział. Zradykalizował się w latach dwudziestych, kiedy skierowano go do pracy przymusowej przy budowie torów kolejowych w Norrlandii. Budowanie torów wymagało ciężkiej harówki, która kształtowała świadomość polityczną. Wielu kolegów dziadka było syndykalistami. Właśnie wtedy stał się abstynentem, bo co tydzień któryś z nich przepijał swoją pensję. Pozostali robili zrzutkę, żeby wysłać parę groszy cierpiącej głód rodzinie. Robotnik torowy, mówił dziadek, musiał być solidarny nawet z tymi, którzy na to nie zasługiwali. To był jedyny sposób, żeby przeżyć. Kiedyś pewien kolega spółkował z dziewczyną z sąsiedniej wsi i rozerwał jej pochwę, bo miał przyrodzenie jak ogier i głowę jak osioł. Dostał karę grzywny, na którą się złożyli, ale przedtem pobili go do nieprzytomności.

Z takim samym zapamiętaniem dziadek opowiadał o czarnej liście po strajku metalowców w 1945 roku.

– Gdybym nie polował i nie łowił ryb, umarlibyśmy z głodu, dziewczuszko, i to tylko dlatego, że strajkowaliśmy za podwyżką o piętnaście öre! Nielegalnie łapałem raki w Svartån i sprzedawałem do Hotelu Miejskiego po koronie za dwadzieścia sztuk.

Dziadek szybko został przywrócony do pracy. Miał już jednak dość takich doświadczeń, zwłaszcza po deklaracji Tagego Erlandera, że

socjaldemokraci zniszczą każdego komunistę w każdym miejscu pracy. W swoim mniemaniu odegrał się, obejmując funkcję związkowego męża zaufania bez żadnej książeczki partyjnej, ani komunistycznej, ani socjaldemokratycznej. Ale z akt bezpieczeństwa nigdy go nie wykreślili.

Chętnie opowiadał mi o socjalizmie. Po raz pierwszy dowiedziałam się o tym czymś fantastycznym, co nas czeka w przyszłości, kiedy przez dwa zimowe tygodnie chorowałam na ospę wietrzną. Dziadek, który się mną opiekował, był wyraźnie znudzony. Przed południem łowiliśmy ryby spod lodu na Mälaren, po południu graliśmy w karty i słuchaliśmy Everta Taubego. Któregoś dnia dość nieoczekiwanie przestał snuć swoje opowieści.

– A teraz, dziewczuszko, powiem ci o czymś, co może ci się wydawać niezwykle, ale to najprawdziwsza prawda. Widzisz, jest coś, co się nazywa socjalizm...

– Wiem.

– Aha... hm... tak...

Trochę go to zbiło z tropu, nie stracił jednak animuszu i zaczął mówić tak jak kiedyś jego koledzy torowcy. Fabryki przejdą w posiadanie i pod zarząd rad robotniczych. Robotnicy będą wybierać w głosowaniu swoich brygadzystów, zyski przeznaczy się na zapewnienie bardziej ludzkiej pracy i na dobrobyt dla wszystkich. Nie będzie tak jak w Związku Radzieckim – socjalizm nie ma nic wspólnego z państwem i partią. Lud przejmie władzę nad produkcją i jej nadwyżkami.

– Nikt, dziewczuszko, dosłownie nikt, nie będzie się bogacił kosztem innych! Żeby socjalizm miał szansę się ziścić, rewolucja musi się zacząć w Nju Jorku. A to potrwa. Ja już tego nie doczekam, ale ty, dziewczuszko, na pewno!

Kiedy przychodziłam do dziadka w ostatnich latach jego życia, podekscytowany sięgał po kryształowy wazon z wygrawerowanym jego nazwiskiem, który dostał od organizacji związkowej Zakładów Metalurgicznych. Miałam go trzymać, a dziadek opowiadał, jak znalazł się w samym środku walki w fabryce między komunistami, prawicową frakcją socjaldemokratów i szefami.

– Wszyscy chcieli, żeby siekiera poszła w ruch, ale tylko ja miałem odwagę chwycić za trzonek⁶¹!

Prosił, żebym ważyła wazon w dłoniach, porządny kawał szkła, który miał swój ciężar gatunkowy, bo Kalle Andersson budował kraj i szwedzki przemysł. Oczywiście nie całkiem sam, ale się do tego przyczynił. Mierzył rozwój swoją fabryką i domem, który sam postawił, tym, że dwunastogodzinna dniówka zamieniła się w ośmiogodzinny dzień pracy, a pięciodniowy urlop w pięcioletni. Jest powszechne i równe prawo wyborcze, renta powszechna, powszechna opieka dentystyczna i opieka nad osobami starszymi. I praca dla wszystkich. Dlaczego postęp miałby się kiedykolwiek skończyć?

Tata kręcił głową, ale tak, żeby dziadek nie widział. Ojciec niewiele zrobił, mówił, w każdym razie w porównaniu z rodziną Tani. We wszystkich demokratycznych reformach w tym kraju brali udział i bili się o nie komuniści z Funkisgatan. Ależ oni walczyli przeciwko nazistom, kapitalistom, socjaldemokratycznym prawnikom i innym gangsterom!

– I z tego możesz być dumna, Natasza. Nigdy, przenigdy nie zapominaj, że jesteś też jedną z Linderborgów.

Geograficznie tata żył w małym świecie – jeździł rowerem do Zakładów Metalurgicznych, na Viksäng i Skiljebo, na przystań żeglarską i Stora gatan, i od czasu do czasu do Irsty – ale miał wielkie marzenia. Marzył mu się komunizm. To była nasza tajemnica, nie wolno mi było nikomu jej zdradzić. Najmocniej marzył w te dni, kiedy nie miał grosza przy duszy i czuł się jak wieczny nędzarz.

W komunizmie, mówił tata, nie ma żadnych klas i dlatego nie ma pieniędzy ani wojen. Zamiast sklepów są magazyny, do których się po prostu wchodzi, bierze to, czego się potrzebuje, i zostawia coś, co może się przydać komuś innemu. Na przykład parę butów wymienia się na dywan albo rower na pralkę. Każdy mieszka, gdzie chce – czarni, biali, Żydzi, Finowie, Rosjanie, ci ze Skanii, Amerykanie – nie ma żadnych narodowości, są ludzie. Nikt nie jest biedny ani bogaty, wszystkim jest jednakowo dobrze. Wszyscy mówią tym samym językiem, wszyscy sobie nawzajem pomagają. W komunizmie nie ma konkurencji, tylko współpraca i równy podział. Produkuje się wyłącznie to, co niezbędne, a nie jakieś idiotyczne duperele, które niszczą środowisko. Nikt nie musi tyrać przez całe życie, wszyscy się kolejno zmieniają. Chory nie musi pracować. Osiedla mieszkaniowe to małe kolektywy, gdzie ludzie przebywają ze sobą. Na podwórkach są długie stoły zastawione jedzeniem, które wszyscy wspólnie przyrządzają. Każdy jest mile widziany, nikogo się nie wyklucza.

W komunizmie nikt nie musi być sam.

W Szwecji, kraju umowy społecznej, tata marzył o prawdziwej współpracy. Żadnych klas, żadnych wojen.

– Zobaczysz, będzie wspaniale, będzie wspaniale jak diabli.

Miał pomysły na wszystko, od gospodarki odpadami po procesy decyzyjne, ale nic nie mówił o swoich zapatrywaniach na organizację życia rodzinnego. Albo brakowało mu wyobraźni, albo myślenie o tym, podobnie jak o wielu innych rzeczach, które go nie obchodziły, było ponad jego siły.

Komunizm, o którym opowiadał tata, przypominał jego wyobrażenia o Kubie. Roił sobie, że ludziom żyjącym w komunizmie

uda się doprowadzić do usunięcia raz na zawsze jednej pory roku – zimy. Komunizm oznaczał kubańskie słońce i ciepło, a nie śnieg, chłód i dryfujący lód. Tata nie miał ochoty zwiedzać świata – podróże ograniczają człowieka – ale na Kubę chciał pojechać. Zwodził siebie i mnie, że możemy tam się wybrać w każdej chwili. Przynosił z kuchni brązową pocztową książeczkę oszczędnościową, którą dostałam od wujka Elisa, kiedy się urodziłam, siadał w fotelu i mówił, że jest na niej mnóstwo pieniędzy na podróż. Od dawna przestałam mu zwracać uwagę, że na koncie jest zero. Nie chciałam sprowadzać go na ziemię.

Innym marzeniem taty był drewniany czerwony dom z białymi węglami, grządka pachnącego groszku i kratka na pnące róże. Siedziałyby w altance i słuchał radia. Uważaliśmy, że to niesamowicie śmiałe. W porównaniu z tym komunizm wydawał się łatwiej osiągalny.

Tata nie miał doraźnych celów. Nie dążył do czegoś realnego, czegoś pomiędzy następną wypłatą a innym społeczeństwem. Przez cały rok czekał na lipcowy urlop dla pracowników zatrudnionych w przemyśle, nie dlatego, żebyśmy mogli wtedy robić mnóstwo najrozmaitszych rzeczy, ale żeby nie musiał pracować.

Lato mijało mu na niczym.

Pewnego ranka mama zawiozła mnie do taty w pierwszy dzień jego urlopu. Otworzył drzwi zaspany i wciąż pod gazem, usiadł w fotelu, gdzie spędził noc, i zasnął. Poranne słońce opromieniało parkiet. Przez chwilę patrzyłam z kanapy na jego bezczynność. Tak miał przesiedzieć cztery tygodnie. Kiedy znowu musiał iść do pracy, był niesamowicie zawiedziony.

Tata nie należał do partii. Dla niego „Partia”, pojmowana w rodzinie mamy jako nadrzędny żywy organizm, nic nie znaczyła. Nie uczestniczył w żadnym marksistowskim kółku samokształceniowym, gdzie objaśniano relacje między płacą, ceną i zyskiem. Mówił, że nie jest mu to potrzebne.

– Odbijam kartę trzy po siódmej i pracuję do sześć po czwartej. Przez osiem godzin haruję jak wół, a płacą mi za połowę. Resztę

Wallenberg zgarnia do swojej kieszeni. I tyle. To proste jak drut.

Wiara taty w solidarność i sprawiedliwość była równie bezkompromisowa jak jego mocowanie się ze stalą. Miał jednak duszę na ramieniu, że jego radykalizm wyjdzie na jaw. Czekał bankowe trzeba wypełniać niebieskim długopisem. Kiedy się dowiedziałam, że przez całe swoje dorosłe życie był na czarnej liście za poglądy polityczne, nie odważyłam się pisać ani słowa.

Służba bezpieczeństwa sporządziła pierwszą notatkę o mamie w 1955 roku, kiedy skończyła dwanaście lat. Była na Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów w Warszawie. Zapiski dotyczyły demonstracji i zebrań partyjnych, w których brała udział. Barachło. Zarchiwizowali jedno zdjęcie, na którym tańczy na jakimś kongresie z C.H. Hermanssonem. Fotografowi udało się uchwycić tylko jej ucho, ale zapewniał, że to Tania Linderborg wiruje na parkiecie z przewodniczącym partii komunistycznej. W roku 1967 odnotowano, że zawarła związek małżeński z Leifem Anderssonem. Kim był donosiciel albo donosiciele w łonie partii, pozostało tajemnicą. I w ten oto sposób tata, którego jedynym wyczynem politycznym było poślubienie mamy i korzystanie ze swojego prawa wyborczego, też trafił do akt.

Rodzice byli lewicowi, ale każde inaczej. Tata czuł się prześladowany – o czym nie mówił, uważając, że to upokarzające – ale nie walczył. Mama ani się tak nie czuła, ani nie była szczególnie prześladowana, ale walczyła w obronie tych, którzy byli. Oboje opowiadali się za progresywną polityką dystrybucji, tyle że kiedy tacie marzyła się władza robotnicza, mama śpiewała: „O, o, dziewczyny, o, o, dziewczyny, musimy mówić głośniej, bo nas nie usłyszą”⁶². Tata chciał wyższej pensji, mama sześciogodzinnego dnia pracy. Mama wierzyła w humanitarne więziennictwo i domagała się równych praw dla osób homoseksualnych. Tata był mniej tolerancyjny; za pedofilię powinna być kara śmierci. Ale o homoseksualistach nic nie mówił, to go nie interesowało. Dowcipy o pedałach rzadko bywały zabawne.

Mama brała aktywny udział w referendum przeciwko energii jądrowej – w mieście, gdzie miała swoją siedzibę Asea Atom – i tata

głosował na trójkę⁶³, żeby nie zawieść ani jej, ani Partii Lewicy – Komuniści. Po referendum odetchnął z ulgą. Co za cholerny fart, że człowiek nie został bez pracy!

– Gdyby wygrali ci pożeracze fasoli mung, którym się roi, że słońce świeci na zamówienie, wyłączyliby cały kraj.

Po rozwodzie w wyborach parlamentarnych w roku 1973 tata zamierzał głosować na Palmego. Poprosił, żebym nie mówiła o tym dziadkowi, ale mamie jak najbardziej – potrzebował mojej pomocy w podkreśleniu swojej niezależności wobec kobiety, która go zostawiła. Ale na kartach wyborczych, które wkładał do kopert, widniała Partia Lewicy – Komuniści.

Kiedy w roku 1979 mama startowała w wyborach do rady gminy, pocił się za zielonym parawanem w szkolnej stołówce na Viksäng. Delikatnie wodził palcem po karcie wyborczej z jej nazwiskiem, jakby ją głaskał po policzku. Ładnie ubrany, smutnawy i lekko zdziwiony, jak ona śmie głosić swoje poglądy wszem wobec. Kiedy w latach dziewięćdziesiątych mama kandydowała do Riksdagu, postawił krzyżyk przy jej nazwisku, mimo że była pierwsza na liście.

Rok 1976. Zmiana władzy. Zasnąłam przed ogłoszeniem wyników.

– Kto wygrał? – zapytałam, kiedy w półmroku wrześniowego poranka zdejmowaliśmy blokadę z roweru.

– Prawica. Teraz zobaczysz, że wszystko szlag trafi!

Czekały nas złodziejskie czasy w złodziejskim społeczeństwie, mówił tata, równie przerażony jak Maja-Borówka, która panicznie bała się komety. Robotnicy drogo za to zapłacą.

Wszyscy byliśmy w szoku.

– A to ci dopiero przykra sprawa – powiedziała babcia, która głosowała na Larsa Wenera⁶⁴, tak jak jej polecił dziadek. – Czy Palme nie mógłby jakoś zostać? Naprawdę nie da się tego jakoś załatwić?

Była zadowolona, że stary król nie żyje, bo nie musiał być świadkiem tego wszystkiego. Babcia nie wyobrażała sobie, żeby taki elegancki i mądry mężczyzna nie był socjaldemokratą.

– A niby co królowi do tego? – spytał tata.

– To nie wszyscy są socjałami?

– Matka, nie masz pojęcia, o czym gadasz! – powiedział dziadek.

Kiedy tata i dziadek rozmawiali o polityce, babcia miała siedzieć cicho, bo jeśli nie, mogła usłyszeć, że lepiej zna się na gołąbkach niż na Stålverk 80⁶⁵. Ale mnie wolno było zabierać głos, zawsze mnie słuchali.

Dziadek chichotał.

– Będą z ciebie ludzie, dziewczuszko! Bez dwóch zdań!

Byłam tak pochłonięta tym przeklętym trójpartyjnym rządem, że w kratkowanym notatniku A5 zaczęłam pisać sztuki, powieści i wiersze, które według taty wymagały dopracowania, żeby można je było komukolwiek pokazać. Przede wszystkim nie wolno mi było pokazywać ich w szkole, bo to się mogło źle skończyć.

W weekendy tata spał długo, chyba że dawały o sobie znać objawy abstynencji, niepokój i nadpobudliwość. W niedzielę, kiedy był na kacu, budził się wcześniej, żeby skonstatować, że butelki są puste. Wtedy czasami ściągał z łóżka swojego brata Rolfa, który podwoził nas na stację benzynową w Irście, gdzie tata znał kogoś, kto bez względu na porę dnia sprzedawał mocne piwo.

Tata siedział z przodu i drżał.

– Jak tam, Leffe?

– Okej, jedź.

Ja w weekendy budziłam się wcześniej i w samych majtkach biegłam do swojego pokoju po coś do zabawy – rosyjską lalkę, torbę konduktorę, szkicownik – i bawiłam się przez chwilę obok taty. Spał jak kamień. Potem biegłam po coś innego. Przerazało mnie ciemne mieszkanie, w którym tylko ja nie śpię. Wkrótce na łóżku piętrzyło się tyle rzeczy, że musiałam je układać na tacie.

Gęstą ciszę przerywał jedynie jego oddech i odgłos bambetli spadających z niego na podłogę, kiedy się poruszył.

Stopy wystawały mu spod kołdry. Jeśli zdejmował skarpetki, mimo półmroku było widać, jakie są brudne. Jakby brodził w starej wodzie z doniczki. Siadałam przy nim na podłodze i patrzyłam. Kładłam dłoń na płaskich podeszwach stóp i dotykałam popękanych paznokci. Były żółte. I czarne.

Przysuwałam bliżej nos i wdychałam słodko-kwaśny fetor.

Wchodziłam do łóżka, ale szybko wracałam, żeby znowu wąchać. Studiowałam jego zasyfione sery.

Potem pędziłam do lustra w przedpokoju, stawałam na palcach, patrzyłam sobie w oczy najgłębiej, jak tylko mogłam, i bałam się samej siebie.

Uciekałam od własnego odbicia, biegłam do taty, przełaziłam przez niego, kładłam się obok i wpatrywałam w jego ramię.

Tata, który przez wszystkie dni robocze myślał o czasie wolnym, budził się wyzuty z chęci do czegokolwiek. Marudziłam, żeby wstał. Wstawał, ale nie od razu.

Jadłam kromkę chleba od Lundiusa z sardynkami w sosie

pomidorowym. Kiedy byłam starsza, otwierałam puszkę anellini albo jedną z wielu puszek białej fasoli Heinza, które jakimś cudem były w spiżarni. Tata mówił, że nie ma pojęcia, skąd się tam wzięły. Jadłam je na zimno prosto z puszki.

W kuchni słuchaliśmy radia: *Frukostklubben* z Siggem Fürstem, jeśli wcześnie wstaliśmy, *På minuten* i *Ring så spelar vi*⁶⁶. Kuchnię wypełniały *Drömmen om Elin*⁶⁷, *Brevet från kolonien*⁶⁸ i szlagiery Burta Bacharacha.

Tata, oparty o blat, śmiał się z Moltasa Eriksona⁶⁹ i Stiga Järrela⁷⁰, zapalał papierosa i z niekłamany uśmiechem słuchał, jak Lasse Berghagen śpiewa o starym mężczyźnie, który wyprostowany jak sosna zdejmuje marynarkę i zrzuca z nóg buty⁷¹. Cieszył się, że ma wolne. Stawałam mu na stopach i tak chodziliśmy po plastikowym chodniku. Śmiałam się, on też, dopóki ból nie zaczynał dawać mu się we znaki.

Chichotał „chi, chi”, często do łez. Ja rechotałam donośnie jak mama.

Przed dziesiątą tą samą drogą co do Zakładów Metalurgicznych jechaliśmy do miasta autobusem. W weekendy nie wypadało jechać rowerem.

W Västerås wszystko, co ważne, jest budowane wznwyż. Obok dworca kolejowego wznosi się wieża Asei z ciemnej cegły. Jeszcze jako dziecko dowiedziałam się, że najistotniejsze decyzje dotyczące Asei – a tym samym każdego mieszkańca Västerås – zapadają na samej górze, pod grynszpanową miedzianą kopułą. Dziadek opowiadał, że najbardziej władczy mężczyźni zbierają się pośrodku pokoju wokół stołu w kształcie swastyki⁷² i studiują wykresy związane z przyszłością nas wszystkich.

– Tak to, cholera, jest – mówił tata. – Właśnie tak się sprawy mają w tym pieprzonym złodziejskim mieście.

Niedaleko centrum była Villa Asea. Mało kto potrafił wskazać dokładny adres. Tata wiedział, że ta chałupa na pewno jest i że stoi gdzieś za Oxbacken. Tam szef Asei urządza wielkie przyjęcia z orkiestrą, lokajami i kelnerkami w białych wykrochmalonych fartuszkach. Dym cygar i bufet z trunkami. Panowie, którzy zwracają się do siebie „bracie”, i luksusowe prostytutki przywożone łodzią ze Sztokholmu, kto wie, czy nie jachtem motorowym „Loris” Ivara Kreugera. Prawdziwe cacko!

Obżerali się polędwicą wołową i rosyjskim kawiozem. Codziennie. I górami szwedzkich raków.

– Cholery można dostać, że ci, co nie mają bladego pojęcia, jak się je raki, opychają się nimi, ile wlezie. Na pewno wtrząchają tylko odwłoki, a resztę wyrzucają.

Raki, mówił tata, kryją w sobie pewną tajemnicę, znaną tylko nielicznym, którym jest dane doświadczać jedynych w swoim rodzaju wrażeń smakowych. On poznał tajemnicę tych czarno-czerwonych skorupiaków. Ty też, dodał, kiedy go o to z niepokojem zapytałam. Ludzie jedzą raki tylko raz w roku i tylko dlatego, że taka jest tradycja, a na dobrą sprawę chodzi im wyłącznie o alkohol, którym ucztę rakowe są suto zakrapiane.

Zawsze mieliśmy pieniądze na jedno opakowanie tureckich raków, w sezonie jedliśmy raki kilka razy w tygodniu. Tata robił wywar i czekał z calówką, żeby zmierzyć największe sztuki, te dla mnie. Potem zasiadaliśmy przed telewizorem, z ręcznikami na kolanach, i siorbaliśmy, i dłubaliśmy. Tata pilnował, żeby moja

kupka skorupki była tej samej wielkości co jego.

Jeśli miałam szczęście, odgrywał wyfraczzonego gospodarza Villi Asea, z hrabiowskim „r”.

– Może jeszcze haczka, panienko? Nie? To może da się panienka skusić na cygahko i ghog?

Albo zadzierał brodę do góry, przymykał oczy, po kobiecemu odsuwał mały palec, przeciągał samogłoski, a „i” wymawiał bzycząco, z przesadnie wysuniętym językiem:

– Ja i mój małżoonek Noppe von Dupa Pawiana oglądaliśmy przed paroma dniami zachwycający apartaaament w Diplomaaatstaaan⁷³. Tuuutaj, powiedziała, zmieści się waaanna Hitlera, kaaarzeń do towarzystwa i Murzyn domowy. Tuuutaj jest dużo miejsca do puszczenia bąków..... bąąąkóóów...Ups, ojej!

Unosił pośladek i udając, że poprawia fryzurę, puszczał wiatry. Nie zawsze głośno, ale smrodliwie, co szczególnie go bawiło.

– Cichacz! Brawo, Noppe!

Skręcałam się ze śmiechu.

– Jeszcze raz! Bądź hrabiną jeszcze raz!

Miał dość swoich występów na długo przede mną.

Kiedy byliśmy w mieście, liczyłam wieże. Prostokąt Domu Ludowego stojący na sztorc i dzwonnica na wieży magistratu z szarego granitu symbolizowały komunę robotniczą, która od 1917 roku rządziła miastem w bliskim porozumieniu z Aseą, Zakładami Metalurgicznymi, ICA Hakonbolaget⁷⁴ i innymi dużymi pracodawcami. Przez ostatnie dekady XIX wieku i pierwsze wieku XX Västerås było miastem byle jakim, z radykalnym i niejednorodnym ruchem robotniczym, teraz nikt nie kwestionował, że zasadą nadrzędną jest współpraca wszystkich klas społecznych, a do zadań komuny robotniczej należy reprodukcja siły roboczej. Żłobek dla wszystkich, szerokie ścieżki rowerowe, korzystne cenowo domy dla metalowców. Od magistratu linia prosta prowadziła w dół, do babcinej sztuki mięsa w sosie chrzanowym. Wszystko opisywał i komentował liberalny „Vestmanlands Läns Tidning”, który miał

swoją siedzibę w wieżowcu prasowym po drugiej stronie Svartån.

Katedra miała ceglana wieżę w kolorze piernikowym. Koło portu była elektrociepłownia z kominem zwieńczonym czerwoną świetlną koroną, która zaczarowywała mnie wieczorami. Siadałam na kanapie i patrzyłam na nią przez okno – w tę samą stronę, gdzie mieszkali mama i Lasse.

Nad tym wszystkim długo krążyły samoloty eskadry lotniczej F1. W soboty odbywały się parady Flickgarde⁷⁵, orkiestry dętej złożonej z młodych dziewcząt w czerwonych mundurkach. Niespiesznie maszerowały Vasagatan, z dumną tamburmajorką na czele. Byłam ciekawa, skąd są te panienki w krótkich spódniczkach i białych botkach, tak zręcznie zonglujące pałeczkami. Chciałam wiedzieć, gdzie mieszkają. W każdym razie na pewno nie na Viksäng. I na pewno nie mogłabym się stać jedną z nich. Może mieszkały na Talltorp albo Hamre, osiedlach graniczących z Viksäng, gdzie było mnóstwo ładnych szeregowców i willi z wapienno-piaskowej cegły.

Tata stał obok mnie i prychał. Nie cierpiał wszystkiego, co miało jakikolwiek związek z wojskiem. Nigdy nie obejrzał żadnego filmu wojennego, nie czytał o żadnych wojnach i nie interesował się bronią. Odbywał służbę wojskową na Gotlandii – od tamtej pory „największym zadupiu w Szwecji” – dopóki z jakiegoś powodu, którego nie potrafił mi wyjaśnić, nie został zwolniony.

Ulżyło mu, że nie musi tam tkwić do końca, ale zwolnienie godziło w jego poczucie męskiej dumy i wprawiało w zakłopotanie. Napomknął jedynie, że kiedy leciał nad Bałtykiem, w samolocie zapalił się silnik. Na tej pieprzonej wyspie to normalka!

Czasami małpował gotlandzki.

– Ty żeś yjzel z dugaśnymi słuchami. Wiesz, co to znaczy? „Jesteś osłem z długimi, długimi uszami”. Sama rozumiesz, jakie ciemniaki tam mieszkają. Wszyscy mają nie po kolei w głowie.

Tłumaczył mi, że żeby być mężczyzną, nie trzeba paradować w mundurze. Ale mężczyzna nie powinien mieć grzywki – prawdziwy facet nie chodzi, kurde, z włosami na czole.

Najpierw szliśmy na Stora Torget. Latem kupowaliśmy ogórki

västerås⁷⁶ i kwiaty na balkon. Potem tata odwiedzał szalet męski pod lewym skrzydłem Hotelu Miejskiego. Nie dlatego, że musiał. Na swój sposób podobało mu się otoczenie tak krańcowo różne od jego ozdobnych serwetek i drapowanych zasłon. Jakby po zakupieniu petunii odczuwał potrzebę, żeby sobie przypomnieć, że mimo wszystko jest mężczyzną.

Od odoru kręciło w nosie. Stałam obok i patrzyłam na rozkraczonych mężczyzn, którzy celowali do nierdzewnych rynienek z bieżącą wodą.

– Siemanko, siemanko, hej, hej!

Mokra posadzka. Rozglądałam się za suchym miejscem, żeby nie zamoczyć białych drewniaków, ale nie chciałam się zanadto przemieszczać pośród tych wszystkich mężczyzn z rozpiętymi rozporkami. Woda z moczem przenikała do obcasów. Wstrzymywałam oddech, żeby nie dostać mdłości. Tacie nie od razu udawało się coś z siebie wycisnąć i dopiero po dłuższej chwili mógł otrząsnąć penisa. Nikt nie mył rąk.

Tak samo sikał do zlewu. Zafascynowana patrzyłam na silny strumień brązowożółtego skoncentrowanego moczu o ostrym zapachu, trafiający w sitko. Wydawało mi się, że paruje, jakby całe ciało mistrza hartownika wrzało od gorących pieców Zakładów Metalurgicznych.

Po wyjściu z szaletu szukałam jakiejś kałuży, w której mogłabym opłukać drewniaki. Zimą wbijałam botki w śnieg i stałam tak przez kilka sekund. Tata dziwił się, co ja wyprawiam.

Zagladaliśmy do sklepu Ericssona z owocami i serami wyłącznie po to, żeby tata mógł szorstko skonstatować, że jest za drogo; tam prąstost był tylko na wagę. W centrum handlowym Sigma odwiedzaliśmy sklep ze szkłem i artykułami dekoracyjnymi. Tacie podobała się większość rzeczy, rzadko jednak coś kupował. Kiedyś po prawdziwych katuszach zdecydował się na dmuchanego delfina i lampion. Dla ozdoby, nie do codziennego użytku.

W salonie z meblami z Fjugesty testowaliśmy skórzane kanapy i przesuwaliliśmy palcem po mosiężnych okuciach. Chcieliśmy kupić wszystko.

Na Köpmangatan był sklep z prawdziwą sztuką. Tata poruszał się po nim z miną znawcy, obojętnie przyglądając się obrazom i motywom, które uważał za tak debilne, że jego zdaniem pacykarzy i galerystę powinno się usunąć z kraju. Jak nie wiadomo, co obraz przedstawia, to nie jest to żadna sztuka. Dlaczego wszyscy nie malują jak Anders Zorn i Bruno Liljefors?

Mogłam wchodzić do sklepu z zabawkami Zetterlunda, gdzie tata był tak zdenerwowany, że cały się pocił. Cokolwiek wybrałam, było albo za drogie, albo podobne do czegoś, co już miałam, albo że będzie się tylko poniewierać po kątach. Zamiast zabawek lepiej kupić książkę lub znaczki w Domusie, które wcale nie były tańsze. Nigdy niczego się nie domagałam.

W Monaco, restauracji z dansingiem na Smedjegatan, był kiosk z kiełbaskami, gdzie zamawiałam największą na świecie porcję gotowanej kiełbasy z prawdziwym purée ziemniaczanym. Zjadałam ją w czterech, pięciu kęsach. Tata był głodny, ale mówił, że na dworze mogą jeść tylko dzieci i powsinogi.

Tata pił lunch w Bakfickan. Duże piwo. Ja dostawałam sok. Jacyś mężczyźni czytali gazety albo tylko siedzieli i na nic nie patrzyli.

Tata się nie spieszył, był całkowicie skupiony na kuflu, od którego odrywał się tylko na moment, żeby zapalić papierosa. Zlizywał pianę dolną wargą. Nie rozmawialiśmy tak jak w domu. Milczał, dopijał piwo i zamawiał kolejne. I jeszcze jedno. Jeśli miałam jakąś zabawkę ze sklepu, przez chwilę się nią bawiłam.

Szybko zaczynałam się nudzić. Garbiłam się na krześle i majtałam nogami, pożyczalam długopis od kelnerki i trochę rysowałam na serwetkach. Plotłam paski i naszyjniki z malinowych wstążek. I dostawałam kilka dwudziestopięcioörówek, żeby zagrać w jednorękiego bandytę. Co prawda, żeby opuścić dźwignię, musiałam się powiesić na czarnej gałce, ale wiedziałam, jak się w to gra. Wszystko, co wygrałam, od razu przegrywałam. Kiedy wreszcie wychodziliśmy z Backfickan, podskakiwałam z radości.

Potem szliśmy do monopolowego na Vasagatan, dopóki jeszcze był otwarty w soboty. Długie kolejki szybko się skracały. Tata

kupował dwie butelki Egri i 75 cl Explorera albo Brännvin Special.

Z plastikową reklamówką z napisem „Nie pij!”⁷⁷ stawaliśmy przy słupku z tabliczką TAXI. Tata irytował się, że tak długo musi kręcić korbką telefonu, żeby zamówić taksówkę. Wsiadając do czarnego samochodu, poprawiał klubową marynarkę. Wiedział, co to styl i finezja. Dla mnie jazda taksówką była czymś żenującym. W pewnym sensie plebejskim.

Przed domem tata płacił dwadzieścia koron, a ja prosiłam go, żeby podwiózł mnie rowerem do stryjenki Majken, cioci Niny, kuzynki Rosity albo do babci... Najchętniej nie do babci, bo była bardzo stara i przecież stale się widywałyśmy.

Tata pukał w szybkę i Majken otwierała drzwi swojego zadbanego domu z żółtej cegły.

– Åsa-Staruszko, to ty?

– Czy dziewczuszka może tu zostać na parę godzin?

– Tak-tak-tak. Proszę!

Pachniało sosem pieczeniowym, głód brał górę nad uczuciem zmieszania, że być może sprawiamy kłopot.

Majken, dużo starsza od taty, była dla niego raczej jak mama niż siostra. Kiedy tata się urodził, chodziła z Aleksiejem, bratem babci Wiery. Po rozwodzie rodziców więzi między ich rodzinami nie zostały zerwane, ale relacje były dostatecznie skomplikowane.

Majken i Aleksiej mieszkali na Skiljebo, sto metrów od dziadka i babci Bojan. Majken, wesoła, ładna, szczupła, wręcz koścista, o kruczoczarnych kręconych włosach, pracowała jako sekretarka w Byggnads⁷⁸. Aleksiej, inżynier za dychę, zatrudniony w Asei, był przystojny, nie tak chudy jak żona, skory do żartów i drażliwy. Ten, kogo przypadkiem pochwalił, zapamiętał to na całe życie.

Wnętrze domu, który dziadek pomógł im wybudować, zdobiły tapety z zielonego aksamitu, meble chippendale, zestawy do jadalni, kryształowe żyrandole i przez nikogo nieużywany fortepian firmy Steinway & Sons. Frędzle w dywanach były wyczesane. W garażu w piwnicy stał mercedes, co wprowadzało w błąd osoby postronne, przekonane, że właściciele posesji głosują na prawicę.

Na piętrze mieszkała starsza ode mnie o osiemnaście lat kuzynka Rosita, podobna do Leny Nyman, zwłaszcza kiedy się uśmiechała. Pracowała w klinice chorób płuc i wypalała paczkę papierosów dziennie. Miała dla mnie czas i ona jedna nie potępiała mamy. Chciałam być jak Rosita.

W malutkiej kuchni Majken piekła babki piaskowe i przyrządzała zapiekanki z kapusty i mielonego mięsa, poza tym prała i prasowała nie tylko dla swojej rodziny, ale również dla taty, babci, dziadka i z pewnością jeszcze kilku osób. Niesamowicie aktywna, robiła tysiąc rzeczy naraz, zawsze w pośpiechu. Choć równie wygadana jak reszta rodzeństwa, nigdy nie miała wolnej chwili, żeby usiąść i porozmawiać – nawet w niedzielę, serwując pieczone i orzechowo-

owocowo-czekoladową budapeszteńską roladę. Na każde pytanie odpowiadała „nie-nie-nie” albo „tak-tak-tak”, nie mając pojęcia, na co odpowiada, bo czas ją gonił.

Zwracała się do mnie per Åsa-Staruszka, Fisia albo Gapcia. Aleksiej mówił „postrach rodziny”, czego Majken mu zabraniała.

Właściwie nie wiem, co tam robiłam, ale byłam tak długo, jak mogłam, i zostawałam na noc, jeśli mi pozwolono. Majken zajmowała się swoimi sprawami, a ja przez cały czas jej towarzyszałam. Śpiewałyśmy kiedyś piosenkę Thorego Skogmana – „Mała słodka panna Fräken z Fryken została Miss Värmlandii...”⁷⁹ – i powiedziałam jej, że jak będę duża, to kupię jej ładny głos. Śmiała się.

W przedpokoju stał telefon typu Kobra na komodzie z szufladami pełnymi kosmetyków do makijażu. Rosita uczyła mnie, jak malować rzęsy. Płułam na tusz w kamieniu, a potem mocno i szybko przeciągałam po nim szczoteczką, dopóki nie zmiękł i nie zrobił się mazisty. Stare kosmetyki mogłam wziąć do domu. Kiedy miałam siedem lat, zaczęłam się regularnie malować. Mama i moja nauczycielka Margit były przerażone. Czarne smugi od łez na policzkach wycierałam rękawami sweterka.

W niedzielę kąpałam się w małej łazience z bordowymi kafelkami. W wannie napełnionej wodą z pianą do kąpieli o zapachu sosnowego igliwia. Brud znikał z mojego chudego ciała. Majken kręciła mi włosy gorącą lokówką, zbierała je i upinała wsuwkami, dzięki czemu w poniedziałek mogłam pójść do szkoły z miedzianoczerwonymi cienkimi korkociągami. Wieczorem odstawiała mnie do taty z papierową torbą świeżo wypranych ciuchów.

Równie często byłam u Niny, starszej siostry mamy, i jej męża Guida. Też mieszkali na Skiljebo w maminy domu rodzinnym na Funkisgatan. Västerås było dużym miastem, ale nasz świat, mój i taty, można byłoby porównać do malutkiej wioski z kilkoma ulicami.

Dom był kwadratowy, miał fasadę pokrytą szarymi płytami

z eternitu i stał w rogu rozległego ogrodu, który żył własnym życiem ku radości tego, kto nie musiał się nim zajmować. Olśniewał urodą przyłaszczek, astrów, pierwiosnków, krzaków malin z owocami wielkości czapeczek krasnoludków i drzew czereśni, które sięgały gwiazd. W szklarni z popękanyymi szybami Guido uprawiał uszlachetnione odmiany cukinii i fasoli, z których przyrządzał południowowłoskie dania.

W kuchni z szafkami w kolorze morskiej zieleni ściany pachniały słodko od setek litrów oliwy z oliwek, która przez lata skwierczała w garnkach, rondlach i na patelniach na kuchence bez wyciągu. Na blacie stała krajalnica do prosciutto i piętrzyła się sterta białego chleba własnego wypieku z brązową chrupiącą skórką. Tutaj Guido pitrasił focaccia, cannelloni i zapiekane małże. W niedzielę Nina wyjmowała maszynkę do makaronu i po chwili na oparciach krzesel leżały szczotki do zamiatania na długich kijach i karnisze, na których suszyło się tagliatelle. Z piętra dochodziły dźwięki piosenek Marianne Faithfull i Ulfa Lundella. Mieszkał tam kuzyn Andrea, trzynaście lat starszy ode mnie. Zakuwał w nocy, spał w dzień. Inteligentny, narwany. Anarchista. Czekał, aż dorosnę na tyle, żebym mogła czytać Johna Dos Passosa.

W dużym pokoju stał regał z książkami i stara fisharmonia Elisa, na której nikt nie grał. Elis, nieżyjący od paru ładnych lat, był bratem Lisy, babci po mieczu mojej mamy i Niny. Ekscentryczny odludek sikający na dłonie, żeby się pozbyć egzemy, obiekt czułych opowieści przekazywanych z pokolenia na pokolenie. W porównaniu z nim wszyscy inni wydawali się całkowicie normalni.

W piwnicy, gdzie pachniało mokrym cementem, był duży bojler, który często się psuł, i stara cieknąca toaleta. Ciężkie drzwi głośno skrzypiały, na futrynach łuszczyła się żółta farba. Dom był zapuszczony, ale ci, co kiedykolwiek byli w tym wyjątkowym miejscu, kochali je, jego historię i ludzi, którzy tam mieszkali.

Nina wolała poczytać albo rozwiązać krzyżówkę niż przetrzeć na mokro spizarkę. Na kuchennym stole leżała sterta książek, „Året

Runt”⁸⁰ i pisma brydżowe. Pięć lat starsza od mamy, o czarująco bujnych kształtach, wydawała się wyższa za sprawą dużego czarnego koka na czubku głowy, podobnego do połówki grejpfruta. Była pomocnicą kreślarza w Asei i udzielała się w SIF⁸¹. Nie szczydziła mi czasu, zajmując się mną przez cały weekend. Szyliśmy, rysowałyśmy i wycinałyśmy lalki z papieru, grałyśmy w różne gry, ale przede wszystkim rozmawiałyśmy. Najbliższe tematy stawały się ważne, a drażliwe – normalne. Nigdy się nie spieszyła i rozumiała ludzi bez względu na ich wiek. Miła, radykalna, wyzuta z przesądów i pozbawiona zapędów moralizatorskich.

Mówiła, że jestem jej „słodkim jęczyzkiem u wagi”. Nazywała mnie Szkrabem albo Mimblą.

Guido urodził się w Tarencie i przyjechał do Szwecji w 1947 roku, kiedy Asea pilnie potrzebowała siły roboczej, a Włochy zostały zbombardowane. Jego rodzice prowadzili jedną z lepszych restauracji, kiedy Mussolini wydał rozkaz, żeby miedziane garnki i inne sprzęty kuchenne przetopić na amunicję. To był cios dla każdego, zwłaszcza dla socjalistów, co jednak nie tłumaczyło faktu, że w tym samym czasie jego ojciec przepuścił wszystko, co mieli.

Guido był niski, krępy i owłosiony na całym ciele. Chyba nigdy nie marzył, ciągle chodził w samych slipach albo w niebieskich szortach. Trudno było nie zauważyć jego klopsowatego pępka. I dużego kształtnego nosa. W kąciку ust tkwił John Silver, którego właściwie nie palił. W równych odstępach czasu popiół spadał na gęszcz czarnych kręconych włosów na piersi, spod których przebierał krzyż na złotym łańcuchu. Mył się w umywalce obok kuchni, golił się brzytwą, a potem chciał dostać całusa. W garniturze był niesamowicie elegancki. Na parkiecie nieziemski. Kochał dzieci.

Na Funkisgatan wszystko kręciło się wokół jedzenia. Każdy posiłek Guido kończył szczerą konstatacją, że właśnie spożył danie swojego życia, żeby po chwili zapytać, na co mielibyśmy ochotę za cztery godziny. Pochylny nad talerzem, wbijał widelec w to, co jadł, szybko, acz starannie przeżuwał i wycierał chlebem sos pomidorowy albo minestrone. Przeważnie milczał, ale czasami, kiedy chciał coś wyjaśnić, odkładał widelec, formował dłonie

w kształt pączków tulipanów i zataczał nimi kółka. Ledwie otworzył usta, pękaliśmy ze śmiechu. Urażony, prosił Ninę, żeby była jego tłumaczką.

Najczęściej śmiał się tata. Nabijał się z Guida, żeby się podbudować.

Tata był któregoś lata w Tarencie, raz i nigdy więcej. Włochy – tę cuchnącą kupę bezładnych ruin – zaludniali wymigujący się od pracy historycy. Ścieki płynęły prosto do morza.

– Ci, co się tam kąpali, mieli balasy w ustach. Nic nie działało, wszystko było do bani. Sama rozumiesz, co to za kraj.

Guido uważał, że tata powinien dostać w twarz za to, ile w siebie wlewa. On pił z umiarem.

Amore mio, mówił Guido i nazywał mnie „pierwsza uchochana”. Kiedy zwracałam się do niego per Guido, czuł się śmiertelnie urażony.

– Jestem twój wyjek! Wyjek Guido, i tyle. Psikrew diabła, ty, moja pierwsza uchochana – mówił, wskazując na mnie tym, co pozostało mu po palcu wskazującym, którego część stracił w tłoczni w Asei. – Nigdy nie zapominaj.

W jakiś sposób zawsze udawało mu się coś sknocić, znaleźć się w złym miejscu, zamknąć kogoś przez pomyłkę, nie wziąć paszportu, złamać obojczyk w Wigilię, zgubić kąpielówki w basenie albo coś innego, co zbywał ochryłym śmiechem, mówiąc, że tak czy inaczej Nina nigdy się nie nydzi, że za niego wyszła.

Guido był prezesem, kasjerem albo kimś równie ważnym we włoskim stowarzyszeniu. Przy kuchennym stole na Funkisgatan, gdzie w latach czterdziestych i pięćdziesiątych zbierali się członkowie partii komunistycznej, teraz zawsze siedział co najmniej jeden Włoch. Pili kawę, palili, zanosili się ochryłym śmiechem i debatowali. Otwierały się drzwi do kuchni i wpadał ktoś, kto właśnie wrócił samochodem z Włoch, z bańką oliwy z oliwek, świeżym parmezanem, granatami i skrzynką owoców opuncji. Ten, kto miał okrągłe urodziny, dostawał żywego koguta, którego zarzynano i przyrządzano. Włosi kłócili się i trzymali razem. Tak się żyło na Funkisgatan. Dużo kłótni, dużo miłości. Nina w jednej

sekundzie potrafiła posikać się ze śmiechu, a w drugiej zwymyślać Guida z takim ogniem, że aż trzęsły się jej czarujące dwa podbródki.

Staralam się nie wracać do domu wcześniej niż w niedzielę wieczorem. Tata przesypiał cały weekend, czasem tylko, zataczając się, ze śladami snu na policzku, szedł do spiżarki, gdzie butelki traciły zawartość. Otwierał usta jedynie po to, żeby powiedzieć: „Jasna cholera, jutro znowu to samo, znowu trzeba iść do roboty”.

Dziadek dzwonił codziennie rano kwadrans po szóstej. Bał się, że zaśpimy. Nie potrafił się pogodzić z tym, że jego czas w Zakładach Metalurgicznych się skończył, i na emeryturze wciąż zachowywał się jak pies stróżujący. Pilnował, żeby wszystko było w porządku i żeby synowie byli na swoim miejscu w fabryce. Czasami, kiedy jeszcze spaliśmy, wchodził do mieszkania, otwierając drzwi zapasowym kluczem, siadał na krześle obok łóżka i czekał, aż nadejdzie pora pobudki. Wtedy się pochylał i szturchał tatę żyłastą ręką.

– Leffe! Obudź się! Leffe! Czas iść do pracy, Leffe! Wstawaj, dziewczusko!

Wyrywanie ze snu w ciemności przez tego starego mężczyznę było wyjątkowo nieprzyjemne. Tata, najpierw przerażony, potem upokorzony, wyskakiwał z łóżka w slipach i zaczynał się pieklić. Dziadek spokojnie odstawiał krzesło i wracał rowerem do siebie, do babci, by kilka dni później zrobić dokładnie to samo.

Jeśli tata spał na prawym uchu, mógł się nie obudzić na dźwięk budzika, bo na lewe ucho prawie nic nie słyszał. Dziadek o tym wiedział.

Trzy minuty po siódmej tata odbijał kartę. Najpierw zawoził mnie do przedszkola, a kilka lat później do świetlicy. Musiał mnie budzić parę razy i w pośpiechu znaleźć coś do ubrania. Odbywało się to raz-dwa, bo nie myśliśmy się i nie jedliśmy śniadania.

Trochę czasu zabierały jedynie poranne wymioty taty.

Lekko pochylał się nad zlewem, opierał na lewym przedramieniu, prawą rękę kładł na blacie i pocierał kciukiem palec wskazujący. Nie wymiotował treścią pokarmową, tylko płynem, żółtym jak piwo, które pił poprzedniego dnia. Opanowany, podnosił głowę, patrzył w okno, zwracał jeszcze trochę. Kciuk wolniej pocierał palec wskazujący. Tuż przed wyjściem znów wymiotował. Czekałam na niego w przedpokoju, słyszałam, jak szybko i niestaranie spłukuje zlew wodą.

– To nerwy – mówił.

I hop na rower.

Nie przypominam sobie, żebyśmy kogoś spotykali po drodze. Wszyscy siedzieli w domu, jedli śniadanie, czytali gazety, słuchali

radia, ścielili łóżka, wyjmowali z szafy ładne ubrania.

Byłam pierwsza w przedszkolu. Jeśli tata miał dużo pracy, przywoził mnie przed otwarciem.

– Zaraz ktoś przyjdzie – mówił i zostawiał mnie przed wejściem.

Stałam w ciemności obok zamkniętego piętrowego budynku z białej cegły, zadzierałam głowę i patrzyłam na kamienice. W kuchniach jedna po drugiej zapalały się lampy. Wypluwałam na śnieg żółte gile, wsuwałam dłonie w rękawy kurtki i przytupywałam, żeby odpędzić chłód i strach. Czekałam na Gun, kucharkę, która powinna się pojawić między blokami.

– Oj, już jesteś, Åsa? – mówiła i wpuszczała mnie do dużej kuchni.

Częstowała mnie gorącą czekoladą O'boy i herbatnikami Guld Marie z masłem. Ilekroć panie przedszkolanki dziwiła moja obecność, Gun niezmiennie odpowiadała, że przyszłyśmy jednocześnie. Miałam swoje sekrety, które dzieliłam z wieloma dorosłymi.

– Jak mogłeś? – wyrzucałam tacie, kiedy mnie odbierał. – Bałam się, było ciemno!

Zawsze słyszałam to samo:

– A co miałem zrobić?

Bywało, że robił ni przypiął, ni wypiął. Wstawał o zwykłej porze, podwoził mnie pod zamknięte przedszkole albo świetlicę, mówił, że zaraz ktoś przyjdzie, odjeżdżał, po kilku minutach był z powrotem, jechaliśmy do domu, kładł się do łóżka i zasypiał. Dobrze wiedział, że jest niedziela, ale rajcowało go samo uczucie, że może zawrócić w pół drogi. Mam to w dupie, wracam do domu i śpię!

Tata mówił, że bez niego ten gówniany zakład sobie nie poradzi. Raz nie mógł pracować, bo miał atak lumbago, innym razem był na zwolnieniu lekarskim, bo złamał obojczyk. We wszystkie inne dni chodził do pracy.

Ubezpieczalnia mieściła się vis-à-vis Urzędu Pośrednictwa Pracy, dokąd prowadziły te same długie ruchome schody. Kiedy tata miał złamany obojczyk, udaliśmy się tam w sprawie pieniędzy. Wjechaliśmy schodami na górę i poszliśmy w lewo. Odwróciłam

głowę i przez szklane drzwi pośredniaka zobaczyłam mamę: pomagała jakiemuś bezrobotnemu załatwić kartę gościa. Nawet przez myśl mi nie przeszło, żeby zapytać tatę, czy możemy się z nią przywitać. Ani ona, ani on by tego nie chcieli.

W ubezpieczalni tata pocił się ze strachu, bał się, że mogą być problemy z zaświadczeniem lekarskim albo z czymś innym. Potem mu ulżyło. Poszliśmy do sklepu ze szkłem Sigma i kupiliśmy ceramiczną skarbonkę w kształcie Gunnara Stränga.

Tatę bez przerwy wszystko bolało. Plecy i spuchnięte twarde barki próbował rozluźnić, bijąc się pięścią tam, gdzie sięgnął. W niektóre wieczory był tak bardzo osłabiony, że bał się, że straci przytomność.

- Gdybym zemdłał, zadzwoń do Eldénów.
- A po czym poznam, że zemdłałeś?
- Sama zobaczysz.

Niedaleko Zakładów Metalurgicznych znajdował się lokal, gdzie leżący na pryczach mężczyźni z bolącymi plecami byli poddawani zabiegom cieplnym, które wykonywała kobieta w białym fartuchu. Wysokie pomieszczenie, drewniana podłoga, duże ciężkie drzwi. Wszystko staroświeckie, jak na czarno-białym filmie. Miałam siedzieć na krześle i czekać, ale raz po raz podbiegałam do taty, żeby z nim porozmawiać. Wyglądał na udręczonego.

Ja też rzadko chorowałam. Jedno jasnoniebieskie blaszane pudełko Albyl minor wystarczyło na całe moje dzieciństwo. Jeśli miałam podwyższoną temperaturę, tata i tak zmuszał mnie do pójścia do przedszkola. Kiedy czułam się naprawdę źle i panie przedszkolanki chciały po niego dzwonić, prosiłam, żeby nie dzwoniły.

– To niemożliwe! Tata jest mistrzem hartownikiem, tylko on umie robić stal.

Jeśli mimo wszystko nie mogłam zostać w przedszkolu, przyjeżdżał dziadek, sadzał mnie na bagażniku i kolebiąc się na boki, jechaliśmy nad jezioro karmić kaczki albo wędkować. Do rejonowej poradni dziecka chodziła ze mną Majken albo Märta, bo tata mówił, że nie może urwać się z pracy. Doktor Swahn, pediatra

na Viksäng, miał srebrne włosy i wyglądał jak wujek Niebieski⁸². Suchymi, przyjemnie chłodnymi dłońmi uciskał mi brzuch i szyję, odciągał gumkę w majtkach, żeby sprawdzić, czy są czyste, pytał, czy śpię we własnym łóżku, i mówił, że jestem dzielną dziewczynką.

Otoczenie miało do taty dwoisty stosunek. Rodzeństwo podziwiała go, że tak ciężko pracuje, za co był chwalony również w Zakładach Metalurgicznych, a jednocześnie wymyślało mu od niechlujów.

On sam czuł się jak wół roboczy, który nikogo nie obchodzi, wykorzystywany, eksploatowany i gorszy, pozbawiony jakiegokolwiek pozycji i stanowiska w społeczeństwie. Nigdy tego jednak nie powiedział. Mówił, że jest najlepszym hartownikiem w Szwecji. Podobno gdzieś w kraju był jeszcze ktoś prawie równie dobry jak on, ale tylko „prawie”. On jest numerem jeden.

– Gdybyś musiała zadzwonić do mnie do pracy, to poproś do telefonu mistrza hartownika Leifa Anderssona!

Tata awansował na brygadzystę. Gazetka zakładowa zrobiła reportaż o jego wydziale. Na zdjęciu załogi po raz pierwszy i ostatni miałam okazję zobaczyć jego kolegów z pracy. Pod zdjęciem figurował jako „brygadzista Leif Andersson”.

– Widzisz, co tu napisali? Brygadzista Leif Andersson! A kto to taki? To ja!

Przechowywał gazetkę w szufladzie w kuchni i od czasu do czasu ją wyjmował, żeby podziwiać samego siebie.

Poczucie własnej wartości dawała mu wyłącznie jego biegłość zawodowa, a mimo to nienawidził chodzić do pracy. Mówił, że Zakłady Metalurgiczne to Zakłady Mentalergiczne, ale cicho sza, to nasza tajemnica. Nikomu ani słowa.

Zakłady szły pełną parą, co jakiś czas było tyle zamówień, że tata pracował późnym wieczorem albo w środku nocy. Musiałam mu towarzyszyć. Tam i z powrotem, tam i z powrotem, z domu do Zakładów Mentalergicznych i do domu. Zgłaszał się do strażnika przy bramie, odbijał kartę, zapalał papierosa i wyciągał coś z pieca. Kiedy pytałam, co to jest, mówił „rzeczy”, obrabiał je i albo znowu wkładał do pieca, albo brał nowe. Widziałam tylko jego plecy

i wprawnie podnoszące się i opuszczające ramiona. Robił przerwę, zaciągał się papierosem i przesuwał dłonią po włosach.

Zapalał lampy tylko tam, gdzie pracował. Wokół znajdowały się płytkie baseny z wodą, do których szybko można było wrzucać gorące „rzeczy”. Bałam się, że stracę równowagę i wpadnę do wody. Mówił, że nie powinnam tam być, bo to niebezpieczne, stałam więc w sąsiednim pomieszczeniu, większym i ciemnym, i patrzyłam, jak w innym świetle tata wylewa z siebie siódme poty. Byliśmy sami, na jego wydziale nie pracowało się na zmiany.

Nigdy nie udało mi się dociec, co on robi ani na czym polega jego praca. Owszem, mówił, że produkują części specjalne między innymi do volvo, ale dla mnie to było za mało, żebym przestała myśleć o Zakładach Metalurgicznych jak o miejscu czarnym jak smoła, gdzie się dzieje nie wiadomo co.

Uwijał się w try miga. Potem brał kartę, zapalał kolejnego papierosa i czekał, aż wskazówka zegara kontrolnego wskaże pełną minutę. Trwało to całą wieczność.

– Ty sukinsynu! – powiedział któregoś razu, waląc pięścią w zegar.

Zegar ani drgnął. Tata się przestraszył.

– Tylko nikomu ani słowa! Bo to się może źle skończyć. Rozumiesz?

Było mi nas żal, kiedy wracaliśmy w nocy do domu. Pilgatan ciągnęła się w nieskończoność, a czerwone światła na skrzyżowaniu z Björnövägen były ostre jak nigdy.

– Do domu, Åsa! – krzyczały. – Co ty tu robisz?! Dlaczego jeszcze nie śpisz?!

Na zamkniętym kiosku z kiełbaskami świecił się neon. Zważyłam, czy umiem czytać. „Tropical”? Co to znaczy? Dlaczego nie „Tropiki”?

Tacie chyba nie doskwierała praca w nocy. Wiedział, że majster go pochwali, że jest z niego pożytek.

– Zgarnęliśmy kupę floty – mówił za każdym razem. – Tylko nie piśnij słowa babom w przedszkolu, że pracujemy po nocach, bo nic im do tego.

O wielu rzeczach nie wolno mi było mówić. Że odpowietrzając kaloryfery, tata zalał podłogę w kuchni. Wycieraliśmy ją godzinami wszystkim, czym się dało. Każdym wymaglowanym prześcieradłem, które przy rozkładaniu chrzęściło jak mróz. W końcu zasnęłam na wykładzinie w przedpokoju, z głową zwróconą w stronę taty, który kwękał, że mieszkanie nie jest ubezpieczone i że to byłaby, kurde, katastrofa, gdyby doszło do zalania całego domu.

– Tylko nie piśnij słowa babom w przedszkolu! I ani słowa dziadkowi!

Kiedy tata przychodził po mnie do przedszkola, zatrzymywał się w szatni. Szybko się ubierałam. Przedszkolanki zamieniały z nim kilka uprzejmych słów, tata odpowiadał nieśmiało, że jego wdzięczność wobec tych, którzy opiekują się dziećmi, jest bezgraniczna, że nie ma cienia zastrzeżeń. Powodowała nim pewna obawa. W jego oczach personel przedszkola reprezentował władzę, był przedłużeniem zwierzchności.

Raz przyszedł na coś w rodzaju spotkania rodzicielskiego przy kawie. Wyraźnie zdenerwowany, szybko się rozluźnił, kiedy zobaczył, że jest jedynym mężczyzną w tym gronie. Zaczął żartować i śmiech mam i przedszkolanków dodał mu otuchy.

Znał mnóstwo zabawnych historyjek.

Jak w transie opowiadał dowcip za dowcipem, jakby po nie sięgał prawą ręką, naśladując gest Roffego Bengtssona, i nie potrafił skończyć. Nawet kiedy panie zebrały filiżanki, było mu mało.

– Kurde, ale się śmiały! – chichotał po powrocie do domu. – W życiu tak się nie ubawiły, żebyś wiedziała!

Było mi głupio, że opowiedział ten kawał, który mieliśmy na płycie Magnusa i Brassego, z żenującą puentą Härenstama o „stosunku w toalecie”. Tacie tak szaleńczo się podobał, że podnosił ramię adapteru i bez przerwy stawiał igłę tuż przed kulminacyjnym: „stosunek w toalecie”... „stosunek w toalecie”... „stosunek w toalecie”, a teraz powiedział go przedszkolankom i mamom, które skreślały się ze śmiechu.

Po tym spotkaniu tata poczuwał się do tego, żeby rzucić jakimś dowcipem za każdym razem, kiedy mnie odbierał. Męczyło go to. Zawsze mówił, że nie ma nic gorszego niż ludzie, którzy cierpią na czarusiowatą biegunkę, że nie można na nich polegać i brakuje im integralności, a teraz sam mógł być tak postrzegany.

Tata nie poszedł już na żadne zebranie rodziców, i bardzo dobrze, bo fatalnie, choć niezasłużenie, wypadł w takich sytuacjach. Ale był na zakończeniu roku szkolnego klas piątych. Siedział obok mamy w auli szkolnej na Viksäng. Ładnie razem wyglądali. Nie wiem, co sprawiło, że przyszli. Dyrektor życzył wszystkim wesołych wakacji

i mama od razu poszła do pracy. Tata wziął dzień wolny i nigdzie mu się nie spieszyło. Ingeborga, nauczycielka, której dotąd nie miał okazji poznać, zapytała, czy nie chciałby zobaczyć mojej klasy.

– Tak, chętnie!

Rozglądał się, opary alkoholu unosiły się nad salą wysprzątaną przed wakacjami. Czyste ławki, na ścianach żadnych rysunków.

– Jak rozumiem, tutaj zajmujecie się Axelem von Fersenem itepe.

– Tak, na jesieni zaczniemy omawiać rewolucję francuską.

– No tak, jasne. To dobrze.

Kiedy wróciliśmy do domu, zapytał, czy pamiętam drugą połowę alfabetycznego wierszyka, który czytaliśmy tysiące razy.

– No wiesz, tego szurniętego Hellsinga. „Ingeborga, Ingeborga, Ingeborga, coś ty zrobiła z naparstkiem z Göteborga?”⁸³. Przyszedł mi do głowy, ale nie mogłem sobie wszystkiego przypomnieć.

– Może to i dobrze.

– Może i tak.

Powiedział, że Ingeborga to ładne imię. Że tak ma na imię jego mama.

– To cholernie dobra nauczycielka, co?

– Bardzo dobra.

– Wierzę. Ale jak leci ta rymowanka?

Mama była tylko na tych zebraniach rodzicielskich, o których wiedziała. W klasach początkowych miała zastrzeżenia, że codziennie rano odmawiamy *Ojciec nasz* i śpiewamy psalmy. Że jesteśmy zmuszani prosić Boga, żeby pobłogosławił posiłek, amen, i dziękować Bogu za posiłek, amen. Nauczycielka Margit odpowiadała, że znajomość psalmów przyda się dzieciom w dorosłym życiu, kiedy będą chodziły do kościoła. Jeśli tak, replikowała mama, dzieci powinno się również uczyć *Międzynarodówki*, której znajomość przyda się w dorosłym życiu na pochodach pierwszomajowych. Dziwiła się, dlaczego w klasie jest specjalny kąt, do którego stawia się dzieci za karę. I dlaczego dzieci muszą dygać przed katedrą?

– Szkoła ma kształcić, a nie wychowywać! Uczniowie powinni być

demokratami, powinni myśleć równościowo.

Inni rodzice się nie odzywali.

Mamie nie podobał się system ocen. Nauczycielce Margit nie podobała się mama. Bezstresowa edukacja! Bose dzieci siedzące w kole na podłodze! Też coś!

Szkoła i świetlica mieściły się w dwóch oddzielnych budynkach. Tata codziennie zamieniał kilka słów z paniami świetliczankami, Margit widywał bardzo rzadko. Kiedy napomknęłam mu o *Bereden väg för Herran*⁸⁴, powiedział, że to prawdziwy skandal, żeby takie stare garkotłuki opiekowały się dziećmi.

W domu, gdzie nikt oprócz mnie go nie słyszał, miał ostry język. W kontaktach z innymi nigdy nie zauważyłam, żeby powiedział coś nieprzyjemnego.

Kiedy weszliśmy do klasy na indywidualną rozmowę z Margit, wyprostował się i stanął na baczność. Bał się, że sam dostanie ocenę.

Margit pokazała mu moje podręczniki.

– Åsa jest bardzo zdolna. Bardzo zdolna ze wszystkich przedmiotów.

Tata się rozluźnił, wymacał paczkę papierosów, ale się opamiętał. Margit wskazała na rysunek miłosiernego Samarytanina i powiedziała, że wydaje się szczególnie zainteresowana chrześcijaństwem.

– No jasne, że Åsa jest zainteresowana! Bo to przecież interesujące. I ważne.

Podsunała tacie jakiś formularz. Znów się zdenerwował. Drgał mu kącik ust, kiedy maksymalnie skupiony składał podpis: „Leif Andersson”, łącząc litery „f” i „A” zakrętasem.

Pożegnaliśmy się.

Margit stanęła przy oknie i wpatrywała się w podpis w świetle wiosennego wieczoru.

– Panie Leif! – zawołała. – Pan ma piękny charakter pisma!

Tata wyszedł rozanielony. Ten babsztyl jest całkiem, całkiem. I jaka dupa! Bóg musiał być w żartobliwym nastroju, kiedy tworzył taki zadek.

Margit powiedziała, że jestem najlepsza w klasie, oceniała i klasyfikowała z całą surowością, sprawiedliwie. Mimo to przez trzy lata nie dostałam od niej ani jednej złotej gwiazdki. Jakby nie mogła się przemóc, żeby ją wkleić do zeszytu takiego brudnego i dziwnego dziecka, poprzestawała na gwiazdce rysowanej niebieskim długopisem. Kiedy raz narysowała czerwonym, tata się przestraszył. No tak, nauczycielka odkryła, że jesteśmy bolszewikami.

Od czwartej do szóstej klasy moją najlepszą przyjaciółką była Helene, jedyna, która nie mieszkała w bloku. Jej mama pracowała na poczcie w niepełnym wymiarze godzin, tata w firmie komputerowej Telub. Śliczna, z długimi gęstymi włosami, zawsze w drogich ciuchach. Dziwiłam się, że chce się ze mną kumplować. Wolna od przesądów, szczodra, miła, uczciwa. Gdyby nie ona, przypuszczalnie nie miałabym nikogo innego. Lubiłam ją aż do bólu i chciałam, żeby kiedyś znalazła się w takiej sytuacji, żebym to ja, nie ona, mogła stanąć w jej obronie.

Trzymałyśmy się razem do końca gimnazjum. Tata był zachwycony. Imponowała mu zwłaszcza tym, że nigdy się nie pocila i chodziła w nieskazitelnie białych butach, w ogóle ich nie brudząc.

Tata wiedział o wszechświecie, że Słońce jest gwiazdą i że większość gwiazd jest większa od Ziemi. Wiedział, że stolicą USA jest Waszyngton, a nie – jak się wszystkim wydaje – Nowy Jork. Wiedział, że Afryka to kontynent składający się z kilku krajów. I że nie ma czegoś takiego jak Ameryka, tylko Ameryka Północna i Ameryka Południowa. Chociaż bandyci w Białym Domu oczywiście uważają, że wszystko należy do nich.

Tata skończył sześcioletnią szkołę podstawową i daleko mu było do wykształcenia ogólnego. Był jednak człowiekiem myślącym i umiał myśleć krytycznie. Problem polegał na tym, że mógł dyskutować wyłącznie ze mną. Wymiana zdań z dziadkiem po zjedzeniu sandacza na obiad była krótka.

Dziadek wygłaszał przemówienie, otwierając i zaciskając prawą dłoń w rytm przesuwającego się jabłka Adama, a tata odpowiadał znużony:

– Tak, tak, jasne. To okropne.

W kuchni na Björkgatan był opryskliwy, poza tym jego zadaniem było zabawiać. Nierzadko naśmiewał się sam z siebie, ale ilekroć ktoś inny stroił sobie z niego żarty, czuł się głęboko urażony. W święta Bożego Narodzenia stawał się ogólnym pośmiewiskiem sióstr i braci, którzy nie szczędzili mu nawet ostrych słów. Grał, nie pokazując po sobie, że jest mu przykro. Czasami odpłacał się czarującym uśmiechem, a w jego dużym ciele szalał jedwabny dusiciel⁸⁵.

Zdarzało się, że rodzeństwo taty wciągało mnie do mobbingu. Któregoś Bożego Narodzenia siedziałam z Majken na kanapie chippendale i dokuczałyśmy mu, że jest brzydalem, mimo że wcale nim nie był. Wybuchalam salwami śmiechu. Tata też się śmiał, ale kiedy wróciliśmy do domu, powiedział, że sprawiłam mu przykrość, i zastanawiał się, co mnie do tego skłoniło. Pomyśl, powiedział, pomyśl tylko, jak byś się czuła, gdybym przedstawiając cię, mówił: „To moja brzydka córka”. Nie byłoby ci przykro?

Prowokował rodzeństwo swoją niechęcią do dostosowania się i zachowywania jak inni. Siostry i bracia podziwiali go za siłę fizyczną i biegłość zawodową, ale nie rozumieli jego bezmyślnego

lenistwa zaraz po skończonej dniówce, tego, że dawał sobie prawo do czasu wolnego po dniu ciężkiej pracy. Jakby umykało im z pamięci, że mimo dużej pomocy rodziców i Majken sam zмага się ze wszystkim. Widzieli jedynie, że zawsze jest bez grosza i zawsze nietrzeźwy. Uważali go za rozpieszczone późne dziecko, które nigdy nie było zmuszone dorosnąć. Kiedy to mówili, zachodziłam w głowę, jakich ich zdaniem warunków jako dorosły tata nie spełniał i jakie doświadczenia ominęły go w dzieciństwie.

– Leffe to bohema – szepnęła do babci stryjenka Görel.

Babcia nie prosiła jej o zdanie.

– Że co? Że co on jest?

– Bohema, mamó. Leffe to bohema.

– Oczywiście, że Leif jest dzielny. Nie poddaje się.

Tata z kolei uważał, że jego bracia i siostry są prymitywni. Nie czytają książek, nie czerpią pożytku z teatru telewizji i nie mają do zaoferowania żadnych sensownych kontrargumentów w ważnych sprawach. Lubił ich, ale niczego nie wynosił z tych rozmów – w przeciwieństwie do rozmów z Tanią i jej rodziną. Brakowało mu wykładów dziadka Juliusza o próbach *Matki Courage i jej dzieci* Stanisławskiego. Jasne, że dziadek przyprawiał go o kompleks niższości, ale jednocześnie utwierdzał w przekonaniu, że jest kimś, z kim można porozmawiać nie tylko o bokerskich zmaganiach Bossego Högberga, o których donosiły popołudniówki.

Siostry i bracia taty oceniali innych, tak jak oceniali siebie. Babcia i dziadek dzielili ludzi według kryterium czynności i przyzwoitości, mama myślała o tym, za czym ludzie głosują. Tata oceniał innych według poziomu ich inteligencji, kierując się własnymi sądami, które rzadko zmieniał.

Trudno o większego głupola, mówił o kimkolwiek, zwłaszcza o ministrach „w tym cholernym trójpartyjnym rządzie”. W otoczeniu Fälldina nie było nikogo, kto miałby wszystkie klepki na miejscu. Same tępaki. Fiu-bździu, i tyle.

– Nic, nic, szara komórka, nic, nic, tyle mają pod czachą. Sama rozumiesz! A tak w ogóle to przerażająco dużo ludzi można podzielić

na idiotów i skończonych idiotów.

Niewiele było trzeba, żeby tata zyskał pewność, że człowiek stojący przed nim w kolejce do kasy ma nierówno pod sufitem.

- Ciemniak.
- Głęb.
- Porąbany.
- Wybrakowany.
- Szurnięty!
- Ślepy!

Tak kilka razy dziennie podnosił poczucie własnej wartości.

Niechętnie mówił o szkole, najpierw na Grycie, potem na Korsängen. Opowiedział mi tylko o tym, jak pewnego dnia przyszedł do ich klasy legendarny kierownik chóru Bror Samuelson w wyzywającej pelerynie i berecie, żeby ocenić ich muzykalność. Kiedy uznał tatę za niezdolnego do śpiewu, nauczycielka powiedziała, że Leif umie śpiewać. Myślę, że to była jego jedyna wielka chwila w szkole. Oceny miał mierne, wiedział, że jak skończy czternaście lat, pójdzie do szkoły przemysłowej przy Zakładach Metalurgicznych, tak jak wcześniej jego trzech bracia. Dla dziadka było czymś oczywistym ulokowanie synów w tym samym miejscu, w którym on przepracował całe swoje życie. Tylko Rolfa to ominęło.

Dopiero na starość dziadek widział to inaczej.

– Dziewuszka, Wallenberg żerował na mnie i moich chłopcach. Kto mi za to dzisiaj podziękuje? Nikt!

Człowiek rodzi się robotnikiem, mówił tata, tego się nie wybiera. Gdyby wygrał milion w totka, pewnie odbiłby kartę po raz ostatni i wtedy ktoś inny musiałby hartować stal. Może piecom nie robiłoby większej różnicy kto, ale najchętniej płonęły dla niego. Był przecież najlepszym hartownikiem w Szwecji.

Tata z przyjemnością odpytywał mnie z geografii i historii, ale z angielskim było gorzej. Nie miał o nim pojęcia, a poza tym nie lubił Anglii, uważał ją za najnudniejszy kraj na świecie. Znając zaledwie kilka słów, takich jak *okay* czy *all right* – *all right* wymawiał: „olrej” – udawał, że mówi po angielsku. Mając mnie za publiczność,

wymyślał dialogi, w których grał wszystkie role. Często odgrywał scenę w luksusowej restauracji z sympatyczną obsługą. Albo snuł monologi, z nogą założoną na nogę, rękami nonszalancko na kolanie, papierosem w jednej dłoni i szklanką piwa w drugiej, wyobrażając sobie, że to whisky. Chyba naśladował irlandzkiego komika Dave'a Allena, tyle że nie można było zrozumieć, co mówi, bo żadne z nas nie znało angielskiego.

– *Utekkissindžeridiotbibikingokej...*

Myślałam, że pęknę ze śmiechu. Tata był w siódmym niebie.

Zajął mi trochę czasu, zanim się połapałam, że on tylko małpuje język, wypowiadając słowa pozbawione najmniejszego sensu, i poczułam się oszukana. To już nie było zabawne, to było tragiczne, że tata drwi sobie z własnej niewiedzy. Tak to widziałam. Ale nie tata. Tata chciał choć przez chwilę dobrze się bawić.

– Niby do czego miałyby mi się przydać ten kretyński cygański język? – mówił i kontynuował te swoje *tejljushorupsokejnjojok...*

– Przestań, to wcale nie jest śmieszne!

Nie przestawał.

– Przestań! Przestań!

Był zły. Może dlatego, że go przejrzałam albo że nie pozwoliłam mu bawić się do woli.

Obstawał przy swoim.

– Oczywiście, że znam angielski, oczywiście, że mówię po angielsku!

Kiedy musiałam się uczyć w szkole innych języków, widziałam siebie w fotelu taty – w koszuli i gabardynowych spodniach, ze szklanką piwa w ręku – której nikt nie rozumie bez względu na ilość wydobywanych dźwięków.

Na regale leżały notesy w czarnej ceratowej oprawie, w których tata zapisywał wyniki sportowe. Strony wypełniały kolumny z terminarzami różnych mistrzostw w narciarstwie. Na igrzyska olimpijskie w Montrealu w 1976 roku kupiliśmy kolorowy telewizor. Wzięliśmy go na raty i przywieźliśmy do domu taksówką. Bałam się, że nas nie stać, że pewnego wieczoru przyjdą go zabrać, a tata powie, że to niestety niemożliwe, bo pożyczył go bratu.

Złapanie dwóch kanałów zajęło mu kilka dni.

– Najważniejsze, że mamy obraz na gimnastyce.

Obraz był doskonały, kiedy Olga Korbut, „Wróbelek z Mińska”, straciła równowagę w ćwiczeniach wolnych. Kiedy publiczność rytmicznie oklaskiwała Nadię Comăneci, zaniepokoiłam się, że tata rzuci puszką piwa w telewizor.

Nie znosił Rumunii. Ze wszystkich dupków na kuli ziemskiej Ceaușescu był największy. Podobno kazał zrobić mapę świata, na której Bukareszt zaznaczono rubinem wielkości śliwki. Najwyraźniej pomylił socjalizm z czym innym. Za manię wielkości powinno się sukinsyna ubezwłasnowolnić, wysłać na Syberię na podstawowy kurs marksizmu, obciąć jaja.

Tata kibicował Związkowi Radzieckiemu i Szwecji. Kiedy drużyny hokejowe obu państw grały przeciwko sobie, życzył zwycięstwa Trzem Koronom, ale krzyczał ze szczęścia, widząc, jak Pietrow, Michajłow, Charłamow i inni wirtuozi robią z lodu strużyny podobne do słodkich biało-różowych świderków.

Podczas odgrywania radzieckiego hymnu pochylał się w fotelu.

– Rany, Natasza, nie ma piękniejszej muzyki!

Wcale mnie nie dziwiło, że tata kibicuje Związkowi Radzieckiemu. Przecież sam mówił, że jest komunistą. Za to mama, członkini partii, pół-Rosjanka, która nawet mieszkała w Moskwie, nie była równie bezkrytyczna. Po latach zrozumiałam, że chodziło o coś więcej niż ideologia, że to miłość do mamy i antyfaszystowskie tradycje na Funkisgatan sprawiły, że tata chciał w tym uczestniczyć. I fascynacja radziecką estetyką, a raczej carską niebieską porcelaną ze złotymi lamówkami. Nie rozumiał *Obłoku w spodniach*

Majakowskiego i nie obchodził go słynny marazm. Miał dość własnego.

Tylko raz był w Związku Radzieckim. To całkiem co innego niż Włochy! Ze wszystkich nacji Rosjanie byli najsympatyczniejsi i mówili najpiękniejszym językiem na świecie. Tylko głupio wyszło, że nazwał uroczą kelnerkę „babcią”, kiedy chciał powiedzieć „proszę pani”. Moskovskaya była absolutnie niesamowita, człowiek nie czuł, że jest pijany, dopiero kiedy wstał, okazywało się, że nogi odmawiają posłuszeństwa. A następnego dnia rano ani śladu kaca. Jak nic socjalizm jest górą pod wieloma względami!

Tej podróży nigdy nie potrafiłam ocenić pod kątem stopnia prawdziwości. Aleksiej opowiadał z rozbawieniem, że w Pałacu Zimowym tata tak się nudził, że w końcu usiadł na tronie Piotra Wielkiego, co oczywiście zabronione, i jakby tego było mało, zaczął grać cara z takim samym wczuciem się w rolę, z jakim Ernst-Hugo Järegård mówił monologi. Z obwisłą twarzą, śliniąc się, wydawał wyroki śmierci w obecności skonsternowanych turystów. Kiedy przybiegli strażnicy, żeby go wyrzucić, Aleksiej wyjaśnił im po rosyjsku, najlepiej jak umiał, że tata jest psychicznie chory i w różnych miejscach udaje cara.

Podczas gdy Aleksiej snuł te opowieści, tata się nie odzywał. Odpłacił mu pięknym za nadobne, dopiero kiedy zostaliśmy sami.

– Co on ma do powiedzenia, on, który pojechał do Włoch garbusem wypchanym konserwami. Ten pieprzony sknerus żarł w Tarencie spaghetti z sosem mięsnym Felixa!

To, że tata kibicował Związkowi Radzieckiemu, miało być może wiele wspólnego z wykluczeniem. Związek Radziecki był krajem wyszydzanym, któremu nikt nie sekundował, którego sportowców dziennikarze albo wyśmiewali za staromodne stroje, albo niechętnie podziwiali za niekwestionowaną przewagę. Prawdziwi wirtuozi rzadko stawali się faworytami publiczności. Podobnie myślał o sobie. Samotny i wykluczony, ale tak niezłomny i nadzwyczajnie sprawny, że wszyscy musieli chylić przed nim czoło.

Szanowany, poważany i kochany. Mimo wszystko.

Gdyby mieszkał w Związku Radzieckim, na pewno myślałby

inaczej. Skoro nie potrafił się przystosować do szwedzkich standardów, za nic nie zniósłby życia w ustroju radzieckim.

Najczęściej jednak tata kibicował żółto-niebieskim. Cenił sobie to, że jest Szwedem. W Szwecji była najpiękniejsza przyroda na świecie i największy dobrobyt. Sztokholm – Wenecja Północy – był najwspanialszą stolicą we wszechświecie, co potwierdzali wszyscy, którzy choć raz tam zawitali. On też miał w tym swój udział, bo hartował stal, która była bezkonkurencyjna na rynkach międzynarodowych.

Wszystkie kraje poza Szwecją uważał za nierozwinięte.

Ale niektórych szwedzkich sportowców nie cierpiał do tego stopnia, że życzył im najgorszych możliwych porażek. Miał nadzieję, że Ragnarowi Skanåkerowi – narwańcowi, reakjoniście i rasiście – omsknie się pistolet i albo się zastrzeli, albo przynajmniej strzeli sobie w stopę. W turniejach tenisowych trzymał kciuki nawet za jankesów, byle tylko nie wygrał ten żałosny, szurnięty Björn Borg. Kiedy Ingemar Stenmark przeprowadził się do Monako ze swoimi milionami, z ciężkim westchnieniem schował swoją czapkę à la Stenmark na dnie szafy pod zwojem liny żeglarskiej.

Często chodziliśmy na stadion Arosvallen albo do hali Rocklunda na mecze piłki nożnej i bandy Klubu Sportowego Västerås.

– Sędzia kalosz! – krzyczał tata w równych odstępach czasu, a ja razem z nim, nie bardzo rozumiejąc dlaczego.

Tata dobrze się czuł na trybunach pośród innych mężczyzn. Nie miał problemu w nawiązywaniu kontaktów z ludźmi i zawsze był wobec nich autentycznie miły.

Klub Sportowy Västerås stale wygrywał w bandy i bez przerwy przegrywał w piłkę nożną, a kiedy w roku 1978 piłkarze spadli z pierwszej ligi, rzadziej chodziliśmy na Arosvallen. Choć tata gardził tymi, którzy kibicują tylko najlepszym, wolał przeżywać zwycięstwa, a nie porażki.

W wiosenne wieczory jeździliśmy rowerem na osiedlowe rozgrywki piłki nożnej albo przyglądaliśmy się trenującym chłopcom i dziewczętom. Tata chyba nie myślał o tym, że mogłabym do nich dołączyć, co mnie cieszyło. Byłam sportowym beztalenciem i kiedy tylko mogłam, uciekałam z lekcji gimnastyki.

Nie umiałam nawet grać w jojo. Tata kupił czarne błyszczące kalmarskie i cierpliwie mnie instruował. Prawą dłonią pewnie wprowadzał szpulkę w ruch, ostrożnie i uważnie wykonując triki. Ja nie radziłam sobie z najprostszymi rzeczami, podczas gdy on swoimi szponowatymi dłońmi potrafił zrobić bodaj wszystko.

W młodości tata grał na lewym skrzydle w Klubie Sportowym Skiljebo, drugim dużym klubie w Västerås. Pomagaliśmy Skiljebo, sprzedając losy przed Stjärnhallen. Raz mieliśmy nadzorować zawody z mapą w lesie za miastem. Ktoś zawiózł nas na miejsce granatowym volvo i zostawił w samochodzie na kilka godzin. Było śmiertelnie nudno. Nie przyszedł ani jeden chętny i nikt nas nie zmienił. Tata przesuwiał palcami po desce rozdzielczej, dotykał dźwigni zmiany biegów, opuszczał i podnosił szybę.

– Prowadzenie samochodu to nic trudnego. Każdy głupi to potrafi.

Przekręcił kluczyk, który tkwił w stacyjce, wcisnął jakiś pedał i ruszyliśmy tyłem w stronę pola. Samochodu nie dało się zatrzymać. Powolutku stoczyliśmy się do rowu. Siedziałam obok taty

i histerycznie krzyczałam.

– Cicho! – wysyczał. – Zamknij się, do cholery, bo jeszcze ktoś przyjdzie!

Zanim ktokolwiek zdążył nas zauważyć, tata podniósł samochód i przepchnął go na poprzednie miejsce. Dreptałam za nim i najlepiej, jak umiałam, zacierałam ślady opon. Zabronił mi komukolwiek mówić o tym, co się stało.

Nie miałam zwyczaju paplać na lewo i prawo. Słuchałam opowieści o Funkisgatan w czasie drugiej wojny światowej i wiedziałam, czym jest donosicielstwo, ale przede wszystkim dotrzymywałam słowa danego tacie. Tym razem nie było mi łatwo. Widziałam na własne oczy, jak podnosi volvo, i musiałam zachować to w tajemnicy.

W sercu taty znalazło się także miejsce dla klubu Hammarby, co brało się z jego romantycznych wyobrażeń o Södermalmie, w skrócie Söder, bo o tym prawdziwym miał niewielkie pojęcie. Kilka razy odwiedził mamę, kiedy lata temu mieszkała na Gotlandsgatan. I to wszystko. Marzył, żeby się tam poszwendać, napić piwa, pogadać söderskim slangiem i popatrzeć, jak Bajen⁸⁶ harata w gałę. Tak się żyje na Söder, mówił. Wszędzie „siema, siema”, jak w *Söderkåkar*⁸⁷ i *Vårat gäng*⁸⁸. Prości, uczciwi ludzie. Miejsce z duszą. Robociarski radykalizm. Wyobrażał sobie, że nawet mógłby tam zamieszkać.

Pewnej soboty wybraliśmy się statkiem do Sztokholmu. Denerwowałam się, że coś pójdzie nie tak – nigdy nie jeździliśmy na wycieczki. Po przybiciu do Stadshuskajen wzięliśmy taksówkę do Slussen, skąd popłynęliśmy promem na Djurgården do restauracji Hasselbacken, o której tata czytał. Zjedliśmy isterband z ziemniakami w białym sosie i tata zachodził w głowę, dlaczego musi tyle płacić za coś, co ma za darmo w babcinej kuchni.

Szast-prast i znaleźliśmy się w Śmiesznym Domu w parku rozrywki Gröna Lund. Przenigdy nie ciągnęło taty do tivoli. Był wesoły, ale – nie licząc pyz w Stjärnhallen – nie lubił się bawić.

W życiu nie stawiał babek z piasku, nie chodził się kąpać, nie grał w minigolfa ani nie robił tych wszystkich rzeczy, które robili inni rodzice. My poprzestawaliśmy na rozmowach. Parę razy poszliśmy do parku Ludowego. Pierwszego lata słuchaliśmy Lassego Berghagena, jak śpiewa o pluszowym misiu Fredrikssonie. Drugiego lata widzieliśmy show Lill-Babs o tym, że jest najseksowniejszą czterdziestką w Szwecji, na co tata reagował salwami śmiechu. Innym razem poszliśmy do domu młodzieży na Viksäng na występ lokalnej gwiazdy rewiowej Asty Holm.

Teraz stał w krzywym pokoju w Śmiesznym Domu i grawitacja nieubłaganie ciągnęła go w dół. Obiema rękami chwycił się niebieskiej poręczy i zaparł całym ciałem. Miał półotwarte usta, na czole perliły się krople potu wielkości gruszek. Powiedział, że mu niedobrze. Że puści pawia.

Mijały nas setki rozbawionych dzieciaków i podejrzliwie zerkających na nas rodziców.

Koniec końców tata wziął rozbieg i wybiegł z tego pokoju. Kiedy zeszedł z latającego dywanu, zwymiotował do kosza na śmieci.

Potem pojechaliśmy taksówką do Stadshuskajen i długo czekaliśmy, żeby wejść na statek. Tata siedział w milczeniu, z zamkniętymi oczami. Kapitan Leif Efraim Pończocha zabrał nas do miasta swoich marzeń i nagle coś takiego. Czy lubię jego towarzystwo? Czy jest dobrym tatą?

– Napnij mięśnie! – poprosiłam, żeby go rozweselić.

– Nie, kurde, nie dzisiaj.

Kiedy tata miał dwadzieścia jeden lat, skończył z piłką nożną. Po wyczerpującej pracy nie mógłby grać na tym samym wysokim poziomie, był śmiertelnie zmęczony. Kto wie, czy się nie wykręcał, bo co innego stało się ważniejsze. Zrobiło mi się przykro, że być może nie miał warunków do rozwoju swojego talentu.

Któregoś wieczoru wzięliśmy stare łyżwy taty do bandy. W opinii dziadka, którą potwierdziła babcia, nikt na całym Skiljebo nie jeździł lepiej niż on. Tak, tak.

Tata zdecydował, że pójdziemy na szkolne lodowisko pod

blokiem, gdzie jeździłyśmy z Anną-Karin w białych figurówkach, dopóki nie zlodowaciały nam stopy. Widziałam oczyma wyobraźni, jak tata po sześciu piwach się potyka i wszyscy chłopcy ryczą ze śmiechu. A jeśli zaczniesz sikać na ogrodzenie, tak jak na przystani? Wymyślałam najróżniejsze preteksty, żeby tam nie iść. Obstawiał przy swoim.

Poślizgnął się już na stromym zboczu prowadzącym do lodowiska. Chciałam wracać do domu. Powiedział, że mogę wrócić sama. Łudziłam się, że zniszczone brązowe buty z łyżwami będą na niego za małe, tymczasem włożył je bez trudu, równo, fachowo zasnurował i zawiązał na mocny węzeł.

Wychodząc na lód, prawie się przewrócił, oparł gołymi rękami o zwał śniegu, po czym ruszył, z rozwianym włosiem i powiewającymi na wietrze nogawkami cienkich gabardynowych spodni. Szybko i wprawnie, na tyle jednak wolno, że mogłam go podziwiać. Jego ciężkie ciało wydawało się lekkie i było mu posłuszne.

– No chodź! Nie będziesz jeździć?

Zahamował tuż przede mną, lód prysnął spod łyżew, zostały ładne ślady, też bym chciała tak umieć. I pomknął ku tej części lodowiska, gdzie chłopcy grali w bandy. Wyprostowany, z rękami w kieszeniach, jeździł w świetle latarni tam i z powrotem i śledził ich grę. Chciał być z nimi. W nagłym przebłysku dotarło do mnie, że w młodości miał wielu kumpli. Że był kimś w centrum uwagi.

Kiedy wracaliśmy, powiedział mi, że jako dwunastolatek obronił rozstrzygający o wyniku rzut karny przy wtórze wiwatującej publiki. Idąc do domu pod ciemnym zimowym niebem Skiljebo, płakał z dumy i z powodu bólu ręki, którą chwycił twardy jak kamień krążek bandy. Teraz cieszył się, że wtedy nie zdawał sobie sprawy, że przeżył jedną z najszcześniejszych chwil w życiu, bo gdyby sobie zdawał, to nawet tego by nie miał. Dopiero po latach zrozumiałam sens jego słów.

Po tym wieczorze łyżwy do bandy wisiały na gwoździu w garderobie jak wspomnienie tego, co tata potrafił, a o czym inni nie wiedzieli. Nawet ja.

Wiosną na łące koło naszego podwórka rozstawiali namiot zielonoświątkowcy i przez kilka wieczorów wszystko zmieniało się nie do poznania. W namiocie tłoczyli się ciekawscy, przeważnie dzieci. Patrzenie na religijnych ludzi było czymś fascynującym. Śpiewali, podrygiwali, z pasją wygłaszali kazania. Robiłam, co mogłam, żeby nie dać się porwać ich łatwo wpadającym w ucho pieśniami.

Pewnej wiosny ktoś nagle głośno zagwizdał na palcach na widok jasnowłosej dziewczyny, która zbierała kolektę. Wszyscy się odwrócili, żeby zobaczyć, co to za jeden.

Tata.

Stał daleko z tyłu wśród mnóstwa innych mężczyzn, ze starannie podwiniętymi rękawami koszuli, i wystawiał się na pośmiewisko.

Kiedy przyszliśmy do domu, zapytałam, dlaczego to zrobił.

Wyszczrzył zęby i pociągnął łyk piwa.

– Bo co? Ja tylko chciałem być miły! Chyba rozumiesz, że ona nie ma lekko, taka, no tego, chrześcijanka, która zadaje się z samymi szklistookimi zielononózkowcami. Była zadowolona. Cholernie zadowolona! Bez dwóch zdań.

Nie uwierzyłam mu. Wcale tak nie myślał, pewnie był po prostu radośnie podniecony, że ma okazję znaleźć się wśród ludzi. Widząc ładną dziewczynę, zagwizdał bezmyślnie, tak jak tysiące razy w młodości. Dawno temu, kiedy z krzywym uśmiechem i średnią flaszką⁸⁹ chodził do Rotundy w parku Ludowym, mógł mieć każdą.

W namiocie chciał oszukać siebie i innych, że jest czarusiem niedbającym o konwenanse. Przez wiele lat myślałam o tym gwizdaniu na palcach, że była to jedyna rzecz w życiu taty, którą można byłoby uznać za coś w rodzaju jawnej, ale niezamierzonej impertynencji. Pewnie chciał się pokazać takim, jakim mimo wszystko był.

Tacie trudno było poznać nową kobietę. Nie chodził na podryw do Baldakinen ani do Klippan, bo nie umiał tańczyć. Mówił, że ewentualnej partnerce groziłaby śmierć przez rozdeptanie. Nie nadawał się nawet do baletu radiowego. Poza tym tylko co drugi

weekend nie miał dziecka w domu. Poznanie kogoś w pracy raczej odpadało, w Zakładach Metalurgicznych nie było dużo dziewcząt.

Chował przede mną pisma pornograficzne, żeby nie wprawiać nas oboje w zakłopotanie, ale zawsze je znajdowałam, a kiedy trochę podrosłam, dokładnie studiowałam. Pobieżnie przeglądałam zdjęcia amerykańskich samochodów i reportaże o szwedzkich żołnierzach ONZ w Kongu, interesowały mnie zerkające pożądliwie kobiety z dużymi piersiami i rzekome listy od czytelników o rozbuchanym seksie w radiowozach i na fotelach dentystycznych. Wcześniej zgłębiłam tajniki żądź i popędów dorosłych. Przerażona i zafascynowana.

Pewnego wieczoru przyszła do nas młoda dziewczyna, którą tata poznał w restauracji. Jej mama mieszkała w pobliżu i dziewczyna wpadła się przywitać. Piękność o długich ciemnych włosach, w dżinsach i pikowanej kurtce. Usiadła na kanapie, przyjemnie pobrzękiwała jej srebrna bransoletka, kiedy strzepywała popiół z papierosa. Zapytała mnie o przedszkole, czy mam jakąś przyjaciółkę. Nagle tata zerwał się z fotela, siadł na niej okrakiem i kilka razy mocno pchnął ją podbrzuszem. Spojrzała na mnie, roześmiała się i tata wrócił na fotel. Nie całkiem rozumiałam, dlaczego tak się zachował. To było bardzo dziwne, ale też na swój sposób śmiałe. Przebojowe.

Drugi raz nie przyszła i tata powiedział, że na nic innego nie liczył. Długo się cieszyłam, że poznał taką ładną dziewczynę. Po latach jej imię zatarło się w mojej pamięci.

Przez krótki czas tata chodził z Rigmor. Mieszkała na osiedlu Bjurhovda, w połowie składającym się z galeriowców. Osiedle gangsterów, mówił tata.

Pamiętam, że Rigmor była gruba, ale nie przypominam sobie jej twarzy. Kiedy raz była u nas, tata zapomniał kupić papier toaletowy. Denerwował się przez cały wieczór, że będzie chciała zrobić siku albo coś gorszego. Przyniosła zawijasy cytrynowe, w które powtykała kawałki jabłka. Nie dało się tego jeść.

Rzadko bywałam u niej w domu, wiem, że oglądaliśmy tam

Melodifestivalen 1975. W całkowicie białym pokoju dziennym kłębiło się mnóstwo dzieciaków. Była też przyjaciółka Rigmor. Tata mówił, że ciągle tam przesiaduje. Uważał, że dorosłe kobiety, które nie mogą się bez siebie obyć, mają w sobie coś dekadentckiego, by nie powiedzieć, tragicznego. To oznaka słabości, dowód, że same sobie nie radzą. On radził sobie doskonale.

Zasnęłam po piosence *Jennie, Jennie* Lassego Berghagena. Pierwszy raz tata oglądał Melodifestivalen bez wygłupów i miotania wyzwiskami. Pomyślałam, że musi go to kosztować dużo wysiłku. Poza tym był skazany na kawę, bezy i kruche ciasteczka z dziurką. Nie było mowy o chłodnym piwie ze szpiżarki.

Rigmor miała troje dzieci. Tata próbował nawiązać z nimi kontakt, głównie ze względu na mnie, ale one – zajęte swoimi sprawami i swoimi kumplami – nie wykazywały zainteresowania. Tata uważał, że są hysiu hysiu. Sprawdzał ich uzdolnienia na różne sposoby, między innymi za pomocą prostszych gier karcianych, a potem z wymowną miną dyskretnie kręcił głową. Pewne nadzieje pokładał w nastoletnim synu Rigmor i kupił mu drogą książkę o szachach. Kiedy prócz niemrawego „dziękuję” nie doczekał się innej reakcji, był przekonany, że dzieciak zostanie ćpunem i wyląduje w zakładzie szybciej, niż Gösta Bohman zdąży powiedzieć o potrzebie zmiany władzy.

Ostatni raz Rigmor i tata spotkali się u niej. Siedzieli w kuchni i poważnie rozmawiali. Ja trzymałam się na uboczu.

Usłyszałam tatę:

– Ale przecież mówiłaś, że mnie lubisz. Czy tylko tak mówiłaś?

Chwilę później przyszła pora na powrót do domu.

– No to cześć – powiedział tata.

– No to cześć – powiedziała Rigmor.

Kiedy miałam dziewięć lat, zaczęła do nas przychodzić Sonia. Albo Anita. Nie mogłam się połapać, jakie jest jej prawdziwe imię, tata też nie był tego pewien. Na początku mówiła, że ma na imię Anita, potem, że Sonia. Ja nie przestałam się do niej zwracać inaczej niż Anita, tata mówił Sonia. Dziadek się pieklił, że nie zna imienia nowej flamy Leffego, a babcia nie widziała w tym problemu – najważniejsze, że Leif w końcu znalazł sobie towarzystwo.

Sonia mieszkała piętro niżej, tata poznał ją chyba w restauracji w jeden z tych weekendów, kiedy byłam u mamy. Sven, kolega z podwórka, powiedział mi, że widział ich późnym wieczorem, jak wysiadali z taksówki, że ona wyglądała tak, jakby się zsikała, i że tata pomógł jej wejść do klatki.

Była bardzo ładna i kilka lat starsza od taty. Prawdziwe cacko, mówił tata. Na początku lat sześćdziesiątych została Miss Västmanlandii i dwa razy była Łucją w Västerås. Pokazywała nam zdjęcia z sesji dla fotomodelek, na których ma jasne anielskie loki i stoi roześmiana na tle brzozy. Była fryzjerką w Domusie, chodziła w płaszczu i w butach na wysokim obcasie. Malowała się, nosiła obcisłe dzinsy i bluzkę albo granatowy sweterek, i złotą biżuterię, którą przez lata dostawała od różnych mężczyzn. Kiedy była smutna, podciągała sweterek, pokazując ślady po piersiach. Po mastektomii zostały stwardniałe blizny, podobne do pola świeżo okopanych ziemniaków. Mówiła, że wycięli jej też coś pod pachami. Blizny były długie.

Nie piła, ale od czasu do czasu brała tabletki przeciwlękowe, po których zaczynała pleść trzy po trzy, marudziła i miała spowolnione ruchy.

I chciała tańczyć disco.

– Leif, puść jakąś muzykę! Chcę tańczyć disco!

– Co ty wygadujesz? Uspokój się, Soniu!

– Åsa, puść disco!

– Nie mogę, Anita, nie mam.

Płyty z piosenkami Abby i Baccary schowałam pod łóżkiem.

Sonia kończyła pracę o szóstej i była w domu najwcześniej o wpół

do siódmej. Tata stał w oknie i wypatrywał jej, ja miałam za zadanie zbiec na dół i sprawdzić, czy w jej mieszkaniu się nie świeci, bo może już wróciła, a on tego nie zauważył. Kiedy zamykała drzwi piętro niżej, chodził tam i z powrotem i czekał na nią. Niespokojnie przebiegał wzrokiem „Aftonbladet”, wypijał piwo, sikał, otwierał butelkę wina, znów przeglądał gazetę, znów sikał i nasłuchiwał, co ona robi u siebie.

Przychodziła każdego wieczoru tylko po to, żeby powiedzieć, że zaraz wychodzi.

– Nie, Leif, dzisiaj nie zostanę. Wracam do siebie.

– Usiądź, obejrzyj wiadomości!

– Nie, Leif, pójdę. Nie zostanę. Wiesz, że wszystko się zmieni.

Co pewien czas jadła u nas kolację. Resztki przynoszone od babci w białych plastikowych pojemnikach, zamykanych na czerwone klipsy, albo w wymytych, okręconych gumką pudełkach po Florze, których tata ku irytacji dziadka zapominał zwrócić. Jedzenie, smaczne w babcinej kuchni, u nas było beznadziejne, brzydko pachniało i wyglądało obrzydliwie, ale Sonia jadła z apetytem. Po kolacji długo rozmawiała przez telefon ze swoją mamą. Tata nie protestował, odczuwał jednak zawód, że wieczór mija tak szybko. Potem siedziała na kanapie i kiedy przychodziła pora spania, mówiła, że już idzie, że wszystko się zmieni, że przeprowadza się do innej części miasta.

– Przecież wiesz, Leif.

Tata siedział w milczeniu i pił.

Często zostawała na noc. Zaczęłam spać we własnym łóżku.

Tata kupił do drzwi w sypialni landrynkowozieloną zasłonę z plecionki. Szeleściła i chrzęściła pożądaniem i pragnieniami, co wprawiało mnie w zakłopotanie. Przy przechodzeniu sploty głucho szumiały, obluźowywały się albo pękały pośrodku. Po pewnym czasie tata miał dosyć ich zszywania, zasłona robiła się coraz rzadsza, aż w końcu ją zdjął. Nigdy nie spełniła jego oczekiwań, podobnie jak nowe łóżko z radiem.

Sonia nie chciała dopuścić taty do siebie. Potrzebowała wyłącznie

jego towarzystwa i nic poza tym. Ale seks ją interesował. Świadczyły o tym egzemplarze „Lektur” i „Fib Aktuell” w jej mieszkaniu, urządzone w kolorach bordowo-różowych, z wykładzinami i mnóstwem jedwabnych poduszek, które nieco przypominało pokoje dziewczyn z saloonu z filmów o Dzikim Zachodzie. Pisma pornograficzne u nas w domu mnie nie raziły, u niej budziły obrzydzenie. Po co kobiecie coś takiego?

W stylowej komódce taty znalazłam pudełko prezerwatyw Black Jack. Leżało pod wycinkiem z gazety o wizycie Olofa Palmego na Kubie. W tym szlachetnym meblu gumki czarne jak grzech raziły w oczy. Wieczorami tata wysuwał szufladę i muskał pudełko. Tęsknił za zrobieniem użytku z jego zawartości.

Pewnego niedzielnego poranka, kiedy wstałam, żeby zrobić siusiu, zobaczyłam Sonię i tatę śpiących na kanapie. Ona tylko w sweterku przykrywającym nieistniejące piersi, on obok, ze sflaczałym członkiem na udzie.

Nie było łatwo, kiedy Sonia odurzała się tabletkami i kłóciła z tatą, ale mimo to lubiłam ją. Była dla mnie miła i nauczyła tatę jeść hamburgery. Przy stacji benzynowej BP, która przestała być BP i nazywała się inaczej, sprzedawali hamburgery za kilka koron. Sonia wierciła tacie dziurę w brzuchu, żeby pojechał je kupić, ale odmawiał, bo hamburgery to gangsterskie żarcie. Po miesiącach namów poddał się i wrócił z tłustą papierową torbą. Niechętnie spróbował i musiał przyznać, że to się daje jeść. Ba, to jest naprawdę smaczne. Jankesi potrafili jednak coś więcej niż tylko urządzać piekło na ziemi.

W obecności Soni nie rozmawialiśmy o polityce, bo tata jak zwykle bał się powiedzieć, na kogo głosuje. Sonia mówiła, że nienawidzi Olofa Palmego i Józefa Stalina, że takim ludziom powinno się wkładać bomby w brzuch. Jako fryzjerka w Domusie zarabiała niewiele więcej niż połowę tego co tata, krytykowała rząd z pozycji lewicowych, a mimo to głosowała na niebieskich⁹⁰. Szybko dotarło do taty, że Sonia jest jedną z tych, których wręcz niepojęty brak rozwagi sprawił, że mają ten przekłety trójpartyjny rząd,

a teraz siedzi sobie na jego kanapie i mówi, że szkoda Fälldina i że to wina socjaldemokratów i komunistów, że wszystko się pogorszyło i ona tak mało zarabia. Jak to, do cholery, możliwe? – pytał mnie, kiedy zostawaliśmy sami. Jak ona może?

Udawał niezainteresowanego polityką, ja też. Kiedy Soni nie było, podejmowaliśmy nasze rozmowy. Siedząc blisko siebie, mówiliśmy półszepem w obawie, że dotrą do jej mieszkania nasze rozważania o społeczeństwie bezklasowym.

Rozmawialiśmy coraz rzadziej.

Sonia żyła corocznymi wycieczkami czarterowymi nad Morze Śródziemne. Po jej wyjeździe tata miał swoje najgorsze dni, cały tydzień życia w nieustannym lęku, kogo ona tam poznała. O towarzyszeniu jej w ogóle nie było mowy. Sonia tego nie chciała, a jemu nigdy nie przyszłoby do głowy, żeby oszczędzać na urlop na plaży. Nie wyobrażał sobie nic bardziej idiotycznego niż tłoczenie się z mnóstwem tłustych niemieckich babsztyli, które leżą na brzegu i wrzeszczą „*Heil Hitler*” do swoich dzieciaków.

– Sama rozumiesz, jakie to okropne!

Sonia trochę się kumpłowała z Katrin, która paliła hasz i miała w nosie kolczyk z perełką. Mieszkała dwa piętra nad nami z byłym recydywistą. Tacie nie mieściło się w głowie, jak Sonia może się zadawać z takimi szumowinami.

– Mam też innych przyjaciół, Leif, nic nie wiesz o moich przyjaciółkach – odpowiadała urażona.

Sonia i Katrin często się ze sobą kłóciły. Kiedyś poszło im o pralnię. Sonia przybiegła po tatę, żeby ją poparł. Staliśmy w milczeniu i patrzyliśmy z ciekawością na duże pralki. Byliśmy tam pierwszy raz. Katrin odwróciła się do taty i zapytała, czy on wie, że Sonia przychodzi do niego wieczorami tylko po to, żeby zjeść to, co ugotowała jego matka, żeby zaoszczędzić na swoje podróże do Hiszpanii? Co? Czyżby mu o tym nie powiedziała? Przecież każdemu to mówi!

– Chyba jej nie uwierzyłeś, Leif? – spytała Sonia niespokojnie, kiedy wróciliśmy na górę. – To ćpunka, a tacy wszystko zmyślają!

Tata patrzył na nią.

– Nie wierz jej, Leif, nie wierz jej!

Sonia przestała się u nas stołować, przez dłuższy czas trzymała się z daleka, po czym któregoś dnia przyszła jakby nigdy nic.

– Nie, Leif, dzisiaj nie zostanę. Wracam do siebie.

– Usiądź, obejrzyj wiadomości!

– Nie, Leif, pójdę. Nie zostanę. Wiesz, że wszystko się zmieni.

Któregoś lata po powrocie z Majorki Sonia powiedziała, że poznała innego mężczyznę.

Tata został porzucony po raz drugi.

– Słyszałaś, że Sonia się zaręczyła? – zapytał.

– Co? Z kim?

– Ze mną.

– O! Moje gratulacje!

Próbowałam nie pokazać po sobie, jak dziecinnie to zabrzmiało.

– Jasne, że nie ze mną! Z hiszpańskim milionerem, który się tu przeprowadzi. To na pewno cholernie fajny gość.

Tata zawsze był wielkoduszny.

Zobaczyliśmy ich, jak idą przez podwórko z torbą hamburgerów kupionych przy stacji benzynowej. Ona na wysokich obcasach, milioner w krótkiej skórzanej kurtce. Według mnie wyglądał jak podstarzały Tom Jones.

Tata miał inne zdanie.

– Wygląda raczej jak uliczny alfons.

Chodzili ze sobą około roku.

Tata nie znosił zimy. Ciemności i chłód przytłaczały go. Marzył jak pies. Rano trudniej było jeździć rowerem, czasami się przewracaliśmy. Tata najlepiej jak potrafił usuwał gołymi rękami śnieg i lód z siodełka, potem siadał z jękiem, roztopiając resztę.

– Niech to diabli, ale zimno!

Patrzyłam w okna, w których paliły się adwentowe świeczniki. Wszystkie mieszkania wyglądały przyjemnie i przytulnie. Gwiazdy Betlejemskie z metalu albo z pomarańczowej tektury rzucały blask na podwórka na Viksäng.

Tacie zależało na tym, żeby jego gwiazda była pierwsza, żeby ludzie, zadzierając głowy, patrzyli w nasze okna i mówili, że ta zaradna kobieta naprawdę trzyma styl. W adwentowym świeczniku zwilżał rok po roku ten sam mech i wkładał coraz bardziej pożółkłe stearynowe świece, których nie zapalaliśmy. Czerwona farba na borówkach i muchomorach zrobiła się lepka ze starości. Ja nie mogłam pomagać, wszystko musiało być zaaranżowane perfekcyjnie.

Ani razu nie powiesił moich ozdób świątecznych. Papierowe kulki i rolki po papierze toaletowym oklejone filcem i udekorowane wyciorami do fajek nie miały żadnego uroku. To, co zrobiłam w przedszkolu i świetlicy, wyrzucał albo chował do szafki. Mama wręcz przeciwnie. Nosiła moje naszyjniki z indiańskich paciorków, z wyjątkiem żółtych i niebieskich, bo nie lubiła wszystkiego, co można byłoby uznać za wyraz miłości do ojczyzny. Jej pokój w pośredniaku zdobiły moje rysunki i pomalowane akwarelami miseczki z gruzełkowatej gliny.

Dziadek kupował nam choinkę i wydania świąteczne gazet. Któregoś roku tata zrobił niespodziankę i przyniósł składany domek z piernika. Oboje byliśmy pełni nadziei, kiedy rozpuszczał cukier na patelni. Nagle krzyknął, żebym się odsunęła. Mając na co dzień do czynienia z tysiącstopniowym żarem, bał się odrobiny gorącego cukru. Identycznie zareagował, decydując się na wypróbowanie frytkownicy z poprzedniego życia, która stała w szafce z garnkami. A ja myślałam, że tata potrafi przejść przez ogień.

Pewnego roku tata wziął wolne, żeby uczestniczyć w obchodach Dnia Świętej Łucji w przedszkolu. Poprzedniego wieczoru wyjął deskę do prasowania z dużym śladem po gorącym żelazku, o którym mama kiedyś zapomniała, i uprasował mi długą białą koszulę druhny, którą ku naszej wielkiej uldze znaleźliśmy w ICA w Viksäng Centrum. Rano włożył klubową marynarkę i wyjątkowo starannie uczesał się na wodę metalowym grzebieniem.

Później powiedział, że pochod świętej Łucji był absolutnie światowej klasy. Absolutnie.

Nie miał pojęcia, ile to potrwa, został dużo dłużej, kiedy wszyscy rodzice dawno zdążyli wyjść. Szepnęłam do niego, żebyśmy już poszli, na co mi odszepnął, że skoro wziął wolne, ani myśli darować choćby minuty Zakładom Mentalergicznym. Przespacerował się po przedszkolu, po raz pierwszy obejrzał pokój zabaw, kącik czytelniczy, stolarnię i kącik dla lalek. Zabawiając rozmową przedszkolanki, nie wiedział, jak zapytać o codzienną rutynę i inne rzeczy.

Zwracał się do mnie per Natasza, czym wprowadził wszystkich w konsternację.

– Czy twój tata myśli, że ty jesteś Tarzan⁹¹?

W jego obecności nie mogłam być z dziećmi, które hasały beztrosko w czerwonych krasnoludkowych czapeczkach i błyskotkach. Koniec końców staliśmy w kącie i milczeliśmy.

Wieczorem tata jeszcze raz pochwalił nasz występ, dodając, że żał mu rodziców innych dzieci, zwłaszcza tego gangstera w stroju piernikowym.

– Ta kanalia jest trochę hysiu, co? Na pewno ma nierówno pod sufitem, każdy głupi to wie.

W jego opinii wszystkie dzieci były brzydkie, nabzdyczone, grube i nierozgarnięte. Kiedy z nimi rozmawiał, był łagodny i nad wyraz uprzejmy, ale potem mówił, że natknął się na jakiegoś koszmarne bachora, który o mało go nie zabił swoją głupią paplaniną.

– Biedni rodzice!

Nigdy nie miał dość powtarzania, jakie dopisało mu szczęście, że ma taką wspaniałą i bystrą dziewczuszkę jak ja.

W Wigilię gromadziliśmy się na Björkgatan. Poza tym rodzeństwo widywało się na okrągłych rocznicach urodzin babci i dziadka. W niektóre święta Bożego Narodzenia roіło się od ludzi, którzy starali się stworzyć wspólnotę z racji pochodzenia z tego samego łona. Między tatą a jego najstarszym bratem były dwadzieścia cztery lata różnicy. W domu dziadków zbierały się cztery pokolenia dzieci, wnuków i prawnuków.

Wszyscy głośno rozmawiali, z radosnym ożywieniem, wydawali się zadowoleni, że po dłuższym niewidzeniu znowu się spotykają, co wcale im nie przeszkadzało obgadywać się za plecami – w kuchni albo na piwnicznych schodach. Majken, Rolf i tata trzymali ze sobą, Jarl, Roland i Olle ze sobą. Tacie było nieswojo, że Olle trzyma z innymi. Stryjenka Görel była poza.

W pokoju dziadka, przed włączonym telewizorem, siedział niczym porcelanowa lalka mąż Görel, Bernhard. Szczupły i miły, w beżowej kamizelce na suwak. Chwaląc moje białe sandałki, mówił miękkim, delikatnym głosem, jakby nie chciał przeszkadzać. On właściwie nie chciał tam być. Po kilku latach zrozumieliśmy, że nie chciał być gdziekolwiek. Przyjemnie było przez chwilę posiedzieć obok niego.

Na wigilijnym stole niczego nie brakowało. Nawet wódki. Dziadek udawał, że jej nie widzi. Babcia, kiedy jej wyjaśniłam, że nie lubię takiego jedzenia, smażyła mi naleśniki.

Dla mnie i trzech kuzynów, chłopców w moim wieku, był osobny stół. Marudziłam, że nie chcę tam siedzieć, bo nie jestem dzieckiem. Chyba wiesz, mówiłam tacie, że nie lubię dzieci? Wolałam towarzystwo dorosłych. W przedszkolu wolałam przebywać z przedszkolankami niż się bawić.

Tata odpowiadał szeptem, że to, kurde, jasne jak słońce, że nie będę siedzieć z gówniarzami.

– Usiądź ze mną, kompanie!

Tego też nie chciałam, chciałam być z Rositą. Promieniowała młodością kobiety dojrzałej do małżeństwa i opowiadała smutne, trochę przesadzone historie o pacjentach z kliniki chorób płuc. Byłam jej powierniczką. Zwierzała mi się z tajemnic o swoich adoratorach, czego za żadne skarby nie mogłam wyjawic Majken

i Aleksiejowi.

Przysłuchiwanie się rozmowom dorosłych było fascynujące. Mówili o Zakładach Metalurgicznych, Grupie Baader-Meinhof, Clarku Olofssonie⁹², o wszystkim, co ich zaprzętało. Chciałam słuchać wzajemnych docinków rodzeństwa, wydawało mi się, że rozumiem najdrobniejsze niuanse.

Po jedzeniu chłopcy rozbiegali się po obcym im domu. Zatrzymywali się, patrzyli na coś, co dobrze znałam, i dotykali różnych rzeczy serdelkowatymi, dziecięcymi palcami. Raz zaczęli się bawić dużą babciną lalką księżniczką w sukni z niebieskiego jedwabiu, która tronowała niepodzielnie pośrodku łóżka zamiast dekoracyjnych poduszek. Tak ją ciągnęli za włosy, że odpadły. Na łysej plastikowej głowie został brązowy, zaschnięty klej. Stałam w drzwiach i powiedziałam, że nie wolno im niczego dotykać.

Koperty dla mnie były opatrzone napisem: „Åsie zuch dziewczynce wesołych świąt”. Dostawałam dużo więcej prezentów niż inne dzieci, tak jakby rodzeństwo taty chciało mi coś zrekompensować. Na przykład Elinor, siostra dziadka, tylko mnie przysłała z Florydy farby do malowania.

Od taty nie dostawałam nic. Zależało mu na tym, żeby w pierwszej kolejności obdarować prezentami gwiazdkowymi gówniarzy. Byłoby głupio, mówił, gdyby wszyscy coś im kupili, a on jeden nie. Przyznawałam mu rację. Obiecywał, że zrobi to po Nowym Roku. Ani razu nie dotrzymał słowa. Przywykłam do tego, bo na moje urodziny też nic mi nie kupował. Był hojny, jeśli było go na to stać: codziennie w Stjärnhallen, w soboty w śródmieściu, kiedykolwiek. Ode mnie dostawał *Årets Ehrenmark*⁹³ i pudełko cygaretek Ritmeester Livarde. Płaciła mama. Tata był zadowolony.

Dorośli nie dostawali prezentów, z wyjątkiem babci i dziadka, którzy dostępowali tego zaszczytu. W tej prestiżowej walce między rodzeństwem tata zawsze przegrywał, bo zawsze przychodził z pustymi rękami.

- Oj, zapomniałem wziąć z domu! Podrzucę między świętami.
- Niczego mi nie trzeba, zaoszczędź swoje pieniądze – mówiła babcia, wycierając ręce w fartuszek.

Któregoś roku tata zaklinał się, że pobije rodzeństwo na głowę. Całymi tygodniami zastanawiał się nad prezentem dla rodziców, czymś w przystępnej cenie i o takich gabarytach, które nie umknęłyby niczyjej uwadze. Piał z zachwytu, kiedy wpadł na pomysł, żeby kupić nowoczesny wieszak stojący na ubrania z ciemnego drewna. Wyobrażał sobie nasze wspaniałe entrées: Łał, Leffe, ale paka! Aj tam, to tylko taki drobiazg dla matki i ojca, nic nadzwyczajnego.

Myślał, że tak się odwdzięczy za darmowe posiłki, flotę i opiekę.

Wzbudziliśmy pewne zainteresowanie, ale wieszak nie stał się najważniejszym i jedynym tematem rozmów. Dziadek, współczując tacie, podarował mi swój zegar z kukułką.

Bywało, że Wigilia kończyła się bijatyką. Jarl, najstarszy brat taty, ożenił się z bogatą panną, której ojciec dorobił się w branży budowlanej i awansował na szefa wydziału tłoczni w Zakładach Metalurgicznych. I rodzeństwo się podzieliło. Niektórzy uważali, że Jarl ich poucza, inni trzymali z nim sztamę. Babcia i dziadek traktowali go chyba jak kogoś obcego. Mieszkali zaledwie dwie przecznice od siebie i nigdy się nie spotykali. Według babci Jarl stał się zbyt wytworny. Jego żonę obgadywali za plecami, że nosi drogie futra, plecie trzy po trzy, i naśmiewali się z jej pudła, którego babcia śmiertelnie się bała. Lubiłam ją w tajemnicy przed wszystkimi, tata też. Była bardziej godna zaufania, niż wielu chciało się do tego przyznać.

Poza tym dziadka i Jarla dzielił awans Jarla w Zakładach Metalurgicznych, z czego dziadek był dumny i do czego jednocześnie podchodził z pewną nieufnością. Jarl zyskał taką pozycję, która wyłączyła go z grona robotników. Nie interesowały go ani dziadkowe rady, co byłoby najlepsze dla zakładów, ani ludzie, którzy tam pracowali. Dziadek przestał rozumieć swojego najstarszego syna.

Bójki zwykle zaczynały się od tego, że Rolf miał dosyć tyranii Jarla, często wymierzonej w jego dorosłego syna. Nagle rozlegał się trzask, brzęk zastawy lądującej na podłodze, odgłosy bijących się

mężczyzn, szuranie i łoskot odsuwanych i przewracających się mebli, odgłosy głuchych ciosów zadawanych pięścią w plecy, ramiona, brzuch, nerwowe krzyki kobiet i wrzask mężczyzn: przestańcie, do cholery, uspokójcie się! – i głosy dzieci, które jeszcze nie zaczęły płakać.

Rozdzielał ich tata, najmłodszy i najsilniejszy. Przez chwilę niechluj stawał się niekwestionowanym autorytetem.

Podchodzili do niego i poklepywali po plecach.

– Świetna robota, Leffe!

– Jakie to szczęście, Leffe, że jesteś taki silny!

Dziadek, w odświeżonej białej koszuli, podnosił rękę w geście pełnego szacunku podziękowania.

Tata szedł do kuchni napić się pilznera i ponapawać tym, że choć raz zatriumfował. Babcia płakała w spiżarni, ubolewając, że dzieci, które kocha, nie kochają się nawzajem.

– Nie smuć się, matka – powiedział któregoś razu tata. – Wszystkie lepsze przyjęcia kończą się bijatyką. Nie pamiętasz, jak było rok temu?

Pospiesznie musnął babcine ramię. To był jedyny raz, kiedy widziałam, że jej dotyka.

Kiedy później babcia i dziadek sprzedali swój dom Rosicie, obchodziliśmy Wigilię u Majken i Aleksieja. Było nas mniej i panowała zgoda. Rolf przynosił dużą bombonierkę, my – torbę brudnych rzeczy do prania.

Aleksiej nalewał wódkę zgodnie ze słowami *Helan går*⁹⁴, ale tata wychylał do dna nawet te kieliszki, które – oprócz pierwszego – powinno się dzielić na pół, potem na trzy części, a potem na pięć. Aleksiej dolewał, nie szczędząc tacie szyderczych komentarzy, a tata udawał, że nie rozumie. Kiedy szedł do toalety, opierał się o ścianę, w piwnicy się potykał, zносиło go na poręcz schodów. Bełkotał, że cieszy się z *Årets Ehrenmark*, pytał, ile floty dostałam, uważał, że niektórzy byli wobec mnie zbyt skąpi, mówił, że da mi prezenty gwiazdkowe po Nowym Roku.

Potem szliśmy na Funkisgatan, gdzie przy wigilijnym stole

spotykali się mama, Lasse, Kajsa, babcia, dziadek, Nina, wujek Guido, kuzyn Andrea i część członków włoskiego stowarzyszenia. Ja miałam zostać z mamą do Nowego Roku.

Pachniało włoską kuchnią, kawą, koniakiem, panettone i pall mallami bez filtra. Wszyscy byli radośni i hałaśliwi. Zamaszyście opróżniali kieliszki, głośno się śmiali, napełniali kieliszki, popiół z papierosów spadał na białe obrusy, które przykrywały na zakładkę długi stół, gęsto zastawiony talerzami i butelkami. Trochę tańczyli, śpiewali i grali w różne gry. Mama wyglądała elegancko w długiej batikowej sukience.

Witała nas Nina.

– O, siemasz, Leffe! Cześć, staruszek, miło was widzieć! Wejdz, Leffe, napij się grogu! A może wolałbyś lampkę koniaku?

– Dziękuję, wolę grog.

Siadał w kurtce, z kieliszkiem w dłoni, w innym pokoju, nie tam, skąd dochodził gwar, zapalał papierosa i rozglądał się dyskretnie po tym niezwykłym domu, z którym łączyło go wszystko, co kochał. Tutaj za młodu przychodził po mamę, a teraz czekali, żeby sobie poszedł.

Nina lekkim tonem rozmawiała z tatą o istotnych sprawach. Wujek Guido śpiewał starą dziecięcą rymowanąkę, zginając mi palce, które ciągle się poruszały: *Bim bim ba, caneri nera, volete biscottini, volete caramelle, bim bim ba, caneri nera.*

Mama i Lasse, zakłopotani, nie opuszczali dużego pokoju. Kajsa stała w odległości kilku metrów i patrzyła swoimi piwnymi oczami. Tata Åsy! To on tak wygląda? I tak mówi? Widywała go tylko wtedy. Mama starannie oddzielała nasze światy.

Ja biegałam tam i z powrotem, od taty do reszty towarzystwa, nie wiedząc, z kim mam rozmawiać. Dlaczego tata wreszcie sobie nie pójdzie? Czy jest mu smutno?

Kiedy zamykał za sobą drzwi i wracał w swoich śliskich półbutach na Rönnergatan, płakałam ze wstydu, że odczuwam ulgę, i ubolewałam nad jego samotnością. Będzie siedział w fotelu do Trzech Króli. Przez przeszklone drzwi wychodzące na ganek widziałam jego skuloną sylwetkę znikającą w padającym mokrym

śniegu. Przez ułamek sekundy miałam ochotę za nim pobiec.

Tato! Poczekaj na mnie, tylko włożę kurtkę!

Nie biegłam.

Dziadek Juliusz mimochodem ocierał mi łzy i mówił, że teraz, kiedy tu jestem, są prawdziwe święta. Czy ostatnio przeczytałam coś dobrego? I zaczynał uderzać pięknymi dłońmi w blat zastawionego stołu. Najpierw wolno, potem szybciej akompaniował sobie do *Pieśni burłaków wołżańskich*. Wszyscy szliśmy za jego przykładem. Podskakiwały filiżanki do kawy, cały dom wypełniała ekspresyjna pieśń, zakończona ekstatycznym crescendo. Po niej były *Bandiera rossa*, *Warszawianka* i *Pieśń partyzancka*. I popisowy numer dziadka, *En valsmelodi* Ferlina⁹⁵. Gdyby zapomniał tekstu, nie moglibyśmy mu pomóc.

Babcia śpiewała rzewne rosyjskie piosenki ludowe o brzozech, które gubiły liście w środku lata, i o ojcach, którzy nie wrócili z wojny. Łagodnie kołysała się w rytm słów, a ja myślałam, że nikt inny nie ma takiej babci.

Tata uwielbiałby z nami być. Wspaniale, że nie był.

W naszą ostatnią wspólną Wigilię tata był tak pijany, że nie mógł włożyć butów, kiedy mieliśmy pójść do Majken i Aleksieja. Kilka razy się przewracał i podnosił dzięki mojej pomocy. Kiedy stanął na nogi, zsunął mu się but, który przydeptał. Nie ruszaj się! – krzyknęłam, próbując mu go włożyć. Stał w skarpetce w śniegu, żeby znowu nie upaść. Słyszając mój łamiący się głos, zapytał, dlaczego się martwię w Wigilię.

– Nie smuć się, Natasza! W Wigilię trzeba się bawić. Trzeba się cieszyć.

Kiedy piwo o średniej mocy wycofano ze sprzedaży w sklepach spożywczych, tata w przerwach na lunch zaopatrywał się w monopolowym. Przychodził po mnie do świetlicy z zieloną torbą na ramieniu, w której brzęczały dwie butelki wina Beyaz, dość szybko zastąpione przez 35 cl Explorera albo 35 cl Renat, których pojemność wzrosła potem do 75 cl. Coraz częściej śmierdział wódką.

Alkohol był zawsze, ale kiedy tata pił piwo, nie było tego po nim widać. Teraz, kiedy odbijał kartę po pracy, ciągle był na rauszu albo na dużej bani. Po powrocie do domu wstawiał torbę do garderoby. Otwierałam ją po kryjomu i w pośpiechu, żeby sprawdzić, ile czego kupił i ile wypił. W spizarni tłoczyły się puste butelki.

Wieczory nie były już zabawne, skończyła się zażyłość między nami. Tata nie miał ochoty na żarty, jego dowcipy były najczęściej prostackie. Kiedy odgrywał hrabinę von Dupa Pawiana, ogarniała mnie wściekłość. Słyszac pierdnięcia i cichacze, wychodziłam z pokoju. Czuł się głupio i wpadał w złość, przychodził do mnie i mówił, że nie dał mi żadnego powodu, żebym zachowywała się jak obłąkana. Skory do kłótni, wszczynał dyskusje o drobiazgach i błahostkach.

Użalał się nad sobą, ale potrafił z siebie wydusić tylko tyle, że ma piekielną pracę. Nie skończył czterdziestki, a wszystko go boli. Był chronicznie zmęczony. I chronicznie samotny.

Przestaliśmy mówić o sobie nawzajem „kumple i kompani”, pytał mnie o Lenę, lalkę, która od dawna nie była już moją towarzyszką i leżała w jakiejś szufladzie.

– Czy ona żyje?

– Pewnie tak.

Wzruszałam ramionami. Cóż można odpowiedzieć na takie pytanie.

Kiedy tata pił, świat nie nabierał pięknych barw, a ludzie nie zyskiwali na atrakcyjności. Przeciwnie. Świat stawał się brzydszy i zaludniali go idioci. Tata miał tylko jeden sposób na leczenie tej beznadziei. Pić jeszcze więcej.

Od picia słyszał gorzej niż zwykle. W 1968 roku doznał

uszkodzenia słuchu. Któregoś wieczoru, kiedy wracał z pracy do domu motorowerem, potrącił go samochód. Od jakiegoś czasu był na urlopie bezpłatnym, żeby spróbować swoich sił w branży budowlanej, zobaczyć, czy nie będzie mu tam lepiej. Ubytek słuchu, co na budowie może stanowić zagrożenie życia, zmusił go do powrotu do pieców hartowniczych. Ten pozornie błahy wypadek miał poważne konsekwencje. Tata przestał marzyć o uwolnieniu się od harówki w Zakładach Metalurgicznych. Praca na budowie też była wyczerpująca, ale twórcza i konstruktywna. Widział, jak powstaje coś sensownego i konkretnego – mieszkania dla wszystkich. Stal, którą hartował, znikła z pola widzenia, łączono ją z czymś tam gdzieś w Szwecji i eksportowano. Nigdy nie oglądał ostatecznego rezultatu swojej pracy.

Alkohol dodatkowo osłabił mu słuch. Kiedy coś do niego mówiłam, odwracał głowę w moją stronę i mamrotał, że nie słyszy, bo stary pirat drogowy ze Szwedzkiego Związku Zapaśniczego, jego były trener, o mały włos go nie przejechał. Prosił, żebym mówiła głośniej, po czym zmartwiony kręcił głową. Nie, nic nie słyszy.

Tata chciał tańczyć.

Przez lata uważał, że nie ma głupszego programu od *Nygammalt* z Bossem Larssonem⁹⁶. Mało rzeczy śmieszyło go bardziej niż faceci obcięci na garnek, grający na skrzypcach. Teraz był rozanielony. Mówił, że chce się puścić w tany. Ogromny i niezdarny, wyginał ciało w skocznej polce, nie znał kroków i nie miało dla niego znaczenia, w jakim tempie zespół Bröderna Lindqvist śmiga smyczkami po strunach.

– Wszystko jedno! Wszystko jedno! Tańczymy!

Obejmował mnie silnymi ramionami i przytupywał, aż dudniło. Staralam się dostosować, ale moje ciało stawiało opór. Tata tracił równowagę, próbował się oprzeć o mahoniowy stołek, razem z nim lądował na podłodze i szybko wstawał, żeby tańczyć dalej. Sonia przychodziła z dołu i pytała, co to za odgłosy.

– Ja chcę tańczyć, a dziewczuszka nie chce.

– Tańczyć to takie przyjemne! Puść disco, Leif!

Złościł się. Kiedy wreszcie tu przychodzi, to tylko po to, żeby płeść

głupoty.

Tata dostawał przymusowe zwolnienia chorobowe z powodu problemów neurologicznych i alkoholowych, przez dłuższe okresy nie było go w Zakładach Metalurgicznych, a mimo to piece ziały ogniem. Nie pytałam, kto je obsługuje pod nieobecność najlepszego hartownika w Szwecji.

Został zdegradowany, nie mógł już tytułować się brygadzystą, gazetka zakładowa ze zdjęciem, z którego tak się cieszył, skończyła w zsypie na śmieci. Gnany lękiem, odsunięty od pracy, prasował wszystko, co było w bielizniarce. Krople potu skapywały na bieżnik wielkanocny, którego nigdy przedtem nie widziałam. „Archiwalia” po mamie. Mówił, że gdybym dzwoniła do niego do pracy, mam już nie prosić do telefonu mistrza hartownika Leifa Anderssona.

Już nie dało się z nim rozmawiać, nawet nie próbowałam, odeszła mi na to ochota. Oboje byliśmy tak zafiksowani na punkcie jego butelek, że siebie już nie zauważaliśmy. Jeśli w ogóle rozmawialiśmy, to tak, jakbyśmy mówili z ustami przyciśniętymi do szklanki.

Dryfowaliśmy ku przepaści. Wszystko odbyło się bardzo szybko, to była kwestia miesięcy.

Przedtem zawsze byłam blisko taty. Teraz siedziałam w swoim pokoju, wycinałam nekrologi z „VLT” i wkładałam je do małej rosyjskiej szkatułki, którą tata bez słowa opróżniał, a ja znowu ją wypełniałam. Trwała między nami cicha walka, oboje udawaliśmy, jakby nigdy nic. Przestałam się bać, że mógłby mnie osierocić.

Już nie chciałam, żeby odbierał mnie ze świetlicy, i sama wracałam rowerem do domu. Okrężną drogą, przez osiedle willowe. Myślałam, że grozi mi pomieszanie zmysłów, że będę miała słabe nerwy jak tata. Wiosną zwykle jeździł ze mną dookoła, chaotycznie, bez ładu i składu. Zostawiał rower pod jakimś zagajnikiem, stawał pod brzozą, zamykał oczy i szeptał, że bołą go nerwy. Kiedy byłam mniejsza, zapytałam, co to nerwy, a on mi wyjaśnił, że to takie długie włókna w ciele. Wyobraziłam je sobie jak rozciągniętą na maksa gumę do żucia, którą owijam wokół palca wskazującego i wkładam do ust, za każdym razem mniej rozciągliwą. Od tamtej pory przestałam ją połykać w obawie, że zaplącze się w nerwy w brzuchu. Myślałam, że może jednak człowiek jest zrobiony z tego samego materiału co te okropne lalki z domku dla lalek.

Albo szłam do babci i dziadka, kiedy po sprzedaży domu przeprowadzili się do mieszkania w bloku poniżej naszego. Od floty i potrawki w sosie koperkowym dzieliło nas tylko małe zbocze.

Babcia w krótkim czasie miała wylew i dwa zawały. Następne były przed nią. Powłóczyła jedną nogą, lewa ręka była bezwładna. Na szyi na cienkim sznurku wisiał aparat słuchowy wielkości paczki papierosów, który nigdy nie działał. Dziadek coraz rzadziej przynosił do domu sandacze i okonie, czasami kupował ryby, twierdząc, że sam je złowił. Ja siedziałam w kuchni i jadłam jego lukrecjowe łódeczki⁹⁷. Pomagali mi zabić czas grą w cassino.

Przyszedł do nas Sören z nowym aparatem fotograficznym. Sören był jedynym kolegą z pracy, z którym tata się przyjaźnił. Lubiłam go. Chciał nam zrobić zdjęcia, bo przeprowadzał się do swojej dziewczyny do Norrlandii. Pozuję w czerwonych gabardynowych spodniach, białym golfie i brązowej szydełkowej kamizelce zrobionej przez babcię Wierę. Mam włosy zebrane w koński ogon, spod gumki

wymykają się niesforne pasemka, odstaje mi prawe ucho po dziadku Karlu. Pod pachą trzymam klaser. Siłę się na szeroki uśmiech, ale czerwone usta nie chcą mnie słuchać. Smutny klaun. Kiedy później zobaczyłam to zdjęcie, pomyślałam, że nikt nie mógłby kogoś takiego polubić. Dlaczego nikt mi nie powiedział, że jestem brzydka?

Zaczęłam pisać w modrym pamiętniku, tym z gołębiem na okładce, który dostałam od taty. Strzępki wspomnień z lat spędzonych z mamą. Zimne ognie, rzucające blask na to, co kryje się w cieniu, ale zbyt słaby i krótkotrwały, żeby oświetlić to, czego szukałam. Pisałam o gwiazdach adwentowych we wszystkich oknach na Viksäng o poranku, kiedy tata i ja wychodziliśmy z domu. O szerokich plecach taty, kiedy siedziałam za nim na bagażniku. Napisałam o tym, kiedy odebrał mnie z przedszkola i poszliśmy do budynku koszarowego w kolorze waniliowego sosu. Myślałam, że wypożyczymy książki w bibliotece, i zdziwiłam się, kiedy weszliśmy po starych marmurowych schodach na wyższy podest i zatrzymaliśmy się przed największymi drewnianymi drzwiami, jakie kiedykolwiek widziałam. Tata powiedział, że chce odwiedzić kumpla. Nie umiałam jeszcze czytać. Na metalowej tabliczce były ogniwa łańcucha. Tata zapukał tylko raz, niezbyt mocno. Nikt nie otworzył. Nigdy tam nie wróciliśmy.

Kilka razy zdobyłam się na odwagę i opróżniłam jego butelki. Wybierałam te, które stały przy łóżku. Nie było nic gorszego niż widzieć go w takim stanie, że nawet nie mógł usiąść i się napić. Od pijackiego snu miał przypląszczone włosy z tyłu głowy. Kiedy się orientował, co robiłam, urażony domagał się przeprosin, mówił, że żałuję mu snu. Beształ mnie i świdrował wzrokiem zabijaki na bokserskim ringu. Ciężko znosił swoje dobrowolne męczeństwo.

Mówiłam „przepraszam”.

Potem miał wyrzuty sumienia i kupował mi prezenty. Raz dostałam srebrny pierścionek z dwoma czerwonymi koralikami, innym razem drogi zegarek z zawieszką, jeszcze innym – bloczek z autografami gwiazd bandy, Thorbjörna Eka i Sörena Boströma. W torbie częściej niż przedtem były książki z Domusa. Stary regał

w moim pokoju wymienił na nowy, z pulpitem do pisania.

– Teraz możesz tu siedzieć i pisać, staruszko.

Jeśli już podejmował próby zerwania z nałogiem, to wtedy, kiedy nie miał pieniędzy. Był wyciszony i łagodny, mimo że jego organizm się buntował. Siedział w fotelu i usiłował rozprostowywać oporne nogi. Udawało mu się wytrzymać zaledwie kilka dni.

Któregoś sobotniego popołudnia dziadek przyparł tatę do muru i pogroził mu pięścią emerytowanego metalowca.

– Koniec z wódą, szczeniaku! Musisz myśleć o dziewczusce!

Obaj nie byli wysocy, ale tata był masywny i umięśniony. Teraz wydawał się mały, jak w dzieciństwie, kiedy wielokrotnie obrywał od ojca. Ten stary człowiek nie miał nad nim władzy, ale jego słowa piekły jak pasek na gołych plecach.

– Tak, tak – powiedział, patrząc w dal przez okno babcinej bawialni.

Tego samego dnia u Anny-Karin, która mieszkała ze swoją mamą w bloku naprzeciwko, było przyjęcie. Nie przyniosłam jej żadnego prezentu i wyszłam pierwsza. Chciałam mieć kontrolę nad tatą, bo przyjechaliśmy do domu z dwiema dużymi butelkami Brännvin Special. Nie usłyszał dzwonka do drzwi, a ja nie miałam kluczy. Pomyślałam, że jest nieprzytomny albo że stało się coś gorszego, i płacząc, zbiegłam po zboczu do babci i dziadka.

Kiedy tata po mnie przyszedł, dziadek był tak zdruzgotany, że nie chciał go więcej widzieć.

– Nikt cię nie lubi, kiedy tak się zachowujesz, nie rozumiesz?!

Babcia stała w kuchennych drzwiach i płakała.

Nie pamiętam, czy to była jesień, czy wiosna, pamiętam, że w milczeniu patrzymy na koślawe buty taty, które torują sobie drogę w górę zbocza. Jego dzieliło od domu sto trzydzieści kroków, mnie sto siedemdziesiąt dziewięć. On stawia stopy ukośnie i udaje mu się utrzymać równowagę.

– Bolą cię nogi?

– Wszystko mnie boli.

Tak mu było spieszno do spizarki, że nawet się nie rozebrał.

Metaliczny odgłos odkręcania nakrętki przeszył wszystko, co było nasze, jak prąd elektryczny.

Tata rozsypał się na moich oczach.

Nie byłam już tym dzieckiem, które czekało na tatę w przedszkolu, a w domu nie odstępowało go na krok i zasypiało na jego ramieniu, ściskając go za kciuk prawej ręki. Nie zalegałam na kanapie, w lustrze w przedpokoju widziałam spojrzenie dorastającej nastolatki, która durzy się w Joakimie Thåströmie⁹⁸ i chciałaby, ale nie ma odwagi, ubierać się jak Nina Hagen.

Nie wiem, co tata wiedział o moim dojrzewaniu i czy miało to dla niego jakieś znaczenie, że już go nie potrzebuję tak jak dawniej. Na pewno czuł zapach wody perfumowanej Date Woman, widział moje obolałe piersi uwydatniające się pod bluzką college i czółenka na półce z butami. Nie wiem, czy obawiał się trudnego okresu nastoletniości, czy ubolewał, że nie jestem już jego małą dziewczuszką. Przestaliśmy rozmawiać o mnie. On mówił o sobie.

Mówił, jaki jest we wszystkim dobry. Że jest najlepszym hartownikiem w Szwecji, że wygląda na dużo młodszego, niż jest, że ma eleganckie mieszkanie, że w młodości był fenomenalnym piłkarzem, że ma najpiękniejszy charakter pisma w całym Västerås.

Sprawił, że czułam do niego nienawiść. Na przykład kiedy czekając na Sonię, czesał włosy na wodę. Albo kiedy wycierał kurz z półki z tandetnymi ozdobami i poprawiał narzutę na łóżku. A jak szedł zygzakiem do spiżarki, żeby wypić parę łyków, okropnie się przy tym wykrzywiał – pomyśleć, że akurat on nigdy nie polubił smaku alkoholu – miałam ochotę trzasnąć go drzwiczkami w potylicę. Wyobrażałam sobie, że od siły uderzenia pęka na nich farba i jej płaty, wirując, spadają na podłogę. Nie mogłam znieść jego narzekania na biedę, na durnych bliźnich, na sztywność pleców i dłoni i jednoczesnego natrzęsania się z tych, którzy próbowali polepszyć jego sytuację. I tego, że w dniu wypłaty stroił się w garnitur à la Kojak, a potem z uczuciem triumfu udawał się do sklepu po ten żaloszny prästost, przeświadczony, że jest twardzielem z klasą. Wstydziałam się, że wykorzystuje babcię i dziadka, ani razu nie mówiąc „dziękuję”. Czułam wstręt, słysząc, jak spuszcza wodę w toalecie, i obrzydzenie na widok jego sflaczałej moszny wychodzącej ze slipów, których gumki dawno się rozciągnęły.

Mój tata nie był ani misiem Baloo, ani tym bardziej kapitanem

Efraimem Pończochą.

Nie był już godnym miłości ekscentrykiem. Był słaby.

W niektóre poranki miałam nadzieję, że tego dnia otrzymam wiadomość o jego śmierci. Wyobrażałam sobie, że dyrektor puka do sali lekcyjnej, poważnie i empatycznie rozmawia z moim nauczycielem, a potem ze mną. Znoszę tę wiadomość z godnością, zyskując powszechną uwagę i współczucie.

Byłoby najlepiej, gdyby tata umarł. Wmawiałam sobie, że nie tyle dla mnie, ile dla niego.

Widziałam siebie, babcię i dziadka przy jego trumnie. Zastanawiałam się, czy mama też będzie.

Zacząłam chodzić z mamą na zebrania partyjne. Piętro Bokcafét⁹⁹ na Stora gatan wzięli w posiadanie Młodzi Komuniści¹⁰⁰. Praca partyjna okazała się wspólnym sensotwórczym projektem, mimo że dość szybko uznałam, że jestem dużo bardziej radykalna niż mama.

Jako nastolatka nie musiałam rozmyślać o sensie życia ani o tym, kim jestem. Socjalizm nauczył mnie twardo stąpać po ziemi.

Tata mówił, że uprawiam politykę wiecową, i prychał pogardliwie, kiedy mu tłumaczyłam, że walczę o to, żeby on mógł się uwolnić od zegarów kontrolnych i bólu pleców.

– Jeśli idea społeczeństwa bezklasowego, o którym mówisz, ma się ziścić, potrzebna jest dobra organizacja i walka. Nie rozumiesz tego?

Nie rozumiał. Wszyscy wiedzą, że plakatami i sztandarami nikt się nie naje ani nie zapłaci za mieszkanie. Po co to komu? Co ludzie sobie pomyślą? Muszę skończyć z tą błazenadą.

Nie chciałam zwalczać niesprawiedliwości, trzymając dłoń zaciśniętą w pięść w kieszeni spodni, chciałam coś robić. Wiedziałam, że nic samo się nie zmieni.

Po szkole szłam do mamy, która przeprowadziła się na Klockartorpet, małe osiedle położone między Skiljebo a Viksäng. Tam słuchałam Hoola Bandoola Band, Jösses flickor¹⁰¹ i Tältprojektet¹⁰². Chłonełam teksty piosenek, które niosły obietnicę innego, lepszego świata, jeśli tylko będziemy walczyć razem. „Jestem człowiekiem w świecie ludzi – śpiewał Mikael Wiehe. – Ci, którzy wypierają się odpowiedzialności za świat, wypierają się tych, którzy są tacy jak oni”.

Ogień zapłonął¹⁰³. Postanowiłam zmienić nazwisko.

– „Andezson” – mówił tata, odbierając telefon.

Na drzwiach widniało nazwisko Andersson.

– Nie ma w nim nic szczególnego, ale to porządne nazwisko, świadczące o pracowitości. I szwedzkie.

Nie miałam nic przeciwko Anderssonom, ale chciałam kontynuować tradycję Funkisgatan i zaczęłam używać nazwiska Linderborg. Tata dowiedział się o tym dopiero wtedy, kiedy

przyniosłam mu stosowne oświadczenie, które miał podpisać. Milczał przez cały wieczór, nie odrywając swojego grubego kciuka od nazwiska w lewym górnym rogu. Czasami go podnosił, żeby zobaczyć, jak się nazywam, w nadziei, że za pierwszym, drugim i dziesiątym razem źle przeczytał. Programy telewizyjne zmieniały się jeden za drugim.

W końcu nie wytrzymałam.

– Podpisuj!

Chwytał długopis. Nic nie zostało z jego pięknego charakteru pisma. Było koślawe.

Tatusina dziewczuszka stała się córką Tani. Åsą Linderborg. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

Ostatni raz widziałam babcię któregoś popołudnia po szkole. Dziadek wypłynął na jezioro, Majken właśnie pomogła jej się wykąpać. Podeszła do mnie. Naga, z ręcznikiem kąpielowym na ramionach. Duże stare ciało po siedmiu ciążach. Mimo wstydu i obrzydzenia nie mogłam oderwać od niej wzroku. Miała długie siwe i rzadkie włosy łonowe.

Nie czuła żadnego skrępowania.

– Ojej, a kogóż to ja widzę, to ty, Åsa? – zapytała, jak zwykle ucieszona moim widokiem.

Weszłam do kuchni i uświadomiłam sobie, że nic o niej nie wiem. Nic o jej rodzicach, o tym, co robiła, zanim poznała dziadka i zaszła z nim w ciążę. Zawsze były tylko opowieści dziadka. Miała mnóstwo doświadczeń, o które nikt jej nie pytał, a teraz wydawało się na to za późno. Poprosiłam, żeby powiedziała mi coś o swoim dzieciństwie. Jej zdaniem nie było w nim nic szczególnego, no, może z wyjątkiem jednego wydarzenia. Kiedy sprzątały z mamą dom po zmarłym, pogrzebacze same ułożyły się na krzyż pośrodku izby. Odwiesiły je, ale kiedy tam poszły następnego dnia, pogrzebacze znów leżały na krzyż.

– Bogu pewnie o coś chodziło, ale o co, licho wie.

– To ty wierzysz w Boga?

Musiałam się przesłyszeć. Przecież dziadek mówił, że na czubku ich choinki jest iglica jako wyraźne „nie” dla Gwiazdy Betlejemskiej.

– To nie wszyscy wierzą? – zapytała równie zdziwiona jak ja.

Dni po jej pogrzebie tata spędził w fotelu, pławiąc się we współczuciu wobec samego siebie. Jego bracia i siostry byli wkurzeni, bo spadek okazał się mniejszy, niż przypuszczali.

Jarl wypalił, że to przez tatę.

– Ja nigdy o nic nie prosiłem. Prawie wcale nie przychodziłem do ojca i matki. Niby kiedy miałbym pożyczać jakieś pieniądze? – powiedział, szukając u mnie wsparcia.

Odziedzyczyłam parę złotych kolczyków i angielską zastawę stołową, którą babcia i dziadek kupili na swoje złote wesele. Upuściłam ją na zboczu i zostały po niej tylko odłamki. Takie same talerze wylądowały na parkiecie na Björkgatan pewnej kłótlivej

Wigilii.

Po śmierci babci tata sprzedał „Åsę” Rolfowi, który od lat suszył mu o to głowę.

– Po co ci łódź, Leffe? Jak mi ją sprzedasz, będziesz mógł ją pożyczać, kiedy zechcesz!

– A tobie po co? Nie wiesz, jak powinno się o nią dbać!

I tak było na wszystkich spotkaniach w większym gronie.

Po paru głębszych brat znowu zaczynał się naprzykrzać, dopóki ktoś nie wrzasnął:

– Zamknij się, Rolf! Leffe i dziewczuszka potrzebują tej łodzi, nie rozumiesz tego?!

Na osobności dziadek wygrażał tacie pięścią.

– Ani mi się waży sprzedawać! Słyszysz?

– Do jasnej cholery, ojciec, chyba skumałeś, że w życiu jej nie sprzedam!

Nie wiem, jak to się stało, że tamtego lata dał się przekonać. Może to było tak jak wtedy, kiedy prehandlował mój rower, bo nie miał grosza przy duszy. Chodziły słuchy, że sprzedał „Åsę” zdecydowanie za tanio. Ja kilka tygodni spędziłam u mamy i o niczym nie wiedziałam. Później określną drogą dotarło do mnie, że tata za pieniądze ze sprzedaży łodzi tak się upił, że dostał ataku epilepsji i trafił do szpitala z przygryzionym językiem.

Przez Majken przekazał mi wiadomość, że chciałby mnie zobaczyć. Szpital był kilka minut drogi pieszo od domu mamy. Poszłam tam, ale przed wejściem zawróciłam. Nie chciałam widzieć go upokorzonego, w szpitalnym szlafroku, w jednej sali z innymi, na regulowanym łóżku, w czystej pościeli, własności wojewódzkiego samorządu terytorialnego, pod opieką miłego, acz stanowczego personelu, który poważnie rozmawia z nim o jego destrukcyjnym picciu. Na głodzie nikotynowym i alkoholowym. Wyniszczonego, z ganiącym go bratem albo siostrą na krześle dla odwiedzających.

– Dlaczego nie przyszłaś? – zapytał mnie później w kuchni.

Opuścił szpital bez wypisu, nieuznany za zdrowego. Po prostu uciekł, bo nie chciał się poddać programowi leczenia.

– Przyszłam, ale nie miałam pojęcia, na którym oddziale leżysz. Szukałam co najmniej przez godzinę i nie znalazłam nikogo, kto mógłby mi pomóc.

Wiedział, że kłamię.

Tata nie umiał kłamać. Przypadki, kiedy nie mówił mi prawdy, były nieliczne. Ja kłamałam regularnie za nas dwoje, żeby chronić to, co było tylko nasze. Ale wobec taty zazwyczaj byłam szczerą.

Poprosiłam, żeby pokazał język. Z grymasem wysunął coś groteskowego o falbankowatych brzegach.

– No to patrz! – powiedział, wbijając we mnie wzrok.

Przy zlewie stało żalosne monstrum, które obnażyło swoją deformację. Mój tata. Sprzedaż łodzi była równoznaczna ze spaleniem za sobą wszystkich mostów.

Poszłam do siebie, zamknęłam drzwi, po chwili wróciłam do kuchni i zapytałam, czy się nie rozmyślił, czy nie brakuje mu „Åsy”.

– Nie, nic a nic. Było z nią piekielnie dużo roboty.

Wyjrzał przez okno. Lekko potarł kciukiem palec wskazujący, jak podczas porannych wymiotów.

– Nie. Ni cholery.

Zapytałam, gdzie jest stereo.

– Sprzedałem kumpłowi z pracy.

– Dlaczego? A gdzie się podziały pieniądze za łódź?

– Przecież kupiłem mnóstwo rzeczy!

– Na przykład jakich?

– Na przykład takich!

Z irytacją wskazał na dwa kryształowe kinkiety.

Żeby odzyskać przepuszczone pieniądze za łódź, które miały go wybawić z kłopotów, zaczął się desperacko pozbywać części wyposażenia mieszkania.

W lecie, rok później, Rolf odsprzedał łódź. Jeszcze przez ładnych parę lat tata objeżdżał na rowerze przystanie żeglarskie w Våsterås i wypatrywał „Åsy”. Chciał zobaczyć, kto jest jej nowym właścicielem, i upewnić się, czy jest zadbana. Nie wiem, czy mu się to udało.

Mijała noc za nocą, noce układały się w tygodnie, a ja ani razu nie byłam u taty. Mama odeszła od niego z wielkim hukiem, ja wymknęłam się chyłkiem.

Miałam czternaście lat, kiedy ostatni raz spałam na Rönnergatan. Świetnie się bawiliśmy, wygłupialiśmy i nabijaliśmy z tego, co widzieliśmy w telewizji, tak jak przez wszystkie nasze wspólne lata, które jednak wydawały się bardzo odległe. Tata nie zapytał, czy według mnie Sonia jest w domu, i nie wypatrywał jej przez okno. Pomyślałam, że przebywanie u taty wcale nie jest uciążliwe i że powinnam przychodzić do niego częściej. Może nie tak jak przedtem, ale dużo częściej.

Rano, kiedy się obudziłam, już pojechał do pracy. Zjadłam kromkę chleba od Lundiusa i wypłam szklanekę wody. Cała moja garderoba była na Klockartorpet, więc włożyłam to, co miałam na sobie poprzedniego dnia: figi tanga, lewisy 501, jasnoniebieski sweterek w paski, stare polskie czółenka babci. Zrobiłam kreski eyelinerem, tak jak się tego nauczyłam od Soni, i podkreśliłam usta ciemnoczerwoną pomadką. Tylko ja miałam taki makijaż i bardzo tego pilnowałam. Moja pewność siebie była w jasnozielonych słoiczkach z napisem Pierre Robert. Zeszłam po skałce i już byłam w szkole na Viksäng. Chodziłam do ósmej klasy.

Parę godzin później do mieszkania wszedł właściciel w towarzystwie policji i opieki społecznej. Tata nie płacił czynszu od ośmiu miesięcy i miał zostać eksmitowany.

Wiedział, że przyjdą, i słowem o tym nie wspomniał. Chichotał rozparty w fotelu, z piwem i papierosem, jakby nic się nie stało. Nie mam pojęcia, co myślał, kiedy kładł się spać. Czasami sprawiał takie wrażenie, jakby zostawiał swoje nerwy w piecach hartowniczych.

Rozglądając się po mieszkaniu, zauważyli, że ktoś spał w moim łóżku. Na pościeli, którą założyłam, widniały plamy krwi. Dziadek zapłacił zaległy czynsz i pozwolili tacie zostać. Kobieta z opieki społecznej powiedziała potem mamie, że nie chcieli wyrzucać na bruk rodziny, w której jest dziecko. Ona też była członkinią partii. Zamierzali pozbawić ojca praw rodzicielskich. Mama powiedziała, że tacie się nie pomoże, odbierając mu jedyne, co ma, a poza tym

praktycznie byłam już w bezpiecznych rękach.

Wieczorem mama i ja siedziałyśmy na moim łóżku na Klockartorpet. Kajsia siedziała obok. Ona nigdy nie była w mieszkaniu taty. Pokazałam mamie wiśniowy portfel, który kupiłam tego popołudnia razem z Helene. Miał mnóstwo przegródek i kosztował dwadzieścia pięć koron. Wahałam się między tym, czarnym i miętowozielonym.

Mama powiedziała z westchnieniem, że muszę pamiętać o tym, żeby nie szastać pieniędzmi.

- Czasami jesteś bardzo podobna do taty.
- Wiem.

Kiedy po lekcjach szłam na Klockartorpet, patrzyłam w okno pokoju dziennego taty – jego okienko 24 w kalendarzu adwentowym – i dziwiłam się, że ciągle tam mieszka, że w ogóle istnieje. Widziałam kryształowe lampki świecące w zimowych ciemnościach, paliły się przez cały dzień. No tak, był na zwolnieniu lekarskim.

Co on tam robił zupełnie sam?

Lampki paliły się dla bab z sąsiedztwa i dla mnie. Wiedział, że codziennie tędy przechodzę. Chodź do domu, mówiły. Jestem tutaj, Jaskierko! Pamiętasz mnie?

Kilka razy musiałam po coś wejść na górę – po książki, płyty, łyżwy. Otwierałam drzwi i odczuwałam ulgę, kiedy spał w fotelu. Wślizgiwałam się, brałam to, czego potrzebowałam, i wychodziłam. Miałam nadzieję, że nie budził się na dźwięk zamykanych drzwi. Po wypłacie pensji albo zasiłku chorobowego zamykał na klucz drzwi wewnętrzne i wtedy nie mogłam wejść. Bał się, że ktoś go okradnie, portfel wypchany grubym plikiem banknotów chował w dużej książce na regale.

Któregoś popołudnia, kiedy włożyłam klucz do zamka, wyszedł z kuchni.

- Cześć.
- Minęło trochę czasu.
- Mam mnóstwo zajęć w budzie.
- Tak, tak.

Był trzeźwy i na zwolnieniu lekarskim. Zanim usiadłam na prawie nowej pluszowej kanapie, obeszłam mieszkanie.

Tata usiadł w fotelu. Zapalił papierosa.

– A co poza tym?

– Okej. Dzisiaj dostałam wyniki sprawdzianu z fizyki, zrobiłam tylko dwa błędy. Jesteś na chorobowym?

– To nerwy.

Włączyłam telewizor. Leciał serial *Alias Smith and Jones*. Zaczęliśmy rozmawiać i było wesoło. Tata chichotał, ja śmiałam się na cały głos. Pomyślałam, że powinnam częściej tu przychodzić, kiedy nagle zorientowałam się, że siedzę na gumie do żucia Hubba Bubba. Zaczęłam ją dyskretnie zdrapywać i zdrapałam razem z kawałkiem okrywy, paplając przy tym jak nakrecona o wszystkim i o niczym. Przykryłam placek osnowy dekoracyjną poduszką, powiedziałam „no to cześć” i poszłam do mamy. Zniszczona kanapa stała się marną wymówką, żeby przez dłuższy czas nie zaglądać do taty.

W nocy męczyły mnie koszmary. Śniło mi się, że sprzątam na Rönnergatan, bo ma przyjść mama. Słyszac dzwonek, denerwujemy się, ale za drzwiami stoi nie ona, tylko ktoś inny. Czujemy zawód i ulgę jednocześnie. Kiedy wracamy do kuchni, żeby dalej sprzątać, na parapecie za oknem siedzi wiewiórka. Wali w szybę i krzyczy, że musi wejść. Tata jest zadowolony, a ja się boję.

Mniej więcej w tym czasie mój mózg wykreował coś w rodzaju obrazów w tle, które wciąż przetaczają się przez moją głowę w załomkach aktywnego myślenia. Kilka razy dziennie i zawsze przed snem: poranne ciemności na Rönnergatan – bagażnik – zbrocze w dół do przedszkola i Zakładów Metalurgicznych – buty na wycieracze w przedsionku – hej, staraniuniu, fajnie cię widzieć – sandacz u babci i dziadka – Stjärnhallen – Pripps Blå – „Aftonbladet” – *Sveriges Magasin* – łóżko – Lena – kciuk taty.

Zaczęłam mówić do Lassego „tata”. Tego drugiego zostawiłam sam na sam z jego demonami, o których nie chciałam nic wiedzieć.

Któregoś wieczoru tata zadzwonił do drzwi na Klockartorpet. Jego dziwny czarny płaszcz ociekał deszczem. Byłam niemile zaskoczona, widząc go za progiem, szybko się jednak ogarnęłam i próbowałam żartować, jakbyśmy byli kumplami z woja. Ale on nie miał nastroju do żartów. Nie mógł wejść do swojego mieszkania, bo zatrzasnął drzwi, i przyszedł pożyczyć mój klucz. Nigdy nie poprosiłam go o zwrot.

Wcześniej wpadliśmy na siebie przypadkiem, kiedy w potoku robotników Asei wracał rowerem do domu. Nie miałam gdzie się schować. Ilekroć Helene i ja widziałyśmy go w mieście, przechodziłyśmy na drugą stronę ulicy. Mama robiła tak od lat.

– Tak dłużej być nie może – powiedział. – Musisz się kiedyś pokazać w domu.

– Wiem. Przyjdę w czwartek.

Błagał o kontakt, którego nie chciałam z nim mieć. Źle mu było beze mnie i teraz to powiedział.

Kiedy pracował późnym wieczorem, czekając, aż stał osiągnie docelową temperaturę, dzwonił do mnie i długo rozmawialiśmy o rzeczach nieistotnych. O rosyjskich okrętach podwodnych, Ronaldzie Reaganie, Ovem Rainerze¹⁰⁴. O sobie ani słowa.

W drodze do szkoły i ze szkoły codziennie mijałam Rönnergagatan, nigdy jednak nie weszłam pod górkę i nie zapukałam do taty. Ani tamtego czwartku, ani następnego.

Któregoś dnia latem gdzieś mu się zapodział portfel i musiał wyrobić nową legitymację. Czy mogłabym mu pomóc?

Po raz pierwszy przestąpił próg domu mamy i Lassego. Byłam sama, zaprosiłam go do środka i zaproponowałam, żeby rozejrzył się po mieszkaniu. Nie wszedł do sypialni, zauważył tylko, że stoi tam łóżko z płyt wiórowych kupione w Obs! Interiör¹⁰⁵, bez szczytu i narzuty. Zatrzymał się przed regałami Ivar z Ikei, gdzie *Turbot* Güntera Grassa i *Asian drama* Gunnara Myrdala tłoczyły się z dziełami zebranymi Lenina, których nikt nie miał siły przeczytać.

– Tak to ma wyglądać? – zapytał z lekkim sarkazmem w głosie, wskazując głową na wypchane po brzegi gazetniki.

Już miał przesunąć palcem po surowym drewnie, ale się zmytygował i włożył rękę do kieszeni.

Odwrócił się.

– Kanapa w kratkę! Oczywiście z Ikei?

Ikea była dla niesamodzielnych. Dla ludzi bez własnego gustu.

– W oknie nie ma zasłon! Czy to jakaś demonstracja polityczna twojej mamy?

W kuchni wzdrygnął się na widok pomarańczowych szafek. W oknie na wałkach wisiały szydełkowe łapki do garnków, coś w rodzaju zasłonki babcinej roboty. Tata uśmieł się do łez.

– Co za koszmar!

Tutaj mieszkała kobieta, z którą kiedyś był żonaty i za którą nigdy nie przestał tęsknić. I oto jaka w istocie była: meble z Ikei, chodniki szmaciaki, łóżko bez narzuty.

Nie znałeś jej, prawda? – chciałam spytać.

Zaproponowałam mu kanapkę.

– Czemu nie.

Był tylko chleb chrupki, którego zjedzenie zajęło mu trochę czasu, bo miał zepsute zęby trzonowe. Łatwiej mu poszło z serem grewé. Ukroiłam kilka plasterków więcej. Wkładał je do ust, żuł na papkę, kolistymi ruchami języka przyciskał do podniebienia i połykał, popijając lekkim piwem. Rozmawialiśmy trochę o dziadku. Nie zapytałam o pracę, żeby nie wprawić go w zakłopotanie, gdyby się okazało, że znowu jest na zwolnieniu lekarskim.

W moim pokoju nieco się rozluźnił i bez pośpiechu przeglądał książki na regale. Czy mógłby pożyczyć *Död mans hand* Folkego Fridella?¹⁰⁶ Pożyczyłam niechętnie. Dbałam o swoje książki, a nie byłam pewna, czy mi zwróci. Spytał, czy nie mam czegoś śmiesznego. Dałam mu pamiętniki Groucho Marxa w wydaniu pocketowym. Wziął z wdzięcznością.

Na ścianach były wycinki z gazet o zespołach Ebba Grön i Sex Pistols. Zapytał, jak ja mogę lubić takich gangsterów. Puściłam mu *Staten och kapitalet*¹⁰⁷. Powiedział, że nic nie rozumie, bo okropnie się wydzierają. Poprosiłam, żeby posłuchał *Beväpna er*¹⁰⁸, ale zanim postawiłam igłę na płycie, na wszelki wypadek streściłam mu,

o czym to jest. Rechotał, wyraźnie zaciekawiony, kiedy Thåström wykrzykiwał swoją nienawiść do Zarah Leander, księcia Bertila i Karola Gustawa, do całej rodziny królewskiej, do całej burżuazji, i śpiewał, że wszyscy powinniśmy się zbroić. Ta piosenka była zabawna. Naprawdę cholernie zabawna. Zachecona, nastawiłam *Vad ska du bli?*¹⁰⁹.

„Wstawaj, idź do roboty, praca, praca, potem lunch, to samo będzie jutro, praca, tramwaj do domu, usiąść i gapić się. To nie jest życie, to niewolnictwo”.

Myślałam, że te słowa do niego trafią, tymczasem z wściekłością wypalił, że tacy smarkacze, którzy nigdy nie pracowali, nie mają o niczym pojęcia i powinni się przymknąć.

– Widzi mi się, że oni wszyscy razem wzięci to ćpuny.

Tata złapał gumę. Wzięłam zapasowy klucz do roweru Lassego i wyszliśmy. W środku lata wiał chłodny wiatr. Przyniosłam sweter, który mama zrobiła na drutach.

– To Tania zna się na robótkach ręcznych? – spytał zdziwiony.

Przypomniały mi się dwie książki o ściegu krzyżykowym, które leżały w szufladzie w starym regale w moim pokoju. Oczarowana i zdziwiona, podziwiałam piękne wzory kwiatów jabłoni, bratków polnych, miedzianych rondli i różnych alfabetów i zastanawiałam się, czyje to książki. Na pewno nie mamy, bo to do niej niepodobne. Pachniały wykrochmalonym fartuszkim, niedzielną pieczenią i „Hemmets Veckotidning”¹¹⁰. To nie mama. Mama to sztruksowa budrysówka, chili con carne i „Pockettidningen R”¹¹¹. Może to były książki babci Bojan?

Aż tyle czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że mama zmuszała się do bycia kimś innym, kiedy dzieliła życie z tatą.

Czy tata też był wtedy kimś innym, czy jego osobowość była absolutnie niezmienna? W tym dramacie mama zawsze grała główną rolę z tatą i ze mną, mimo że w jej mniemaniu dawno z niej wyszła.

Przypomniało mi się, że tata miał kiedyś ładne ciemnoniebieskie wełniane palto i rosyjską futrzaną czapkę, co dziadek Juliusz uwiecznił na superósemce. Razem z mamą zniknęły również

ubrania. Pamiętam, że tata był w tym palcie i czapce tego ranka, kiedy wróciłam do przedszkola po kilkudniowej nieobecności. Przedszkolanka podchodzi do mnie, przykuca i obejmuje, potem się podnosi, odwraca do taty i mówi, że słyszała, co się stało, i tata zaczyna płakać. Teraz chciałam go zapytać, gdzie się podziało to palto, ale zrezygnowałam, bo pewnie by odpowiedział, że nie wie, o co mi chodzi. Jakie palto? Co ty wygadujesz? Nigdy nie było żadnego palta.

Pojechaliśmy rowerem do atelier Eggeborna, żeby zrobić zdjęcie do nowej legitymacji taty, za które zapłaciłam. Potem podziwialiśmy bogactwo kwiatów na Stora Torget, zaglądaliśmy do beczek z västeråsgurka. Odkąd byliśmy tam ostatnio, minęły lata, powinniśmy mieć sobie dużo ważnych rzeczy do powiedzenia, tymczasem rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym, jakby te lata nie istniały. Rozmawialiśmy nieporadnie, ale naturalnie. Po przywołaniu z pamięci książek o ściegu krzyżykowym nabrałam ochoty na haftowanie i poprosiłam tatę, żeby poszedł ze mną do działu pasmanteryjnego w Domusie. Pomógł mi wybrać wzór i włóczkę na serwetkę i nieśmiało zapytał, czy mógłby ją ode mnie dostać, kiedy będzie gotowa.

Na Klockartorpet w milczącym porozumieniu odłożyliśmy na miejsce sweter Lassego i klucz do roweru. Ich wypożyczenie i wycieczka stały się kolejną z tysięcy naszych wspólnych tajemnic. To był dobry dzień.

– Do zobaczenia wkrótce – powiedziałam.

– Byłoby miło.

Nic jednak z tego nie wyszło. Ilekroć miałam zamiar pójść na Rönnergagatan, zawsze się rozmyślałam i robiłam co innego. Obawiałam się, że otworzy mi drzwi rozespany, ze śladami snu na policzku, że wiadomości telewizyjne będą nastawione na cały regulator, zagłuszając zmysły, że wężykiem pójdzie do kuchni i będzie złorzeczył pod nosem, że przychodzę akurat dzisiaj, kiedy on nie czuje się najlepiej.

Nie zniosłabym rozczarowania.

Tygodnie zamieniły się w miesiące. Na jego urodziny włożyłam

mu książkę do otworu na listy i uciekłam, zanim zdążył otworzyć drzwi i mnie zawołać.

Zobaczyliśmy się dopiero po paru latach.

– To jasne, że Palmego sprzątnęli pieprzeni gliniarze – powiedział tata. – Jak się dobrze zastanowić, aż dziw bierze, że nie zrobili tego lata temu. Chyba że załatwili go jankesi. Ci popaprańcy też wchodzą w grę.

– Mogli współpracować.

– Tak, tak, oczywiście.

Jak zwykle stał oparty o blat kuchenny. Palił papierosa i uderzał się lekko po barkach. Powiedział, że go bołą.

Wszystko wyglądało jak zwykle, z wyjątkiem mojej szkolnej fotografii, która wisiała teraz nad telewizorem. Została zrobiona w tym samym roku, w którym się od niego wyprowadziłam. Byłam na niej tak podobna do mamy, że bardziej chyba nie można. Nie wiem, czy tata to zauważył, czy w ogóle jeszcze myślał o mamie.

Do pójścia na Rönnergatan skłoniło mnie zabójstwo Olofa Palmego. Tata ogromnie go podziwiał, a to, że nigdy nie głosował na socjaldemokratów, nie miało z Palmem nic wspólnego. Kiedy byłam mała, opowiadał mi o nim, że zna biegle dziesięć języków i że jako dziewiętnastolatek w zaledwie kilka miesięcy zrobił studia prawnicze – wyczyn nie do pobicia. Gdyby wszyscy przywódcy byli tacy jak Palme, mówił tata, wojny i ubóstwo na świecie mogłyby się skończyć już w pierwszej połowie meczu. W głębi duszy Palme jest komunistą.

Dziadek Juliusz opowiadał mi o nim coś wręcz przeciwnego. Palme był mózgiem stojącym za IB¹¹², które ścigało każdego komunistę, socjalistę, antyimperialistę i pacyfistę i wszystkich odnotowywało w przepastnych rejestrach służby bezpieczeństwa. W głębi duszy, mówił dziadek, Palme to agent CIA, pomagier Nixona.

Teraz Palmego zastrzelili i nie było mi szczególnie przykro. Próbowałam rozstrzygnąć, kim on był, żeby wiedzieć, kogo opłakiwać, ale w głowie miałam tylko mętlik, więc dałam się ponieść uczuciu, że wydarzyło się coś ekscytującego.

Poszłam do taty z Joakimem. Po raz pierwszy przyprowadziłam chłopaka, w którym się zakochałam. Potem tata poznał jeszcze kilku. Był miły, ale nigdy nie okazywał im większego

zainteresowania. Nie pamiętał, jak się nazywają, nie pytał, skąd pochodzą. Chciał wiedzieć tylko jedno: gdzie pracują. To mu wystarczyło.

Zapytałam, co u dziadka. Rzadko odwiedzałam go w domu starców Södergården na Viksäng, gdzie teraz mieszkał. Kiedy byłam u niego ostatnio, znowu opłacił tacie czynsz. Tata wybrał się z przyjaciółmi do restauracji i zadowolony, że ma towarzystwo, ubzdurał sobie, że im postawi. Ten wypadek kosztował dziadka cztery tysiące koron. Dziadek był zawiedziony, powiedział, że nie pokłada już żadnych nadziei w swoim najmłodszym synu. Słuchałam tego z przykrością. Gdybym tam nie poszła, oszczędziłabym sobie tej informacji.

– U ojca nie najgorzej, ale zaczyna tracić siły. I wygaduje takie głupoty, że nie wiadomo, gdzie oczy podziać. Twierdzi, że polował na niedźwiedzie z Oskarem II. Co ty pleciesz? – mówię. Polowałeś na niedźwiedzie z Oskarem II? A on na to: Jasne, że tak!

Tata pokazał mi mosiężną zapalniczkę wielkości rolki papieru toaletowego i świecznik należący do kompletu, które dostał od Zakładów Metalurgicznych za wymyślenie czegoś, co mogli opatentować. Poza tym przyznali mu nagrodę w wysokości trzech tysięcy koron. Zresztą nie po raz pierwszy. O swoim wynalazku mówił z mieszanymi uczuciami. Z jednej strony był dumny, z drugiej wściekły, że dali mu śmieszne pieniądze za innowację, na której zbili kupę kasy. Czuł się jak parobek.

Uściskaliśmy się na pożegnanie.

– Do rychłego zobaczenia!

– Tak, tak, do rychłego.

Zanim zamknęliśmy za sobą drzwi, zapytał mnie o Sonię.

– Widziałaś, czy się świeci u Soni?

– U jakiej Soni?

– Tej piętro niżej, widziałaś, czy jest w domu?

– A... u Anity! Nie, nie wiem, nie pomyślałam o tym. Ciągle tu mieszka? Mam sprawdzić?

Zbiegłam na podwórko, żeby zobaczyć, czy pali się u niej światło, i kiedy wróciłam, postanowiłam go zapytać o jej prawdziwe imię,

mimo że przez kilka lat siadywała u nas na kanapie. Sonia czy Anita? Popatrzył na mnie obojętnie.

– Jak jej na imię? A skąd, u diabła, miałbym to wiedzieć?

Wracaliśmy do domu, na Hage¹¹³. Joakim był trochę podobny do dziadka. Szczupły i żylasty, chodził stępem, a kiedy mówił, najpierw lekko się zacinał, ale w miarę przedstawiania ideowych pryncypiów stopniowo się rozkręcał i gestykulował w rytm wypowiedzianych słów. Rozpoczął szkolenie wojskowe, ale po informacji służby bezpieczeństwa, że jest czerwony, został usunięty.

Nazywał mnie „Fina”. Lubiliśmy się.

Zapytałam go, jakie wrażenie zrobił na nim tata. Joakim był dumny, że pochodzi z rodziny robotniczej, bo klasa robotnicza jest po stronie prawdy, moralności i uczciwości. Z tym swoim pochodzeniem chciał uchodzić za trochę wyjątkowego. Dotychczas był tylko na Klockartorpet. Uświadomił mi, że dorastałam w warunkach typowych dla klasy średniej: „Dagens Nyheter”, partnerstwo w domu, stojak na wino, teatr, Beethoven, słownik Akademii Szwedzkiej, sos gorgonzolowy. Teraz wreszcie poznał tatę i ciekawiło mnie, co o nim myśli.

Był w rozterce.

Tata ani trochę nie wyglądał jak ci robotnicy, których znał. Opary alkoholu, tatuaże i gruby łańcuch z lekkiego metalu na szyi nie należały do atrybutów członka LO, Szwedzkiej Federacji Związków Zawodowych. Nie chcąc sprawić mi przykrości, szukał odpowiednich słów w swoim miękkim dialekcie z Dalarny na opisanie przedstawiciela lumpenproletariatu, o którym mówił Marks, motłochu, który z nadejściem rewolucji najmie się na parobka burżuazji. Tego nie powiedział, ale wykluczył tatę z walki wymagającej mężczyzn ze stali.

Później Joakim zatrudnił się w Mimerfabriken jako lakiernik natryskowy. Ci, którzy długo tam pracowali, cierpieli na rozmaite choroby, między innymi na zaburzenia pamięci, i nie zawsze wiedzieli, czy żeby dojechać do domu, powinni dołączyć do potoku robotników kierujących się w prawo, czy w lewo. Ich zdaniem to, co

Joakim mówił o demokracji w miejscu pracy i o środowisku pracy, owszem, było ważne, ale trochę kłopotliwe. Argumentowali, że stawianie się nic nie da, i Joakim był skłonny przyznać im rację.

Wracał wieczorem do domu i tłumaczył mi, że nie można dzielić robotników na ładnych i brzydkich. Klasa robotnicza to kolektyw złożony z milionów jednostek, z których każda wymyka się wszelkim szablonom. Nikt nie był taki jak Leif, ale chciałby, żeby takich było więcej.

Po trzech uciążliwych latach w Rudbeckianska gymnasiet¹¹⁴ zdałam maturę. Prestiżowa szkoła mieściła się między katedrą a Kyrkbacken¹¹⁵, kilka kroków od Stora Torget i Bakfickan. Dla taty to był inny świat.

W dzieciństwie naprzykrzałam mu się, żebyśmy poszli na Kyrkbacken. Raz byłam tam na przedszkolnej wycieczce i zachwyciły mnie malownicze drewniane domki, tak bardzo kontrastujące z betonem i cegłą. Tata nie okazał zainteresowania. Nie przypominał sobie, żeby kiedykolwiek był na zamku, do katedry nie chodził od szkolnych czasów i nie widział powodu, żeby znowu tam iść. Wszystko było tam w gestii zwierzchności. Nie miało nic wspólnego z tym miastem, które uważał za swoje.

W Rudbeckiusie poznałam rówieśników, którzy nie wiedzieli, co to takiego Zakłady Metalurgiczne, i nie znali nikogo, kto tam pracował.

Dużo czasu upłynęło, zanim moja klasa pojawiła się na schodach w białych maturalnych czapkach. Tata krążył wkoło i mnie szukał, myślał, że może nie zobaczyłam ani jego, ani innych oczekujących. Czuł się trochę nieswojo w towarzystwie Lassego i całej reszty.

Dziadek Juliusz nakręcił na swojej superósemce, kiedy wszyscy podchodzą do mnie z gratulacjami, a ja się rozglądam, wypatrując taty, bo z pewnym zdziwieniem usłyszałam, że też gdzieś tam jest.

– Tato, tato! – krzyczą niespokojnie moje usta na niemym filmie.

Po chwili nas odszukał. Odświętnie ubrany, nieco zmęczony. Nie znalazł się na filmie.

– Niezła czapencja – mówi, wskazując na moje nakrycie głowy. – Ale nie wygląda tak samo jak u innych, masz tu coś, czego oni nie mają.

Żółto-czarny znaczek zastąpiłam metalowym z sierpem i młotem i włożyłam czapkę na bakier, zsuwając ją na tył głowy, tak jak Aina Erlander na starych zdjęciach.

Tata puknął w znaczek paznokciem środkowego palca.

– To tak ma wyglądać?

– Ech, to tylko skromna manifestacja polityczna.

– Ach tak?

Mój zapał do nauki w klasie o profilu społeczno-politycznym zgasił już pierwszego dnia. Podczas gdy inni wkuwali matkę, ja siedziałam w biurze Młodych Komunistów i pisałam artykuły o walce klasowej i wspieraniu przez USA wszelkiej maści opresyjnych reżimów. Teraz na świadectwie miałam wszystkie oceny, od jedynki do piątki, za mało, żeby się dostać na dziennikarstwo. Helene miała plaketkę ze swoim zdjęciem w wieku niemowlęcym, ja – znaczek z sierpem i młotem.

Mama od tygodni stawała na głowie, żeby przygotować przyjęcie. Tata siedział na kanapie z Ikei z Majken i Aleksiejem. Wszyscy cieszyli się, że przyszedł, mimo że było to nieco dziwne. Lasse częstował drinkiem z bąbelkami.

Lasse i tata byli sobie obcy, ale nie czuli wobec siebie wrogości. Lasse, chłopskie dziecko ze Smalandii, skończył politologię w Lund. Chodził w sztruksowych spodniach, jeździł samochodem, muzykował, interesowały go ptaki, orchidee, mchy i porosty. Kiedy w szkole miałam francuski, zapisał się na kurs wieczorowy, żeby odświeżyć swój francuski. Małomówny, spokojny, godny zaufania.

Tata nigdy mnie o niego nie pytał. Ani jaki jest, ani co wspólnie robimy. Nie był też ciekawy naszych wyjazdów do Gränny, gdzie mieszkali jego rodzice. Gunnar i Anna-Lisa, emerytowani chłopi dzierżawcy, nie podpadali pod żadną kategorię chłopów, o których mówił tata.

Według taty chłopi dzielili się na ni mniej, ni więcej, tylko cztery kategorie. Na smaganą wiatrem biedotę i wyrobników, o których pisali Moa Martinsson, Ivar Lo i Vilhelm Moberg. Na bogatych konserwatywnych sukinsynów i wsiowych głupków, czyli zwyczajnych mieszkańców Västerås z drugiego krańca miasta. Osobną kategorię stanowił Thorbjörn Fälldin. A do kategorii czwartej tata zaliczał entuzjastów zielonej fali¹¹⁶ wywodzących się ze środowisk lewicowych akademików i przewracających oczami – tych, którzy przez całe lata siedemdziesiąte poświęcali swój czas na wyjaśnianie przyczyn strajku górników w Malmbergen, kiedy każdy wiedział, że przerwali pracę, bo szlag ich trafił. Ilu słów

i doktorskich kapeluszy było trzeba, żeby to załapać?

Jeśli chciałam, mogłam mówić o Lasse i o tym, co wspólnie robiliśmy. Między tatą i mną nie istniały żadne ograniczenia, chyba że nie byliśmy sami, bo wtedy niektóre tematy stawały się niewygodne. Opowiadając o Grannie, wynajdywałam najróżniejsze rzeczy, byle go zadowolić. Że jest tam porażająco religijnie, że w oborach śmierdzi gównem, że dziwacznie mówią, że nie wolno grać w karty ani przeklinać, że na ścianach wiszą obrazy Jezusa.

Nie o wszystkim mogłam mu powiedzieć. Na przykład o tym, że łowiliśmy raki w smoliście czarnej wodzie i że Anna-Lisa zostawiała tylko odwłoki, a całą resztę wyrzucała. W gruncie rzeczy rodzice Lassego byli pod wieloma względami podobni do babci i dziadka. W ich bawialni stał kredens i wisiał kryształowy żyrandol. W kuchni były takie same tapety. Też kłapali sztucznymi szczękami. Gunnar był równie wesoły jak dziadek i miał równie spracowane dłonie. Byli serdeczni i troskliwi. Mimo że nigdy nie mogliby mi zastąpić Kallego i Bojan, po kilku latach zaczęłam mówić do nich „babcia” i „dziadek”, o czym tata też nigdy nie mógł się dowiedzieć.

Mama poczęstowała tatę tartą z kurczakiem. To było ich ostatnie spotkanie, czego, rzecz jasna, nie wiedzieli. Nawet gdyby wiedzieli, nie dokonaliby bilansu i nie podziękowali sobie za to, co było.

My, niegdyś tworzący jedną rodzinę, nie usiedliśmy obok siebie przez całe popołudnie. Nasz ostatni raz przy wspólnym stole był bodaj wtedy, kiedy mama odchyliła się na krześle, żeby sięgnąć po nóż, a ja się przestraszyłam, że się przewróci i zabije. Na talerzach był biały ostry sos chrzanowy – do sztuki mięsa – taki, jak tata lubił, a ja ledwie go spróbowałam. Wcześniej zjadłam tabliczkę czekolady z ptaszkami, którą tata kupił mi w kiosku po tym, jak się wygłupialiśmy, umierając ze śmiechu.

Teraz nadeszła pora powrotu na Rönnergatan. Tata stał w przedpokoju i rozglądał się za łyżką do butów.

– Dzięki, było miło – powiedział, wyciągając rękę na pożegnanie.

Mama go uścisnęła.

– Nie do wiary, jaką mamy zdolną córkę!

Kiedy powiedziałam tacie, że dostałam pracę jako pakowaczka w piekarni Konsumu, popatrzył na mnie, jakby się przesłyszał, po czym z rezygnacją wzruszył ramionami.

– Jasne, przecież ktoś musi to robić.

Piekarnia przemysłowa i Zakłady Metalurgiczne znajdowały się naprzeciwko siebie, po dwóch stronach dużego skrzyżowania Pilgatan z Björnövägen. Zegar kontrolny wyglądał tak samo jak ten, który zapamiętałam z hartowni, kiedy byłam mała. Nie można go było przechytrzyć ani oszukać. Kiedy odbijaliśmy kartę po pracy, kolejka zatrzymywała się co trzydzieści sekund, przesuwając się, kiedy na zegarze była pełna minuta, i znowu się zatrzymywała. Nie zgadzaliśmy się na stratę trzydziestu sekund z naszego życia. Miałam ochotę grzmotnąć pięścią w tę piekielną maszynę, tak jak kiedyś tata, ale zabrakło mi odwagi. Zresztą nic to wtedy nie dało.

Pracą kierowali mężczyźni, piekli chleb i rozwozili do sklepów. Kobiety w systemie akordowym pakowały bułeczki śniadaniowe i fińskie paluszki do torebek i kartonów i kładły na taśmie produkcyjnej. Kiedy podnosiłam wzrok, widziałam wyłącznie ich plecy i schylony kark stojącej obok koleżanki, o której wiedziałam tylko tyle, jak ma na imię.

Bolały mnie barki, drętwiały nogi, stopy spuchły o jeden rozmiar. Wyginałam i wykręcałam czerwone spierzchnięte obolałe dłonie, przerażona, że zeszywnieją jak tacie.

Musiałam się z nim spotkać. Pokazać moje szpony i porozmawiać o socjalizmie – to nie mogło dłużej czekać.

Przyjechał do mnie i Joakima na Furugatan taksówką, mokry od potu z powodu abstynencji. Kiedy podnosił ziemniaka do ust, widelec drżał mu w dłoni, przed kolejną próbą na sekundę odkładał sztucce. Obejrzał moje ręce i nie dopatrzył się niczego niepokojącego.

Spotkaliśmy go któregoś dnia w środku lata. Wracał od Majken. W brudnej pikowanej kurtce, na kołnierzu leżały za długie włosy. Zamienił się w menela, którym za nic w świecie nie chciał być. Porozmawialiśmy tylko chwilę i powiedzieliśmy, że powinniśmy się wkrótce zobaczyć.

Trafił na odwyk. Antabus, psycholog i bezowocne zabiegi jedynie wzmogły jego nieufność do tych, którzy mówili, że musi szukać pomocy. Dowiedziałam się o tym od Majken. Mnie nic nie powiedział.

Teraz widywaliśmy się częściej. Łatwiej było nam utrzymywać kontakty, odkąd zamieszkałam na swoim. Miałam osiemnaście lat i nie byłam już zależna od taty. Zapraszałam go na domowe posiłki, a on przynosił piwo w tej swojej torbie, bo wiedział, że nie poczęstuję go niczym mocniejszym. Nigdy się jednak u nas nie upił. Proponował piwo tylko Joakimowi, nigdy mnie. Nawet o tym nie pomyślał. Tata i ja mielibyśmy się dzielić Pripps Blå? Wykluczone.

Pogarda i niechęć, jakie do niego czułam jako nastolatka, zamieniły się w tkliwość i żal. Znosiłam ze stołu, tasowałam karty i bardzo chciałam, żeby wreszcie zaczął żyć na nowo.

Nigdy się u nas nie zasiedziało. Myślę, że on bardziej się nudził w moim towarzystwie niż ja w jego. A może wychodził tak szybko, bo wydawało mu się, że jest odwrotnie?

Zatrudniłam się jako rzeczniczka Młodych Komunistów i na kongresie w Budapeszcie poznałam Ervina, sekretarza generalnego młodych węgierskich komunistów. Jego zdaniem byłam fascynująca, nigdy dotąd nie spotkał żadnej przekonanej komunistki.

Zerwałam z Joakimem i wyjechałam do Budapesztu, żeby – jak myślałam – spędzić tam resztę życia. Wszystkim powiedziałam „no to cześć!”, z wyjątkiem taty, bo nie mogłam się zdobyć na ostateczne pożegnanie u niego w przedpokoju.

Po trzech tygodniach byłam z powrotem w Västerås.

Zanim skontaktowałam się z tatą, zaliczyłam pierwsze punkty z wiedzy o literaturze, poznałam Pera i wprowadziłam się do jego pokoju studenckiego w Uppsali. Przyjeżdżałam do taty na chybił trafił, bo od kilku lat nie miał telefonu.

Mieszkanie na Rönnergatan było świeżo po renowacji. W kuchni białe fronty szafek i jasne tapety. Ja, Per i tata siedzieliśmy w kuchni. W prezencie gwiazdkowym podarowałam mu węgierski

haftowany obrus.

– Na trochę wybyłam do Budapesztu.

– Tak, słyszałem.

– Ale wróciłam.

– Tak, słyszałem.

– Teraz mieszkam w Uppsali.

– Coś mi się obilo o uszy.

Zapalił papierosa i spytał, jak wytrzymuję z tymi wszystkimi profesorami, którzy wyglądają jak Sten Broman i mają sos na kamizelce.

– Naprawdę jest ci tam dobrze?

Ani słowem nie zahaczył o Węgry, stwierdził tylko, że w Europie Wschodniej jest niespokojnie. Parę dni wcześniej obalono Ceaușescu. Tata był w rozterce.

– Skurczysyn nie wkładał dwa razy tego samego garnituru. Codziennie nosił inny. Codziennie. I ktoś taki mienił się komunistą. Ale żeby go ot tak zastrzelić? Bez procesu? To jakieś prymitywne. No i szkoda garnituru.

Nie był pewny, co myśleć o rozebraniu muru berlińskiego.

– Czy to, co się tam dzieje, jest dobre, czy złe?

Nie wiedziałam.

– A co mówi Julek? On chyba wie?

Z rezygnacją wzruszyłam ramionami. Nic już nie wiedziałam.

Tata skończył pięćdziesiąt lat i wyglądało na to, że dobrze się czuje. Mimo nalanej twarzy dało się zauważyć, że to żartowniś. Cieszyłam się, że dziecko, którego oczekiwałam, będzie miało takiego dziadka jak on i takiego jak Lasse.

Rozpakował swoje prezenty. Książka, rękawiczki i ocieplacz na siodełko rowerowe. Na kartce napisałam, że na najwspanialszy prezent musi poczekać do sierpnia. Przeczytał i wyszedł.

Znalazłam go w sypialni, gdzie coś tam dłubał przy zasłonach. Spytałam, czy się nie cieszy, że będzie miał wnuczkę albo wnuka.

– Nie wolno ci rzucić tego, czym się zajmujesz w Uppsali – powiedział, trąc oczy, że niby go swędzą.

– Oczywiście, że nie rzucę! Możesz być spokojny.

Uciekłam spojrzeniem i na parapecie zobaczyłam skrzydłokwiat z jedwabiu. Stał na bieżniku z białej nylonowej koronki.

Tata nigdy dotąd nie mówił mi, jak mam żyć. Czasami myślałam, że nic go to nie obchodzi, że jest zbyt zajęty sobą. Nie chciał, żeby ktoś wtrącał się do jego życia, dlatego on nie wtrącał się w życie innych. Tymczasem, chlapiąc, chowa się w sypialni, zaniepokojony, że rzucę studia. Patrzył na mnie jak na te wszystkie udręczone kobiety, które zachodziły w ciążę w zbyt młodym wieku i bez grosza przy duszy.

– Ogarnę to, tato.

Okrągły gazon za oknem pokrywał lutowy śnieg, plac zabaw oświetlały uliczne latarnie. Kiedyś tata próbował dopaść jednego dzieciaka i gonił go po podwórku, bo przybiegłam z płaczem, że się przedrzeźnia i popycha. Tata włożył buty i ruszył za nim. Malec, wyjąc ze strachu, uciekł do domu. Zawsze byłam ciekawa, co by się stało, gdyby tata go złapał.

Staliśmy w milczeniu. Z pokoju dziennego dobiegał śmiech rodzeństwa taty.

Spłowiełe od słońca jedwabne liście skrzydłokwiatu przybrały niebieskoszary odcień. Obok stała czworokątna lampa. W osłonie z perforowanego srebrnego plastiku, czymś w rodzaju abażuru, był prążkowany obracający się cylinder, który rzucał na przemian czerwone, niebieskie, żółte i różowe światło, rozjaśniając

intensywnym blaskiem całe podwórko. Lampa stała na parapecie, kiedy w któryś weekend wróciłam od mamy. Tata nie chciał się przyznać, że sam ją kupił, i narzekał, że jest paskudna. Ilekroć pytałam, dlaczego jej nie wyrzuci, za każdym razem mówił z lekką irytacją, że skoro się już coś takiego ma, to szkoda, żeby nie stało na widoku. To nie była żadna odpowiedź. Włączyłam ją i cała sypialnia się zakołysała.

– Paskudztwo.

– Dlaczego ją tu trzymasz?

– No właśnie.

Teraz też nie odpowiedział. Może tym osobliwym blaskiem chciał oznajmić wszystkim, gdzie mieszka. Że w ogóle istnieje.

Postawiłam nosidełko na kuchennym stole, na którym kiedyś sortowałam znaczki. Tata podszedł do małej, uświadomił sobie, że przed chwilą palił papierosa, podszedł do zlewu i umył ręce. Nie okazałam zdziwienia tą nieoczekiwaną troskliwością. Potem musnął jej guzikowaty nosek i powiedział, że w życiu nie widział fajniejszej dziewczuszki. Zdjęłam córeczce skarpetki, żeby mógł ze zdumieniem obejrzeć jej rozczapierzające się we śnie paluszki.

– Jak będzie miała na imię?

– Chyba Amanda.

– Amanda? A co jest nie tak z Nataszą?

Powiedziałam, że „Natasza” nie brzmi najlepiej. Kiedy byłam mała, nikt prócz mnie nie nosił takiego imienia, ale ostatnio jest dość powszechne w seksanonsach.

– Co ty za głupstwa wygadujesz?

– Jest tak, że... no... stało się pornosowate. Lumpenproletariackie.

– Gówno prawda.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym mi wyjaśnił, że imiona, które mam na myśli, zawsze zaczynają się na literę B.

– Bibbi, Babsan, Birgitta, Bettan, Barbro, Bejban, Britta... to są imiona w branży porno. Brigitte Bardot! Sama widzisz!

Przyglądał się małej. Podparty pod boki, patrzył na dziecko, które miało przywrócić naszej relacji prawdziwą treść. Jak zawsze, kiedy był skupiony, drgał mu kącik ust. Ułożył wargi w dzióbek, wydał z siebie westchnienie radości, otworzył spiżarkę i wyjął Pripps Blå. Przez czyste szyby wpadało jesienne słońce, na parapecie za oknem leżały okruszki chleba dla ptaków i wiewiórek.

Zanim wyszliśmy, przyniósł niebieską tyrolską sukienkę, w której pozowałam do pierwszej szkolnej fotografii.

– Jest trochę za duża. Weźmiemy ją innym razem.

Powiedział, że dziewczuszka niedługo będzie mogła ją nosić. Bo dziewczuszki szybko rosną. Piekielnie szybko rosną.

W drodze powrotnej wstąpiliśmy do Södergården. Dziadek miał przeszło dziewięćdziesiątkę, od dziesięciu lat był wdowcem

i poniekąd chodził z kobietą z tego samego oddziału. Swoją powierzchownością, egocentryzmem i pewną pretensjonalnością przypominała mi emerytowaną mezzosopranistkę. W niczym nie była podobna do babci. Dziadek powiedział, że w towarzystwie jest przyjemniej, ale przyznał, że tego żałuje – ta kobieta może swoją paplaniną wywiercić człowiekowi dziurę w głowie.

Zmartwił się, że nie ma czym poczęstować Amandy.

– Nie wiem, co dać maleńkiej! Nie mam ani kartofli, ani omasty.

Czy ona je wafle¹¹⁷ albo zupę jagodową?

– Nie, pije tylko mleko z piersi. Chcesz ją potrzymać?

Nie usłyszał, wskazał na półkę, gdzie stał wazon z Zakładów Metalurgicznych. Zdjęłam go. Przez chwilę balansowałam z dwoma skarbami jednocześnie, wazonem i Amandą. Były równie ciężkie. I tak jak wiele razy przedtem dziadek zaczął opowiadać, jak to w zakładach „wszyscy chcieli, żeby siekiera poszła w ruch, ale tylko on miał odwagę chwycić za trzonek”. Sędziwy wiek sprawił, że nie był już w stanie ubarwiać swoich opowieści, i po chwili dał temu spokój.

– Czym poczęstujemy maleństwo? Lukrecjowych łożeczek też nie mam, nie mogę ich jeść, bo żołądek sobie nie radzi.

Mówił jasnym, niemal piskliwym głosem.

Wskazał na Pera.

– Opowiedz teemu tam, jak złowiłem dwadzieścia sandaczy gołymi rękami.

I zapadł w krótki sen.

Kiedy się obudził, powiedział, że ostatni stosunek miał wtedy, kiedy w mieście występowały Göingeflickorna¹¹⁸. Był już tak stary, że musiał stać na rękach.

Nigdy wcześniej tego nie słyszałam.

Pojechałam do taty tylko z Amandą. Po raz pierwszy od lat bez mężczyzny, który mógłby mnie chronić przed rozmową o rzeczach ważnych.

Tata właśnie wrócił z pracy i oznajmił, że jest najradośniejszym człowiekiem w całym mieście.

– Tęskniłem za wami przez cały dzień.

Równie radosny był bodaj tylko raz, kiedy na loterii Zakładów Metalurgicznych wygrał główną nagrodę, radio tranzystorowe, i oblewał ją dopóty, dopóki przestało to być zabawne. Powtarzał do znudzenia, że nie wierzył własnym oczom i uszom, kiedy wszystkie liczby na jego kartce zgadzały się z tymi, które głośno wyczytywał prowadzący loterię.

Teraz chodził po mieszkaniu i zapalał lampy dla Amandy i bab z sąsiedztwa.

Amanda krzyczała. Odkąd się urodziła, prawie nie zmrużyłam oka. Ona też.

Stojąc tam z nieutuloną córeczką w ramionach, przeżywałam swoje dzieciństwo równie intensywnie jak w te wieczory, kiedy tata spał na kanapie i budził się, żeby mi powiedzieć, że gdyby stracił przytomność, mam zadzwonić do Eldénów. Okropnie się czułam sama jedna w mieszkaniu, bo taty jakby nie było, i wyobrażałam sobie, że ktoś czai się w przedpokoju w niecnym zamiarach. Żeby odpędzić strach, siadałam tacie na nogach i w kołnотatniku, w którym pisałam sztuki i wiersze, odnotowywałam każdy najdrobniejszy szczegół w pokoju, każdą ozdóbkę, obraz i tapetę w medaliony w zielonych, złotych i różowych odcieniach. Wszystko ujmowałam w słowa, z wyjątkiem taty i mnie. Od czasu do czasu nachylałam się, żeby sprawdzić, czy oddycha, w strachu, że leżąc pode mną, umarł, zaharował się na śmierć.

Amanda pochłipywała na moim ramieniu, a ja patrzyłam na dobrze mi znane przedmioty. Szklany delfin mienił się odcieniami niebieskiego i ciemnej czerwieni – miał taki szeroki pysk? Para książęca z duńskiej porcelany – no proszę, żółta sukienka, a ja myślałam, że pistacjowa. Obraz z łośiami i sosnami w ramie ze starych skrzynek na cygara wciąż był brzydki.

W moim pokoju były pamiątki z kilku lat, kamienny troll z Gränny, prezent od Lassego, lalka z Majorki w różowej sukience, którą ku mojej wielkiej radości dostałam któregoś lata od Helene, i rosyjska szkatułka. Pusta.

Chciałam się położyć z Amandą na łóżku, ale coś mnie powstrzymało. Nie tknęłam go od tego dnia, kiedy tata miał zostać eksmitowany.

Na biurku postawił parę sandałów, jedną z wielu, które kupiliśmy u Grimaldich. Rozmiar 28, dla pięciolatki. Pewnie myślał, że niedługo będą w sam raz.

Podał raki i pogwizdywał, słuchając radia. Rozpłakałam się. Nie rozumiał. Powiedziałam, że jestem zmęczona, bo nie śpię po nocach, bo Amanda uspokaja się tylko wtedy, kiedy jest w wózku, i że niczego nie przełknę. Udając, że nie słyszy, wziął Amandę na ręce i chodził z nią. W jego ramionach wydawała się nie większa niż bochenek chleba od Lundiusa.

Kołysał ją do snu, uspokajał, wyciszał.

– No chodź do dziadzi! Ty i ja będziemy kumplami i kompanami.
Bez skutku.

Powiedziałam, że wybieram się do mamy. Mieszkała teraz w środku miasta, na Domkyrkoesplanaden, dokąd chciałam pojechać autobusem.

Spojrzał na mnie zrezygnowany, wzruszył ramionami, wstawił raki do lodówki i włożył buty. Odprowadzi nas na przystanek.

Była wczesna zima. Ciemno i zimno.

Tata prowadził wózek z Amandą. Widziałam, że jest mu przykro. Szybko szliśmy do Viksäng Centrum, mijając park zabaw, mieszkanie babci i dziadka i zagajnik, gdzie – wedle słów mojej przerażonej szkolnej koleżanki Anne-Sofie – grasowała banda Sól i Pieprz, która zabijała ludzi, przecinając im nadgarstki i posypując rany solą z pieprzem. Nie przechodziłam tamtędy od dzieciństwa.

Nic się nie zmieniło, tylko zllipuciało. Parterowe szeregowce szkoły na Lillängen były niewiele większe od trzech białych klocków Lego. Myślałam, że znam każdy wystający śliski korzeń sosny, ale

zaskoczyła mnie ich niepozorność. Wryły mi się w pamięć jako grube, jak przedramię taty.

Jeździliśmy tędy rowerem albo szliśmy pieszo do przedszkola i świetlicy i z powrotem mniej więcej sześć tysięcy razy. Ten raz był ostatni.

Zastanawiałam się, co tata zapamiętał z tych lat spędzonych ze mną. Nigdy nie mówił o tym, co było, jakby te wszystkie dni rozplynęły się w oparach alkoholu, lęku i codziennych trosk. Może uważał, że jest złym rodzicem i jeśli zapomni o tych latach, ja też zapomnę. A może pamiętał, tylko inaczej niż ja.

Czy kiedykolwiek przywoływał o mnie wspomnienia, które napawały go radością? Czy kilka razy dziennie, obsesyjnie, przetaczały mu się przez głowę ich obrazy?

Nic o nim nie wiedziałam.

– Pamiętasz, kiedy ciągnęłaś mnie tutaj rano na czerwonych sankach? – zapytałam ostrożnie.

Milczał.

– Pamiętasz, żebyśmy kogoś wtedy spotkali? Jasne, że nie, o tej porze byliśmy tylko ty i ja. Przecież przez okrągły rok była zima.

Milczał.

– Nie wiem, skąd brałaś na to siłę, tato!

Przyspieszył kroku, ledwie mogłam za nim nadążyć. W końcu zaczął mówić. Szybko, niespokojnie, niemal ze złością.

– Pewnie, że pamiętam. Było zimno. I ciemno. To z Tanią to był potworny cios. Nie byłem przygotowany, ale starałem się, jak mogłem. Ty byłaś dzielna. Chociaż w nocy strasznie mnie kopałaś. Nigdy się nie wyspałem.

Wciąż patrzył przed siebie, unikając mojego spojrzenia.

Nigdy nawet się nie zbliżyliśmy do tej ważnej rozmowy, która dotąd była tabu. Nigdy nie słyszałam, żeby powiedział złe słowo o mamie, teraz też tego nie zrobił. Nie miał powodu, mimo że musiał wziąć na siebie wielką odpowiedzialność za mnie.

Miałam wrażenie, że chce prosić o wybaczenie za wszystko, czego nie potrafił mi dać. I za wszystko, co mi dał.

Oczywiście, że moje dzieciństwo było inne, ale to nie zależało

wyłącznie od niego i nie chciałabym go zamienić. Tylko jak miałam to wyjaśnić, żeby nie zabrzmiało to tak, że próbuję przekonać samą siebie?

Dał mi szansę na kluczową rozmowę.

Odpuściłam.

Szliśmy w milczeniu.

Autobus się spóźniał. Tata zajrzał do wózka, żeby się upewnić, że Amanda oddycha. Przykrył ją szczelniej i znów zajrzał. Poprawił czapkę. Znów ją opatulił.

Łatwiej było nam rozmawiać o polityce. Do parlamentu weszła Nowa Demokracja i wsparła rząd Carla Bildta.

– Dranie! – powiedział tata. – Nie umywają się do Fällidina, Mundebo¹¹⁹ i jak im tam. Jest dużo gorzej. Pieprzony czteropartyjny burżuazyjny rząd! Rozumiesz! Wszystko diabli wezmą!

Wyjął portfel i dał mi czterysta koron. Po raz pierwszy dostałam od niego pieniądze. Potrzebowałam ich.

– Więcej floty nie mam, bo wczoraj załatwiłem sobie telefon.

Ostatnio miał telefon dziewięć lat temu, wyłączyli mu go w czasie Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej w 1982 roku.

– Pomyślałem, że byłoby fajnie porozmawiać z dziewczuszką. Z tobą, rzecz jasna, też.

Od tej pory jego dziewczuszką była Amanda, ja stałam się Åsą.

Pomógł mi wnieść wózek do autobusu.

– Kocham cię – powiedziałam i poczułam się trochę głupio, nienawykła do takich słów.

– Ja ciebie też – powiedział zmieszany i wskazał palcem na swoją pierś, a potem na mnie.

Drzwi autobusu zamknęły się z sykiem.

– Cześć!

– Cześć.

Ledwie weszłam do mieszkania mamy, odezwał się telefon. Odebrał Lasse i przekazał mi słuchawkę. Tata. Dzwonił, żeby mi podać numer telefonu. Zapisałam.

– I chciałbym ci tylko powiedzieć, że dziewczuszki rosną szybciej,

niż się człowiekowi wydaje, kiedy leży i nie może spać.

Poprosił, żebym pozdrowiła mamę. Żebym pozdrowiła wszystkich.

– Co za cholerne czasy – powiedział tata. – Zamykają kolejny wydział w Zakładach Metalurgicznych. Na szczęście jestem hartownikiem, a dla takich pracy nie brakuje. Mam jej tyle, ile zechcę. Gorzej z młodszymi, wielu będzie musiało odejść.

Nauczył się znaczenia słowa „fuzja”. Asea połączyła się ze szwajcarskim Brown Boveri i została przemianowana na ABB. Zwolniono tysiące pracowników Asei, wzrosły notowania koncernu na giełdzie. W gazetach wychwalano Percy’ego Barnevika¹²⁰. Że to taki zwyczajny, skromny człowiek, który pracuje dużo więcej niż inni. Taty to nie przekonało. Wiedział, że szef ABB mieszka w Villa Asea. Codziennie połędwica wołowa i szwedzkie raki. Dzień w dzień. W wieży Asei stół w kształcie swastyki stoi tam, gdzie stał. I kto tu, do cholery, nie pracuje?

Zadzwoił do mnie z wiadomością, że Zakłady Metalurgiczne zmieniają właściciela. Że zostaną sprzedane za jedną koronę.

– Tak, kurde! Za jedną koronę, ale tak się sprawy mają, że dwaj bracia z Fagersty wykupią wszystkie długi. To podobno diabelnie przyzwoici goście.

Tata nie pracował już w Zakładach Metalurgicznych ani w Gränges Essem, tylko w Outokumpu Copper.

Znów zadzwonił i wymamrotał zdenerwowany, że może zostać bez pracy. Powiedziałam, że nie ma powodu do niepokoju, przecież pracuje tam przez całe swoje życie. Muszą mu zapewnić przeniesienie.

– To jasne, że nie będziesz bezrobotny!

Powiedział, że już się tym nie przejmują. Że są inne czasy. Nie to co kiedyś.

Strach ścisnął mu gardło. Nie wspomniał, że mógłby zostać, pod warunkiem że podda się leczeniu uzależnienia od alkoholu.

Nie wiem, czy rozmawiając z nim, w czymkolwiek mu pomogłam. Czułam się prawie tak samo źle jak on. Wydawało się czymś nie do pomyślenia, żeby każdego ranka nie jechał rowerem do Zakładów Metalurgicznych. Stal i piece stanowiły o jego tożsamości i dumie. A teraz nie byłby już mistrzem hartownikiem ani nawet

metalowcem. To kim miałby być? Bez pracy szejnie.

Wyobraziłam go sobie w towarzystwie ochlapusów na Smedjegatan: siedzi z nogą założoną na nogę, lekko pochylony do przodu, z rękami na kolanach i małą butelką w dłoni. W czystym ubraniu z jakiejś organizacji pomocowej. Uprzejmy i agresywny. Niemile widziany w namiotach piwnych, kiedy w mieście odbywa się festiwal muzyczny. Nie wie, czy przeżyje mroźną zimę, i odwraca wzrok na widok jakiegoś starego znajomego.

Tata rozpoczął naukę w szkole przemysłowej przy Zakładach Metalurgicznych w 1955 roku. Miał czternaście lat. Piętnastego lipca 1992 roku po raz ostatni odbił kartę. Miał pięćdziesiąt jeden lat.

Nie wiem, co myślał, zjeżdżając po zboczach do miejsca, które za kilka godzin stanie się jego byłym miejscem pracy. Czy czuł się niepewnie, kiedy ścisnął dłonie i oczekiwał wyrazów wdzięczności? Nie wiem, jak wyglądały przemowy. Czy jakiś szef średniego szczebla powiedział, że „mnie jeszcze na świecie nie było, kiedy ty, Leffe, po raz pierwszy przekroczyłeś próg tej fabryki, a potem się poznaliśmy i zawsze mi imponowałeś swoim profesjonalizmem”...?

A może powiedzieli mu tylko „cześć!”. Cześć, Leffe! Trzymaj się! Przed wyjściem nie zapomnij odłożyć fartucha do prania. Aha, i zwróć kluczyk do szafki!

Co czuł, mówiąc „dzięki” i „czołem” wszystkim kolegom, tym, którzy zostali, i tym, którzy odchodzili razem z nim? Czy będą w kontakcie? Czy pracował do ostatniej minuty, czy się obijał? I co powiedział tej uroczej dziewczynie, odpowiedzialnej za szafę warsztatową, której podobno nie był całkiem obojętny, kiedy ostatni raz zdawał narzędzia?

Męczyły mnie te pytania. Mogłabym uzyskać odpowiedzi, gdybym miała siłę i odwagę słuchać, kiedy zadzwonił do mnie wieczorem. Długo mówił, a ja robiłam wszystko, byle go nie słyszeć. Liczyłam książki wydane przez Månocket¹²¹, których autorzy zaczynają się na literę A, dodawałam częstotliwości na FM, zamalowywałam literę O w Olssonach w książce telefonicznej.

Mówił nieskładnie, wzdychał i zaczynał od początku.

W końcu dotarły do mnie jego słowa.

– Oddałem im moje najlepsze lata.

Narysowałam kreskę, mocno przyciskając pióro. Nie mógł powiedzieć nic bardziej patetycznego.

– Do licha, oddałem im moje najlepsze lata!

Tym razem w jego głosie zabrzmiało zdumienie.

I odłożył słuchawkę.

Pozwoliłam Amandzie drzeć książkę telefoniczną i nalałam sobie kieliszek moskowskiej. Jak zwykle byliśmy same w domu.

Przełknęłam wódkę bez wykrzywiania się jak tata. Skręcało mnie ze wstydu, że byłam na niego zła, bo został bez pracy i jest wyeksploatowany. Nie mógł wyrazić tego lepiej. Oddał im swoje najlepsze lata. Przez trzydzieści siedem lat do żarłocznej paszczy spłynęły tony jego potu.

Tata dostał odprawę w wysokości sześćdziesięciu pięciu tysięcy keroon i zaprosił mnie na prästost.

Spytałam, co robi w ciągu dnia.

– Co robię? A jak myślisz? Oczywiście szukam pracy. Ale to na nic.

Sprzątał. Jeździł na rowerze. Trochę czytał. W soboty na Stora Torget jeden gość sprzedawał książki za dwie dychy. Raz w tygodniu brał udział w turniejach brydżowych ze starym kumplem z pracy. Nie tęsknił za powrotem do Zakładów Metalurgicznych. Dni, choć były długie, pędziły jak szalone i wkrótce groziło mu, że straci zasiłek dla bezrobotnych. Kiedy miał pracę, marzył, żeby odbić kartę raz na zawsze, żeby się odmeldować. Teraz bał się, że go wymeldują. Powiedział, że nie ma nic bardziej nieprzewidywalnego niż życie.

Nigdzie nie było pracy. Zakłady w centrum opustoszały.

W dzieciństwie zastanawiałam się, co się dzieje za bramami dużej Mimerfabriken. Jak tam jest i co tam robią całymi dniami i nocami. Kiedy przejeżdżało się obok rowerem, można było usłyszeć huk, łoskot i hałas maszyn i zobaczyć tylko strażników na zewnątrz. Brudne okna zawsze były zamknięte. Wiedziałam, że w środku pracuje wujek Guido, ale mimo jego wyjaśnień nigdy nie pojęłam, czym się konkretnie zajmuje. Pamiętam, że miało to coś wspólnego z mutrami i śrubami. Przepracował tam od 1947 roku czterdzieści lat i zmarł na wylew.

Niebawem nikt nie będzie wiedział, że te ceglane budynki to niegdysiejsze zakłady i fabryki. Lata temu potok robotników Asei przepływał przez śródmieście i wyznaczał porę dnia.

Tata mówił, że miasto wygląda tak, jakby je zaatakował rak kości. Västerås, które nie tak dawno można było porównać do przerośniętej aglomeracji przemysłowej, zmieniło się w miasto urzędników, w którym coraz rzadziej czuł się jak u siebie.

Zniszczona, pokryta bazgrołami piekarnia Konsumu przypominała dom widmo, zamknięto mleczarnię obok biblioteki miejskiej. Park Ludowy, przemianowany na Arosparken, stał się osiedlem mieszkaniowym. Na terenie największego portu

śródlądowego w północnej Europie stanęły domy z mieszkaniami dla nowej klasy średniej. Po kafejce, w której wcześniej rano wtajemniczeni mogli wypić mocne piwo, nie było śladu. Usytuowany pośrodku morelowy kompleks budynków urzędu skarbowego zasłaniał widok na całe Mälaren.

Ale najgorsze ze wszystkiego, mówił tata, było to, że rozebrano dom na Funkisgatan, żeby zrobić miejsce pod budowę czegoś, co wyglądało jak hiszpański hotel z mieszkaniami. Brakowało mu tego niezwykłego domu, ludzi, ich kuchni i toczonych sporów.

Obok byłej Mimerfabriken stał Skrapan, hotel z galerią handlową, konkurując ze wszystkimi wieżami w mieście. Według taty koszmarny. Poza tym szkoda mu było trzech kin – Odeonu, Grandu i Sagi – które tam przedtem były. Wprawdzie ostatni raz wybrał się do kina, kiedy chodził z mamą, i po złym filmie, który obejrzeni, postanowił, że nigdy więcej, ale brakowało mu sal z fotelami obitymi wytartym czerwonym sztruksem, gdzie wyświetlano duńskie soft porno i szwedzkie komedie.

Tam gdzie kiedyś pachniało smarem, unosił się mdły zapach amerykańskiej pan pizzy. Zamiast huku i łoskotu rozlegał się syk parujących maszyn do espresso – jedyna pamiątka po kolonii Włochów w mieście, którzy dawno temu wycofali się z branży restauracyjnej.

Tata zapytał, co to jest café latte.

– Kawa z gorącym mlekiem.

– Kawa z mlekiem? Tylko tyle?

– Podaje się ją w wysokich szklankach. I mleko jest gorące.

– Czyli kawa z gorącym mlekiem w szklance.

Powiedział, że w całym mieście pełno jest jakiegoś gówna, które nazywa się kebab. Od czasów Tarzana z Tumby¹²² nikt nie podawał tu golonki i purée z ziemniaków, brukwi i marchewki, a dzisiaj nie było nawet co marzyć o porządnym kawałku ścierwa. Nie ostała się ani jedna Sibylla¹²³.

Västerås uchodziło za miasto, w którym sprzedaje się najwięcej dzinsów, butów i Big Maców na głowę mieszkańca. Skąd brali na to pieniądze?

– Co się tu dzieje? Możesz mi to wytłumaczyć? Co się tu, do cholery, dzieje?

Był gotów podjąć każdą pracę, z wyjątkiem grabienia liści w Vasaparken. Nie chciał wylądować w złym towarzystwie. Poza tym nie byłoby mu łatwo wystawiać się na widok publiczny. Czym innym jest nie mieć pracy i siedzieć w domu, a czym innym machać grabiami przed Muzeum Sztuki i mówić przechodzącym tamtędy znajomym: „Cześć, cześć, hej, hej!”.

Aha, to teraz tu pracujesz?

Tak, jasne.

Po roku tylko przez kilka miesięcy karczował las, bo w kolejce czekali inni, i znów musiał się zarejestrować. To go frustrowało. Siedzenie w domu było monotonne. I poniżające.

Im bliższy był termin utraty zasiłku, tym dziwniejsze historie opowiadał o pośredniaku. Gdyby nie szacunek dla mamy, pokazałby, co potrafi, wykorzystując zdolności dziadka. Mama, która awansowała na szefową biura, rozumiała, że już na sam widok komputerów przy wejściu w tacie budził się sprzeciw. Tata rozumiał, że to nie z jej winy nie ma pracy, ale za nic nie był w stanie pojąć, dlaczego zaproponowali mu kurs języka włoskiego. Powiedział, że jakiś gość, zamiast rozmawiać o pracy, przeczytał mu wiersz.

Wiedziała od mamy, że problemy taty leżały im na sercu, że lubili go za skromność. To nie miało znaczenia, czy tata mówił prawdę, czy nie. Opowieści o pośredniaku były jego sposobem radzenia sobie z upokorzeniem.

Zacząłam pisać pracę doktorską z historii o szwedzkim spojrzeniu na klasę robotniczą: Jak to się dzieje, że w Szwecji jest najsilniejszy na świecie ruch robotniczy, a jednocześnie istnieje wyobrażenie, że w kraju nie ma klasy robotniczej?

Tata popatrzył na mnie.

– Co takiego? Nie ma u nas robotników?

– Chodzi o to, że w opinii niektórych w Szwecji nie ma już klasy robotniczej. Dzisiaj wszyscy mają willę i volvo. No wiesz.

– Nie, nic nie wiem. Kto tak mówi?

– Jak to, nie wiesz? Wszędzie można przeczytać, że klasa robotnicza wymarła, że nie żyjemy już w społeczeństwie industrialnym i że, no... chyba słyszałeś?

– Niech mnie diabli wezmą, jeśli słyszałem! Ze wszystkich głupot, jakich musimy wysłuchiwać, ta jest największa.

Podniósł się gwałtownie, przewracając krzesło, i powiedział, że się cieszy, że nie ma „Dagens Nyheter”, bo odechciało mu się codziennie rano czytać swój nekrolog we wstępniaku.

Przesunął dłonią po włosach. W jego żyłach płynął kwas siarkowy. Zapalił papierosa, z trudem ściągnął celofan z bombonierki, którą przynieśliśmy, i ostentacyjnie położył ją na stole.

– A jak tłumaczy się to, że te czekoladki znalazły się na właściwych miejscach w pudełku?

Powiedział, że właśnie obejrzał w telewizji program o kilku kobietach, które szyją rajstopy w fabryce w Skanii i dostają w zamian okrągłe plecy i bolące barki, a po pracy ledwie mogą utrzymać w ręku obierak do ziemniaków. Syn jego znajomego pracował w McDonalddie. Smażył hamburgery, które potem wkładał do przekrojonej na pół bułki, posmarowanej musztardą i keczupem. Kilkaset na godzinę – jak na taśmie w fabryce, jakby składał telefony komórkowe w Ericssonie. Widział staruszki w Portugalii, które wtykają zwinięte kawałeczki czerwonej papryki w oliwki, wysyłane potem za granicę, za marne kilka koron za kilo. Mieszkają w ruderach. Może to tylko czyjś wymysł, co? Komunistyczna propaganda?

Później zmieniłam temat rozprawy doktorskiej i zajęłam się studiowaniem tożsamości socjaldemokracji, kultu jednostki i tradycji autorytarnych. Przeraził się, powiedział, że trafię na jakąś listę Säpo i nigdy nie dostanę żadnej pracy.

– Źle skończysz, nie rozumiesz tego?

Dlaczego nie mogę na przykład napisać o emigracji do Ameryki albo o tym skurczybyku Gustawie Wazie?

– Pomyśl o dziewczuszcze!

Byłam pierwszą wnuczką babci Bojan i dziadka Karla, która studiowała na uniwersytecie, i dziadek rozpromienił się, słysząc, że wybrałam historię. Zacinając się, powiedział, że jak miał dziewięć lat, oberwał od nauczyciela, kiedy wypalił, że dobrze się stało, że Karol XII został zabity, bo nareszcie skończyła się krwawa łaźnia. Nauczyciel tak mu przyłożył, że dziadek poleciał na ławkę i przez dziesięć dni nie słyszał na prawe ucho. Kiedyś opowiadał tę historię lepiej, ale dawno minęły czasy, kiedy Münchhausen ze Skiljebo był w świetnej formie. Mimo to wysłuchałam jej z przyjemnością. Należała do jego ulubionych i kto wie, czy nie była prawdziwa.

Był zmęczony i lekko skołowany, dużo osób tłoczyło się wokół stołu, żeby złożyć mu życzenia z okazji dziewięćdziesiątych piątych urodzin. Nie od razu się połapał, że Amanda, która jesienią miała skończyć trzy lata, to moja córka, a tym samym wnuczka Leifa.

– Dobra robota – powiedział po chwili do taty. – Zrobiłeś bardzo słusznie, żebyś wiedział.

Görel – tak jak wszyscy bracia i siostry taty – zawsze była dla mnie miła, ale zawsze odczuwała potrzebę zaznaczenia swojej odrębności wobec rodzeństwa i rodziców.

I zwróciła się z uśmiechem do siedzącej na moich kolanach Amandy, którą widziała po raz pierwszy:– Twój dziadek ma źle w głowie.

Amanda popatrzyła na nią, potem na mnie. Nie zrozumiała.

– Twój dziadek ma źle w głowie, prawda?

Chyba oczekiwała, że dziewczynka się roześmieje – że wszyscy się roześmiejemy – ale ona się zawstydziała i wtuliła głowę w moje

piersi. Wtedy dziadek zaczął domagać się jej uwagi.

Zniedołączyła ręką wskazała na tatę.

– Ten tam potrafi pracować.

Amanda znowu nic nie zrozumiała.

– Przecież ojciec dobrze wie, że Leffe nie ma pracy! – odparowała Görel.

– Nie słyszysz, co mówię? Leffe potrafi pracować!

– Ech! Leffe od dawna jest bezrobotny. Prawda, Leffe?

Tacie zadrżał kącik ust. Milczał. Ja też. Rozmowa była tak dziwna, że zabrakło nam słów. Dziadek też był zdezorientowany.

Chwytał Amandę za bluzkę.

– Nie słuchaj jej. Leffe jest silny jak stal.

Spojrzałam na tatę, który niespodziewanie doczekał się od ojca czegoś w rodzaju uznania. Ale wydawał się przybity. Ciekawe, dlaczego zawsze muszą o nim mówić.

Dziadek uderzył wierzchem jednej dłoni w drugą i szeroko się uśmiechnął, pokazując garnitur sztucznych zębów.

– A ja jestem Dziadek Stal! Ten, który wszystko ogarniał! Wierzysz mi, dziewczuszko?

Zamilkł i wyczerpany wyłączył się z rozmowy, która niepewnie potoczyła się dalej już o czym innym.

Otworzyły się drzwi i do środka zajrzała Kamilla, moja koleżanka z podstawówki. Pracowała w Södergården. Przez krótki czas kumpłowałyśmy się, któregoś ciepłego sierpniowego wieczoru w środku tygodnia na naszym balkonie po raz pierwszy w życiu jadła raki. Potem się pokłóciłyśmy. Teraz przyszła pomóc dziadkowi w toalecie. Zdjąć mu spodnie i podetrzeć go.

Mojego dziadka. Ja nigdy nie widziałam dziadka nago. Ona codziennie, taką miała pracę.

Po przyjeździe do Södergården dałam mu szybkiego całusa w policzek, ledwie muskając jego woskowożółtą pergaminową skórę. Dziadkowi, który kiedyś się o mnie troszczył, przynosił sandacze, grał ze mną w cassino i zarażał marzeniami o rewolucji w Nju Jorku. Który siedział u nas w sypialni i czekał, żeby tata jak co dzień stawiał się w pracy. Obudź się, Leffe! Obudź się, dziewczuszko!

Pobudka! A teraz to on spał, a my piliśmy kawę, pobrzękując filiżankami, i nikt nie miał ochoty go budzić.

Wszystko wywróciło się we mnie do góry nogami i przepełnił mnie wstyd i podziw zarazem, kiedy Kamilla wprawnie i delikatnie poprowadziła dziadka do toalety i zamknęła drzwi.

Wiadomość o śmierci dziadka parę lat później była zaskoczeniem. Wyobrażałam sobie, że jest nieśmiertelny, i chyba on sam też długo w to wierzył. Mówił, że nie chorował od 1918 roku, kiedy pokonał hiszpankę.

Tata przyszedł na cmentarz Hovdestalund w jasnobrązowym lateksowym płaszczu, z paskiem zwisającym po bokach. Miał nadzieję, że pomylimy go ze skórzanym. Kupił go w Brödet och Fiskarna, tak jak buty.

Był opanowany i niezbyt smutny. Dziadek żył bardzo długo i tata cieszył się na myśl o spadku w wysokości kilku tysięcy koron. Te pieniądze byłyby jak znalazł.

Emerytowany proboszcz mówił o życiu jak o swego rodzaju falach dźwiękowych, jakie możemy usłyszeć w radiu. O dziadku nawet się nie zająknął. Tata był wściekły. Stał przed kaplicą i nieporadnie wyjmował papierosa z nowej paczki. Potem osłonił płomień dłońmi. Zawsze tak robił, bez względu na to, czy był w pomieszczeniu, czy na dworze.

– Niech szlag trafi tych wszystkich klechów spod ciemnej gwiazdy!

Mimo wzburzenia udało mu się ukryć duże braki w uzębieniu. Tuż po pięćdziesiątych urodzinach stracił dwa przednie górne zęby. Szybko posypały się następne, ale wyglądał lepiej. W dolnej szczęce nic się nie działo.

To było dla mnie trudne doświadczenie, kiedy po raz pierwszy zobaczyłam go bez przednich zębów. Została po nich piekielna dziura, jak otwór wlotowy w kontenerze.

Przypomniałam sobie, jak się kłóciliśmy o zęby, kiedy byłam mała. Tata twierdził, że wszystkim ludziom zęby rosną trzy razy: najpierw mleczne, kiedy wypadną, wyrastają nowe, a po nich jeszcze jeden komplet.

- Masz na myśli sztuczne zęby?
- Nie, prawdziwe. Nowe prawdziwe zęby.
- Masz na myśli zęby zrobione przez dentystę?
- Nie. Wyrastają nowe.
- Nie masz na myśli nowych sztucznych zębów, takich jak u babci

i dziadka?

– Nie, takie ma się później, jak inne wypadną.

– Jakie inne?

– Te, które się traci po raz trzeci. Wszystkim odrasta klawiatura trzy razy. Niczego was w tej szkole nie uczą?

– Trzy razy, jeśli się w to wliczy sztuczne zęby, ale prawdziwe ma się tylko dwa razy. Mleczne od szóstego, siódmego miesiąca życia, a potem, po sześciu, siedmiu latach wyrastają nowe, a potem nic już nie wyrasta.

– Wyrasta trzeci raz.

– Myślisz, że wyrosną ci nowe zęby, kiedy te wypadną?

– Założymy się?

Nigdy nie był u dentysty, ale z werwą opowiadał o pani Skombie, która w latach jego dzieciństwa wbiła jego kumplowi wiertło prosto w policzek.

– Sama rozumiesz, jaka wariatka.

Kiedy tacie wypadły zęby, w końcu do niego dotarło, że nowe mu nie wyrosną. Udawałam, że nie widzę, co się stało z jego ustami, ale nie mogłam się uwolnić od wyobrażania sobie, jak on wyjmuje taki rozchwierutany ząb. Wyjmuje i co dalej? Przygląda mu się? I co myśli o swoim odbiciu w lustrze? A jeśli był wtedy w pracy? Czy szybko i wstydliwie chował ząb do kieszeni, czy wrzucał go do pieca, bez przerwy dotykając językiem świeżej dziury?

Zaczął rozciągać górną wargę, aż zrobiła się trochę dłuższa i całkiem naturalnie zasłaniała bezzębną szczękę. Przedtem skupienie na jego twarzy objawiało się drżaniem kącika ust, teraz pracowała górna warga. Przestawał się kontrolować tylko wtedy, kiedy grał w coś z Amandą. Wciąż chichotał jak zwykle, ale doprowadzony przez nią do głośnego śmiechu, pokazywał połyskliwe dziąsła, ściśle przylegające do kości.

Stypa odbyła się w restauracji na wieży ciśnień, skąd roztaczał się widok na całe Västerås. Kiedy ktoś umarł albo chciano coś uczcić bardziej okazale, organizowano przyjęcia w tej półokrągłej sali. Tutaj babcia i dziadek z okazji sześćdziesiątej rocznicy ślubu

zaprosili wszystkich na wystawny szwedzki stół. Dziadek jadł tylko sos i ziemniaki. To było dawno temu.

Siedzieliśmy przy jednym stole z pewnym mężczyzną, o kilka lat młodszym od taty, który kiedyś mieszkał z nim po sąsiedzku na Björkgatan. Powiedział mi, że wszystkie dzieciaki z okolicy chodziły na boisko, żeby zobaczyć tatę. Wszystkie chciały grać tak jak najmłodszy chłopak Kallego Anderssona. Nacka Skoglund ze Skiljebo.

– E tam – skwitował tata. – Nie byłem dobrym piłkarzem. Ja w ogóle nigdy do niczego się nie nadawałem.

Przy naszym stole siedzieli też babcia Wiera i dziadek Juliusz, których tata nie widział od lat. Czułam jego radość, że w ich towarzystwie może porozmawiać o ważnych sprawach.

– Mało brakuje, żeby się nawzajem pozabijali w Jugosławii. Wiecie, po co to komu? – zapytał tata.

Dziadek Juliusz odparł z przykrością, że nie zna odpowiedzi.

Powoli mieszali kawę w filiżankach. Prawa dłoń taty była duża i szponowata, paznokieć kciuka siny. Na zadbanej lewej dłoni dziadka od kilku lat połyskiwał pierścień doktorski. Za zasługi dla oświaty ludowej został uhonorowany doktoratem honoris causa. Tata otworzył pięść i powoli przycisnął dłoń do białego obrusa, tak jak to robił co wieczór przed telewizorem, żeby rozluźnić palce. Dziadek – pochłonięty wywodem o *Czerwonym pokoju* – zrobił to samo, palce jego dłoni rozsunęły się, przypominając promienie słońca na niebie. Ich małe palce niemal się musnęły. Obaj wydawali się tego nie zauważać. Może nie miało to żadnego znaczenia, ale w tym ich ostatnim spotkaniu było coś z podświadomego porozumienia i serdeczności.

Już miałam wychodzić, kiedy zagadnął mnie brat taty, Olle. Poprosił, żebym pozdrowiła mamę, parlamentarzystkę z ramienia Partii Lewicy, którą on popiera we wszystkim z wyjątkiem polityki imigracyjnej. Tata się zdenerwował. Znał moje stanowisko i wiedział, że nie jestem już tą układną dziewczuszką, która ustępuje dorosłym – zwłaszcza nie w takich sprawach. Minęły te czasy, kiedy się z nimi zgadzałam.

Kiedy byłam małą, tata powiedział mi, że trzeba się pozbyć wszystkich Finów.

– Kekkonen wie, co robi. Podrzuca nam zgniłki, a porządnych obywateli zatrzymuje dla siebie.

To najprawdziwsza prawda, usłyszał to od fińskiego kumpla z pracy, supergościa. Dlaczego Finowie nie mogą być tacy jak czarni?

Według taty czarna rasa była lepsza pod względem moralnym i umysłowym. Wyjątek stanowił Muhammad Ali, który, rzecz jasna, w wielu sprawach miał rację, ale czy musiał tak straszliwie wrzeszczeć? Gdyby wszyscy byli czarni, świat byłby piękniejszy. Czy nie byłoby o wiele przyjemniej, gdyby na przykład Ola Ullsten wyglądał jak Harry Belafonte, Östen Warnerbring¹²⁴ śpiewał jak Louis Armstrong, a Björn Borg zachowywał się na korcie jak Artur Ashe?

Albo gdyby Arafat bardziej przypominał Martina Luthera Kinga? Chociaż nic by to nie dało, dopóki Izrael ma Moszego Dajana, Menachema Begina i Pera Ahlmarka.

Na Skiljebo we wczesnych latach siedemdziesiątych na rogu Dagsvärmargatan i Årbylundsgatan był sklep osiedlowy Harry'ego Levina, gdzie można było kupić bardzo fajne magazyny filmowe o *Królewnie Śnieżce*, *Kopciuszku* i *Śpiącej Królewnie* Walta Disneya. Według taty u Levina było za drogo, bo właścicielem był Żyd. We wszystkich innych sklepach też było cholernie drogo, ale to wina rządu, klasy średniej i wsioków.

Dziadek się wkurzył. Głupie gadanie! Ni przypiął, ni wypiął.

– Gdyby Hitler wygrał wojnę, nie byłoby tutaj żadnego sklepu!

– A co Hitler ma z tym wspólnego? Wiem, ile i gdzie co kosztuje!

Dziadek mu odpowiedział, że u Harry'ego Levina jest najlepszy boczek. Że wszystko mają tam prima sort. Kiedy Levin musiał zwinąć interes, tata narzekał, że nie ma popytu na małe sympatyczne sklepiki oferujące własny asortyment po przystępnych cenach. Że szkoda tego wspaniałego starszego człowieka.

Przez pewien czas tata myślał, że Ingmar Bergman jest Żydem – bo czym można wytłumaczyć sukcesy, jakie wszędzie odnosiły jego

filmy? Kiedy później usłyszał, że w młodości Bergman darzył sympatią Hitlera, wszystkie klocki trafiły na swoje miejsce. Od początku podejrzewał, że skurczybyk jest nazistą!

Tata nie znosił Niemców, bo byli Niemcami. O podziwieniu dla niemieckich piłkarzy nie było mowy. Gerd Müller, Franz Beckenbauer, Uli Höness... grają w gałę nie lepiej niż inni. Nie, nie, nie, Garrincha jest tylko jeden.

Mówił mi, że Niemcy zgładzili dziesięć milionów Żydów. Kiedy podrosłam i zakwestionowałam tę liczbę, że nie dziesięć, tylko sześć, zrobił się podejrzliwy.

– Czyżbyś została nazistką? Nagle jesteś prawicowa?

Jednocześnie podziwiał Karola Marksa, Niemca i Żyda, i marzył o świecie bez granic rasowych i narodowych, w którym wszyscy – czarni, biali, Żydzi, Finowie, Rosjanie, Skańczycy, Amerykanie – obcowaliby ze sobą, współpracowali i wzajemnie się szanowali.

Kiedy byłam dzieckiem, zawsze się z tatą zgadzałam. Kiedy dorosłam, trudno było mi się połapać w jego uprzedzeniach.

W latach siedemdziesiątych mówił o Finlandczykach. W latach dziewięćdziesiątych o imigrantach. Ani trochę nie przypominali Finów, którzy wprawdzie byli nieokrzesani, ale nie gardzili żadną najcięższą pracą.

Kiedy do Riksdagu weszła Nowa Demokracja, psioczył na powszechne prawo wyborcze – oddanie głosu na faszyzującą klasę drobnomieszczańską równało się obcięciu jaj. A jednak niektóre hasła Nowej Demokracji trafiły na podatny grunt. Powiedziałam, że większość ludzi, którzy do nas przyjeżdżają, ucieka przed uciskiem i biedą.

Pokręcił głową.

– Nic podobnego. Może kiedyś tak było, ale nie teraz. Ci dobrzy zostają, a przyjeżdża motłoch.

W rodzinach taty i mamy płynęła słynna walońska krew, byli rosyjscy przodkowie i Włosi, jeden Serb, jeden Palestyńczyk, jedna Finoszwedka i jeden Anglik. Co prawda liczyła się tylko gałąź rosyjska i włoska, ale tata i tak nie rozumiał, co mam na myśli, mówiąc, że w naszych rodzinach było mnóstwo ludzi, którzy nie

mieli szwedzkich korzeni. On nie mówił o nich. On mówił o innych.

Teraz stał między mną i Ollem i przestępował z nogi na nogę. Górna warga opuszczona, ręce nerwowo wsuwane do kieszeni spodni i wysuwane. Chciał odejść, ale rozmowa nie była przykra. Olle obejrzał coś w *Efterlyst*¹²⁵, coś przeczytał w gazecie i usłyszał o rodzinie imigrantów mieszkających na Vallby, którym opieka społeczna sfinansowała urlop za granicą, telewizor i sześć rowerów, a oni pracowali na czarno, dostawali zasiłek dla bezrobotnych, zasiłek socjalny i zasiłek chorobowy. Wdałam się z nim w krótką polemikę. Tata bał się, że się wygłupiłam jak jedna z tych przewracających oczami. Miałam pracę i łatwo było mi mówić, że imigranci są u nas mile widziani.

– Wiem, że masz rację – powiedział, kiedy zjeżdżaliśmy windą. – Ale, widzisz, mimo to, no... rozumiesz? Nie trzeba mówić wszystkiego, co się myśli. Ludzie i tak tego nie załapią. Rozumiesz?

Kiedy odeszłam od Pera, Amanda miała tyle lat co ja, kiedy mama rozstała się z tatą. Tata się martwił i miał wątpliwości, jak to dalej będzie.

– A dziewczuszka? – dopytywał raz po raz.

Uspokajałam go, zapewniając, że nie zamierzam być czwartym pokoleniem kobiet w linii zstępnej od Jarosławia do Uppsali, które powierzyłyby ojcu główną odpowiedzialność za dzieci. Za swoje córki.

Parę lat później poznałam Andersa i tata znów miał zostać dziadkiem.

– Klawo, Åsa! Ale potem daj sobie na wstrzymanie.

Wielodzietność była czymś podejrzanym, tylko wolnokościelni mieli więcej niż dwoje dzieci.

Pierwszy raz tata zobaczył Maxima u Majken i Aleksieja przed Bożym Narodzeniem. Spędziliśmy jedną z najwspanialszych wspólnych chwil. Majken wmuszała w nas słodkości: babkę piaskową, mazarynki, kocie oczka z masy migdałowej, kruche ciasteczka, muffinki z toffi i tort. Tata przez parę godzin siedział z wnusiem i czuł się jak krezus. Głaskał Maxa po główce, wachał ciemiączko, delikatnie ścisnął stópki. Obaj szeroko i bezżębnie się roześmiali, kiedy malutka rączka objęła coś, co kiedyś było grubym kciukiem mistrza hartownika.

Nikt się nie spieszył.

– Wiesz, Max, ty i ja zostaniemy kumplami i kompanami. Tak jak Amanda i ja. I twoja mama wariatka, i ja.

Nie zdążyli lepiej się poznać.

Dał Amandzie komplet kółek do kluczy, wiedział, że jest zbieraczką. Nigdy nie pamiętał o jej urodzinach, ale dzwonił regularnie, żeby spytać, jak się sprawy mają z piłką nożną.

Kiedy się spotykali, patrzył na nią tak jak na mnie w dzieciństwie.

– Co ty powiesz, staruszko?

Odprowadził nas na przystanek autobusowy. W papierowej reklamówce przynieśliśmy mu jedzenie: purée z ziemniaków, brukwi i marchewki, brązową fasolę¹²⁶ w folii, salceson, klopsiki, Bullens

pilsnerkorv¹²⁷, marcepan w czekoladzie Anthon Bergh – to, co mógł przeżuć bez zębów.

Miał nową lodówkę. Stara była popsuta od kilku lat, zanim odważył się to zgłosić właścicielowi. Siedemnaście lat po groźbie eksmisji ciągle tak się wstydził, że widząc kogokolwiek ze spółki nieruchomościowej Henry Ståhl, omijał go szerokim łukiem. Od śmierci babci żywił się kanapkami. Teraz miał lodówkę, ale nie miał pieniędzy, żeby ją zapełnić. Pieniądze z odprawy dawno się skończyły.

Po blisko czterdziestu latach pracy w Zakładach Metalurgicznych tata dostawał z kasy funduszu pracy 8644 korony. Połowę pochłaniał czynsz, reszta szła na prąd, telefon, składkę związkową i składkę na fundusz pracy. Nie było go stać na ubezpieczenie mieszkania, codzienną gazetę i samochód, nie płacił za abonament telewizyjny i palił sporadycznie. Ubrania kupował za parę dych w Brödet och Fiskarna. Był niedożywiony, jadł zupę z owoców dzikiej róży i kaszkę ryżową, bolał go żołądek i miał zaparcia.

Kiedy byłem dzieckiem, narzekał, że jest strasznie biedny. Teraz, choćby nie wiadomo jak się starał, nie miał za co żyć i nigdy się nie skarżył. Na moje pytanie, jak sobie radzi, odpowiadał, że co miesiąc udaje mu się, kurde, wiązać koniec z końcem.

Uważałam, że mógłby się przenieść do mniejszego mieszkania, ale to nie wchodziło w grę. Przykleił do ściany dekoracyjne lustro, które można było odkleić, ale razem z tapetą. Gdyby zobaczył to właściciel, musiałby zapłacić odszkodowanie albo natychmiast by wyleciał.

Wziął ciężką papierową reklamówkę i nie wiedział, jak ma dziękować. Byłam zakłopotana prawie jak Emil ze Smalandii, który poszedł do przytułku z koszem pełnym wigilijnego jedzenia.

– Podnieśli mi czynsz o trzysta keroon – dodał usprawiedliwiająco.

– Tak, dzisiaj są ciężkie czasy.

– Żebyś, kurde, wiedziała. A ma być jeszcze gorzej.

Tata nie dostał już pracy wynagradzanej na podstawie układu

zbiorowego, ale od czasu do czasu zapewniano mu miejsce w warsztacie stolarskim obok starej elektrociepłowni. Tam znalazł ujście dla swojej zręczności i kreatywności. Obróbka miękkiego drewna była czym innym niż rozgrzewanie i wyginanie stali. Mówił, że nigdy nie miał lepszej pracy.

Nie stał się flejtuchowatym typem ze Smedjegatan, monopolowy odwiedzał z rzadka. Brakowało mu pieniędzy i nie chciał pozbawiać się wszystkich szans na rynku pracy, których de facto nie miał. Teraz mógł ze mną rozmawiać o alkoholu, mówił, że po rozstaniu z wymagającymi piecami nie jest mu już potrzebny w takich ilościach. W Zakładach Metalurgicznych znali go, wiedzieli, że przyjdzie z tą swoją torbą na ramieniu, teraz spotykał ludzi, którzy nie mieli pojęcia, kim jest. Łatwiej było mu wytrwać w trzeźwości, kiedy nikt mu nie przeszkadzał, nikt nie patrzył na niego nieufnie ani nie uważał, że dziwnie się zachowuje.

Do osiągnięcia spokoju wewnętrznego przyczyniła się również miłość do Amandy i Maxima. Tata powiedział, że dzięki nim wszystko będzie inaczej. Mama powiedziała mi to samo: dzięki twoim dzieciom będzie inaczej. Nie zapytałam, co mają na myśli, bo jak zwykle bałam się o nas rozmawiać.

Może uważali, że mnie zawiedli. Każde na swój sposób. Tak mówili inni. Szczególnie surowo osądzali mamę. Jak kobieta może zostawić własne dziecko?

Czy mnie zawiedli?

Ona może tak, ale on nie. On dał mi przecież całą swoją miłość.

On może tak, ale ona nie. Ona przecież przez cały czas była przy mnie.

Nie widywaliśmy się zbyt często, ale regularnie rozmawialiśmy przez telefon. Od czasu do czasu wysyłałam mu pocket-booka, dołączając parę banknotów stukoronowych, więc mógł mi dziękować za książki bez konieczności wspomnienia o pieniądzach. Amanda wysyłała mu swoje zdjęcia jako obrońcy w drużynie Vindhemspojarna.

Najczęściej dzwonił wtedy, kiedy rozzłościło go coś, co powiedzieli albo zrobili socjaldemokraci. Albo czego nie powiedzieli i nie zrobili.

Tak samo się złościł w czasach mojego dzieciństwa. Każde wiadomości w telewizyjnym serwisie informacyjnym *Rapport* stawały się jego warsztatem doświadczalnym, w którym testował coraz to nowsze inwektywy, tak zabawne, że zaskakiwał nawet sam siebie. Ale teraz były inne czasy. Kjell-Olof Feldt¹²⁸, Erik Åsbrink¹²⁹, Mona Sahlin, Göran Persson nie zasługiwali na żarty. Wszystko poszło w diabły: żadnej pracy, niższe zasiłki dla bezrobotnych, podwyżki czynszu. Czterdzieści kerooon za kawałeczek prästost – kto ich zdaniem może sobie na to pozwolić? Nie, cholera, nie ma się z czego śmiać.

Brakowało mu Palmego, chociaż przyznawał, że wspomnienia o nim zblakły. Od tamtego wieczoru, kiedy poszedł do kina, stał się jakby kimś z filmu. W pewnym sensie nierzeczywisty. Tata prawie zwątpił w jego istnienie.

Temat mojej pracy doktorskiej już go nie martwił.

– Pisz, śmiało, pisz! Powiąż ich w pęczki i zabij¹³⁰!

Partia Lewicy też go rozczarowała, bo nie zyskała nic sensownego na współpracy z socjaldemokratami. Ale lubił Gudrun Schyman.

– Piszą o niej, że pije, o czym zresztą sama mówi. Nie wydaje mi się, żeby to było coś groźnego. W każdym razie nie wygląda na pospolitą pijaczkę.

Schyman to naprawdę cholernie dobra baba, tylko dlaczego nie może się odczepić od babskiego gadania? Trochę tego za dużo. Czy nikt nie może jej powiedzieć, że zapędziła się w kozi róg i zacięła jak zdarta płyta?

Według taty były trzy rodzaje kobiet – nie licząc babci, Majken, mamy, Soni i jeszcze kilku. Były zwyczajne baby, cholerne baby

i cholernie dobre baby. Przez całe moje dzieciństwo dzieliliśmy według tych kryteriów wszystkie, które znaliśmy, i te, które widzieliśmy w telewizji. Kasjerki w Stjärnhallen zaliczały się do całkiem zwyczajnych bab, ale dziewczyna z kwiaciarni to „świecidełko wśród kwiatów i, no wiesz, trochę jej się podobam”. Wychowawczynie w przedszkolu i świetlicy były cholernie dobrymi babami, tak jak te od rozbrojenia: Alva Myrdal i Inga Thorsson¹³¹.

Astrid Lindgren była cholerną babą, która nie chciała płacić podatków. Gdyby nie ściągnęła na siebie uwagi bajką o Pomperipossie w „Expressen”¹³², Szwecją nadal rządziłby intelektualista¹³³, a nie ten wieśniak z fajką¹³⁴. Nie przestał jednak kupować jej książek ani utożsamiać się z Efraimem Pończochą. Inną trzepniętą babą była Karin Söder, która zakazała sprzedaży piwa średniej mocy i zamknęła sklepy monopolowe w soboty. Za najgłupsze cholerne babsko, jakie kiedykolwiek istniało, uważał Margaret Thatcher. To cali Anglicy, żeby składać swoją przyszłość w ręce takiej żmii.

No i była Margaretha Krook. Najlepsza baba na świecie.

Akurat występowała w telewizji, kiedy był u nas kumpel taty, Sören. Zaczęli rozmowę od całkiem poważnego pytania taty o domniemany rozmiar jej piczki. Wkrótce rozmowa przerodziła się w histeryczny rechot. Uzgodnili, że piczka Krook musi być przeogromna. Ułożyli dłonie w miarękę i przymierzyli do swojego przyrodzenia.

– Jak nic ma taaaką!

Teraz, w końcówce lat dziewięćdziesiątych, tata zapytał mnie, co to takiego ten feminizm. Próbowałam mu wyjaśnić, że to koncepcja, według której nie rodzimy się mężczyznami i kobietami, tylko stajemy się nimi wskutek wychowania, i że kobiety są podporządkowane patriarchalnej, czyli męskiej, strukturze społecznej.

– Jesteś feministką?

– Tak, ale nie mam zwyczaju tak o sobie mówić. A ty jesteś feministą?

– Czy ja jestem feministą? W życiu!

Powiedział, że nie ma nic przeciwko równości, ma tylko powyżej uszu tego „oooooooo dziewczyny”.

– Niech się podetrą tym swoim gadaniem, że tylko one zajmują się domem i dziećmi. Kto tego nie robi?

Nie rozumiał, o co chodzi z tym podporządkowaniem kobiet. Jego żona po prostu sobie poszła, a ta druga pojechała na Majorkę i wróciła z ulicznym alfonsem. I kto tu jest górą?

Czy nie można poprzestać na klasie robotniczej? Tam są kobiety, którym żyje się najgorzej: sprzątaczkami, przedszkolankami, te pracujące w ICA i w służbie zdrowia.

– My, zwyczajni robotnicy albo bezrobotni, nie gnębimy koczodanów z Östermalmu. To one nas gnębią! Nas wszystkich!

Pewnie, że dałby radę zgwałcić każdą burżujkę, ale nie miał na to szczególnej ochoty. Najchętniej by je zabił.

Zapytał, czy wiem, co się stało z walką klas. Z solidarnością. Wyparowały.

Lata temu tata mówił o komunizmie i dobrobycie, kiedy nie będzie biednych ani bogatych, kiedy wszyscy będą sobie wzajemnie pomagać i nikt nie będzie samotny ani wykluczony. Czas utopii przeminął.

Tata miał sześćdziesiąte urodziny. Amanda chodziła po mieszkaniu, z podziwem oglądając wszystkie porcelanowe i szklane ozdóbki. Musnęła parę książeczek na komódce, dotknęła zegarka, niegdyś należącego do dziadka, zapytała, kogo przedstawia ceramiczna skarbonka. U stóp figurki Gunnara Stränga, byłego ministra finansów, któremu swego czasu dziadek groził laniem, zobaczyłam podpis autorki: Lisa Larson. Amanda, która jesienią miała skończyć dziesięć lat, uważała tak jak ja w jej wieku, że mieszkanie na Rönnergatan jest fajowe.

Kiedy stała przy regale, przypomniały mi się trzydzieste urodziny taty. Był rok 1971, miałam prawie trzy latka. Tata stał w tym samym miejscu co Amanda i demonstrował braciom nowy adapter, z kuchni dobiegały krzątania i śmiech kobiet. Za kilka miesięcy w jego życiu miało dojść do katastrofy, ale na razie nie miał o niczym pojęcia. Pamiętam, że wszyscy byliśmy radośni i weseli.

Na tym adapterze setki razy kręciły się piosenki z filmów o Pippi Pończoszance, dopóki któregoś poranka mama nie krzyknęła, że dłużej tego nie wytrzyma. Pamiętam, jak wychodzi z sypialni i wybuchą, że nie chce tego słyszeć. Nigdy więcej. Że nie ma już siły. Obu nam jest przykro – mamie bardziej – a tata znowu puszcza płytę.

Wtedy nie zdawałam sobie sprawy z maminych uczuć, niemających nic wspólnego z płytą, której słuchała do znudzenia. Przypuszczam, że lęk ich obojga – taty, który tęsknił za zbliżeniem, i mamy, która już tego nie chciała – marszczył prześcieradło, wtedy jeszcze rozścielane na łóżku. W innym mieście leżał Lasse i rozmyślał, czy będą razem. Mama przestała się śmiać z żartów taty, a tata nie rozumiał dlaczego. Już się nie cieszyła, słysząc, jak przekręca klucz w drzwiach, i on to czuł. Jeśli go dotknęła, to niechcący.

Dziesięć lat później lekko wstawiony tata zaprosił swoje rodzeństwo i usadził na pluszowej kanapie z Fjugesty. Na ławie stały duże pyszne torty kanapkowe z Stjärnhallen. Tata przez wszystkie lata marzył o tym, żeby je kupić. Każdy widział, że nie są domowej roboty, ale Sonia stwierdziła, że przygotowała je własnoręcznie.

Stryjenki zaczęły się z nią bawić w kotka i myszkę. Nie miały nic przeciwko Soni, ale sprawiedliwości musiało stać się zadość. Chciały się dowiedzieć, jak zrobiła takie cienkie spody. Nie umiała odpowiedzieć i tata próbował zmienić temat. Bez powodzenia.

– A druga warstwa to pasztet z wątróbki i...?

Sonia, chrząkając, bąknęła coś wymijająco i poszła do siebie.

Kolejne dziesięć lat w życiu taty było najtrudniejszych, niewiele brakowało, żeby zapisał się na śmierć. Kiedy skończył pięćdziesiątkę, wymienił pluszową kanapę na skórzaną, na której praktycznie nie siedziałam, bo nasze spotkania odbywały się w kuchni. Nie była ona szczytem marzeń taty, czyli angielskim meblem, obitym solidną ciemnobrązową skórą, która z biegiem lat nabiera szlachetnej patyny i ładnie pachnie. Jego kanapa była obita śliską skórą, brązową jak mokra rosówka, i wybrzuszała się nie tam, gdzie trzeba, ale tylko na taką udało mu się odłożyć pieniądze. Przez półtora roku co miesiąc przynosił Majken po pięćset koron, żeby je przechowała, bo inaczej by je wydał. Robił plany na swoje pięćdziesiąte urodziny. Niedługo miał zostać dziadkiem, zaledwie kilka miesięcy dzieliło go od bezrobocia, nowej nieoczekiwanej katastrofy, która okazała się cudownym punktem zwrotnym.

Teraz kończył sześćdziesiąt lat i dopisywał mu humor. Zrezygnował ze świętowania, bezrobotny nie był tego godny. Poza tym nie miał pieniędzy. Ale ucieszył się z naszych odwiedzin.

– Napnij mięśnie, dziadku! – poprosiła Amanda.

Napiął.

– Takie muskuły ma tylko tata Pippi i twój dziadek!

Z radosnym oczekiwaniem wyjął tabliczkę Marabou, otworzył i doznał zawodu, bo zamiast marabuta na cząstkach czekolady była litera M.

– Co to ma być?! A ja myślałem, że kupuję dziewczuszcze czekoladę z ptaszkami!

Trudne lata minęły, ale w naszej relacji zawsze było coś niedopowiedzianego. Spotkania trwały krótko, często je odwoływaliśmy. Ale zdarzały się chwile, w których czułam się jak

w dzieciństwie. Może to nieuniknione. Skoro między nami było tak dobrze, znowu chciałam być dziewczuszką. Chciałam, żeby wyjął trylmę, nalał sobie piwa do porysowanej szklanki z duraleksu i powiedział, że teraz mój ruch.

Chciałam mu powiedzieć, że nie nazywam się Åsa, bo nią nie jestem. Jestem Natasza, Jaskierka, staruszka, staraniunia, dziewczuska, fisia. Chyba nie zapomniałeś, jak do mnie mówiłeś?

Pamiętam cię, tato. A co ty pamiętasz z tego, co było tobą i mną?

Pisanie doktoratu zajęło mi kilka lat i przez cały ten czas myślałam, że kiedy skończę, kupię tacie garnitur, żeby w dniu obrony mógł się świetnie czuć wśród wszystkich profesorów w okazałych salach Uniwersytetu Uppsalskiego.

Nie było żadnego garnituru. Kiedy przyszło co do czego, zabrakło mi ochoty i pieniędzy.

Zadedykowałam doktorat „wszystkim ze Skiljebo, tym, co przyszli, i tym, co odeszli, z dawnej dzielnicy walki, miłości i piłkarskich marzycieli w mieście metalowców Västerås”, ale nawet go nie zaprosiłam na tę uroczystość. Wmówiłam sobie, że robię to z myślą o nim, bo po pierwsze, czułby się wyobcowany w towarzystwie mamy i Lassego – zapomniałam, jak się wszystko udało, kiedy zdałam maturę – a po drugie, nie chciałam, żeby musiał się wstydzić swoich bezzębnych ust, tego, że odstaje od innych, wykształconych, tych, którym się powiodło.

Czym pan się zajmuje?

Obecnie nic nie robię, a poza tym jestem hartownikiem.

Ach tak, aha.

W dniu obrony pracy doktorskiej dostałam kartkę z różami: „Jestem z Ciebie dumny. Życzę ci wszelkiego szczęścia w przyszłości. Tata”. Do koperty włożył pięćset koron ze swojego nędznego zasiłku dla bezrobotnych. To było dla mnie trudne, że dał mi aż tyle, ale przede wszystkim zrobiło mi się przykro, że nie usiądzie obok mnie wśród innych gości na uroczystej kolacji. Kiedy zadzwoniłam, żeby mu podziękować, usłyszałam smutek w moim głosie. Zapytał, czy coś poszło nie tak.

– Nie, poszło bardzo dobrze.

– I tak trzymać! Jak się zostaje doktorem, trzeba się cieszyć!

Życzył mi udanej kolacji i radził, żebym przywalała profesorom od razu podczas przystawki.

Może w ogóle o tym nie myślał, że mógłby tam być, może był zadowolony, że nie musi, ale prawdopodobnie rozumiał, dlaczego nie został zaproszony. Kiedy słuchałam mów pochwalnych, on siedział na Viksäng i czuł się jak Mruk z Kosówki, wiejski kocur zalatujący oborą i nieobyty w towarzystwie, co zapamiętałam

z książki, którą mi czytał¹³⁵. Jednej z tych wypożyczonych z biblioteki, której nigdy nie zwróciliśmy.

Tatę rozboleły plecy, ale inaczej niż dotychczas, i tak bardzo spuchły mu stopy, że nie mieściły się w gumowcach. Powtarzałam mu, żeby poszedł do lekarza. Nie chciał. Wysłałam mu pieniądze na opłatę za leczenie. Wydał je na żywność.

Spotkaliśmy się, żeby się wymienić prezentami gwiazdkowymi. Atmosfera była trochę napięta. Anders i ja właśnie kupiliśmy mieszkanie za półtora miliona koron i tata był przerażony. Dla niego magiczną kwotę graniczną stanowił milion, zarówno teraz, jak i w dzieciństwie, kiedy szczytem marzeń były centymetrowej grubości irysy po pięć öre sztuka. Nie rozumiał, skąd weźmiemy na to pieniądze, a ja nie mogłam z nim rozmawiać o dochodach, bo się wstydziłam. W dobie nowej gospodarki zaliczałam się do wygranych. On płacił.

Zanim wyszliśmy, przyniósł z garderoby wędkę na błystkę. Powiedział Amandzie, że kiedyś należała do mojego dziadka, a on zrobił do niej nowy uchwyt z oczkiem do podciągania.

– Mam nadzieję, że będziesz na nią łowiła tyle sandaczy co mój tata i że nauczysz na nią łowić Maxa, jak podrośnie.

Kiedy pokazywał jej wędkę, moją uwagę przykuły jego dłonie. Bardzo się skurczyły po dziesięciu latach bez pracy i bez stania przy piecach hartowniczych. Jak takie wielkie graby mogły tak po prostu zniknąć? Zamiast się cieszyć, że nareszcie mogą odpocząć, poczułam zawód.

Cały tata się skurczył. W świetle czerwonej latarenki w przedpokoju zobaczyłam, że ma na sobie brązowe wełniane spodnie i długi sweter dziadka. Wyglądał jak wróbelek. Jak wiewiórka w szacie zimowej.

Pożegnał się z Andersem, podając mu rękę, i uściskał dzieci. Ja objęłam go delikatnie, żeby przypadkiem nie sprawić mu bólu.

– Kocham cię – wyszeptałam.

– Ja ciebie też.

Ostatni raz rozmawialiśmy w sylwestra. Jak zwykle stał na balkonie i patrzył na fajerwerki. Zadzwoiłam już za kwadrans dwunasta i w jego głosie wyczułam lekkie rozczarowanie. Kiedy w telewizji

rozdzwonią się dzwony sztokholmskich kościołów, zwiastując początek nowego roku, jego telefon będzie milczał. Nie wiem, dlaczego się pospieszyłam, zazwyczaj był pierwszą osobą, do której dzwoniłam o północy. Rozmowa z tatą była najważniejsza, a jednocześnie chciałam to już mieć za sobą. Tak jak przez ostatnie dwadzieścia lat moich relacji z tatą.

Usłyszałam w słuchawce tłumiony kaszel. Gdyby go nie powstrzymywał, ból pleców mógłby go zabić. Ten przeklęty ból nie chciał ustąpić, właściwie nigdy nie przechodził. Cieszył się, że starcza mu sił, żeby pójść do warsztatu stolarskiego, ale najchętniej tylko by leżał i spał. Poprosiłam go po raz setny, żeby poszedł do lekarza. Zmienił temat. Żałował, że to nie Margaretha Krook przeczyta *Nyårsklockorna*¹³⁶. Miała zaledwie siedemdziesiąt sześć lat, to żaden wiek na drewnianą jesionkę. Teraz czytał Jan Malmjö, pijany i nadęty, jakby był najlepszym aktorem na świecie, ba, najwspanialszym człowiekiem na świecie, tylko dlatego, że raz zagrał w filmie tego pomyleńca Ingmara Bergmana. Życie nie jest sprawiedliwe.

Zapytał o dzieci i poprosił, żebym je pozdrowiła.

- Pozdrowię. Trzymaj się i do usłyszenia.
- Do usłyszenia. No to cześć.
- Cześć!

O śmierci taty dowiedziałam się wieczorem. Prowadziłam zajęcia z drugiej wojny światowej. Anders złapał mnie w przerwie. Przeprosiłam studentów i zabrałam się stamtąd. Jadąc do domu rowerem, wstąpiłam po drodze do supermarketu ICA Luthagen¹³⁷. Kupiłam chleb i prästost. Przy kasie wzięłam „Aftonbladet” i spojrzałam na datę: 14 stycznia 2002. Za miesiąc i jeden dzień tata skończyłby sześćdziesiąt jeden lat.

Wróciłam do domu. Maxim spał. Miał dwa i pół roku i był śmiesznie podobny do taty, zwłaszcza kiedy zasypiał z górną wargą ułożoną w dzióbek. Dla niego tata będzie jedynie legendą ze świata baśni. Jego dziadek miał na imię Lasse. Amanda, która jesienią kończyła jedenaście lat, leżała pod kocem na kanapie i nie chciała rozmawiać. Telewizor był włączony, ale bez fonii.

Przyszła Kajsa z mężem Tomasem. Usiedliśmy w kuchni i wypiliśmy toast za Leifa tym, co zostało w butelce ze świąt Bożego Narodzenia. Kajsa prawie nie знаła taty, nawet nie potrafiłaby opisać, jak wyglądał.

Zadzwoiłam do Majken. Ona i Aleksiej znaleźli tatę martwego. Był u nich w niedzielę o siódmej rano, skarżył się na ból pleców i brzucha, poprosił o tabletkę przeciwbólową i wrócił rowerem do siebie. Jego brat Rolf przez parę dni daremnie próbował się z nim skontaktować i zaczął się niepokoić. Majken i Aleksiej poszli do niego z zapasowym kluczem. Tata leżał na łóżku z rękami na brzuchu. Miał poluzowany pasek i rozpięte spodnie. Albo z powodu bólu, albo z braku powietrza.

Aleksiej powiedział, że wyglądał tak, jakby głęboko spał, i chciałam mu wierzyć. Powiedział, że widząc martwego Leifa, doznał przedziwnego uczucia. To on zawiózł motorowerem swoją przyszłą teściową Bojan na oddział położniczy, kiedy Kalle Chwat, mój dziadek, łowił ryby na jeziorze. Sześćdziesiąt lat później Aleksiej zadzwonił po karetkę do jej syna. Koło się zamknęło.

Majken powiedziała, że tata ciągle leży na łóżku, bo załoga karetki będzie mogła go zabrać dopiero następnego dnia. Oni, Majken i Aleksiej, tego dopilnują. Podziękowałam, że mnie w tym wyręczą.

Całą noc przesiedziałam na kanapie. Brakowało mi czegoś mocniejszego. I papierosów, mimo że nigdy nie paliłam. Patrząc na zaśnieżone pola Stabby, zrozumiałam, dlaczego kiedyś czuwano przy zmarłych. Tata leżał sam w ciemności na Rönnergatan, a ja chciałam znaleźć w sobie tyle odwagi, żeby dotrzymać mu towarzystwa.

Czy kiedy luzował pasek, zdawał sobie sprawę, że idzie na spotkanie ze śmiercią?

Czy się bał? Czy istniała jakaś rzeczywistość wolna od bólu?

Chciałabym przy nim być. Przynajmniej tak sobie wmawiałam. Siedzę tuż obok, jedną dłonią ściskam jego kciuk, tak jak w dzieciństwie przed snem, drugą kładę mu na czole i mówię, jak bardzo jestem mu wdzięczna, że mogłam go poznać. Że jestem mu wdzięczna za nieskomplikowaną miłość i skomplikowane doświadczenia. Że to nie z jego winy motywem przewodnim mojego życia był lęk przed niesprostaniem oczekiwaniom i przed porzuceniem.

Położyłabym głowę obok jego głowy i szepnęła mu do ucha, że utopia o świecie bez panów i klas, narodów, pieniędzy, wojen i konkurencji nadal jest najpiękniejszym marzeniem, jakie znam.

Wiem, co by powiedział.

Powiedziałby, że nie wszystko wyszło mu tak, jak chciał. Ani życie, ani lata spędzone ze mną. I że byłam dzielna. Wtedy powiedziałabym mu prawdę, że oczywiście czegoś mi w okresie dorostania brakowało, ale dostałam także mnóstwo innych rzeczy, których inni nie dostali. Że oboje byliśmy dzielni.

Chciałabym móc powiedzieć jemu i całemu światu, jaka jestem dumna ze swojego taty. I że będę za nim tęsknić. Straszliwie tęsknić.

Pracownik zakładu pogrzebowego Fonus był młody i przystojny, miał ciemne kręcone włosy i lekko wystającą górną szczękę. Zapytał, kim był Leif.

– Był najdowcipniejszym człowiekiem, jakiego spotkałam, ale nie mogę sobie przypomnieć nic z tego, co mówił.

Tyle zdołałam z siebie wydobyć. Głos odmówił mi posłuszeństwa.

– To wspaniale, że tata panią rozśmieszał!

Uśmiechnął się. Odwzajemniłam uśmiech.

Obok siedziała stryjenka Majken i ciocia Nina, które mnie wspierały – każda z osobna – kiedy tacie i mnie wszystko się zawaliło. Mimo że byłam jedynym najbliższym członkiem rodziny i sama mogłam decydować, przyjemnie było mieć je przy sobie.

Na ścianie wisiały podświetlone zdjęcia różnych modeli trumien. Żadna mi się nie podobała, z wyjątkiem czarnej. Majken zaproponowała białą. Przyjrzałam się białej trumnie i pomyślałam, że tata wyglądałby w niej jak w rosyjskich mokasynach. W końcu po wielkich mękach wybrałam dębową z mosiężnymi uchwytami i okuciami. Była koszmarna. Zrobiłam to przez wzgląd na rodzeństwo taty i na tatę, bo wiedziałam, że gdyby go było stać, też by ją wybrał.

Wystraszyła mnie wysokość opłat. Nie miałam konta z flotą, każdego miesiąca wydawałam całą pensję. Pracownik zakładu pogrzebowego powiedział, żebym się nie martwiła. Ponieważ Leif był samotny i bezrobotny i nie miał żadnych oszczędności, dochodów ani przedmiotów wartościowych, gmina pokryje koszty, oczywiście w rozsądnych granicach. W ramach pochówku osób biednych. Co dość rzadkie, ale coraz powszechniejsze.

– Dla wielu nastały teraz trudniejsze czasy – dodał.

Wiedziałam, że tata nie chciał pastora. Uznałam, że celebrazem mógłby być Kenneth Kvist, zasiadający razem z mamą w parlamencie z ramienia Partii Lewicy, prezes Hammarby Bandy¹³⁸. Byłam pewna, że tata by go polubił. Musiałam stawić czoło tym krewnym, którzy uważali, że pastor jest konieczny, żeby pokazać, że zna się zasady.

Nie wystawać, nie odstawać, przystawać.

Nigdy nie poznali się na tacie. Dla nich był nieudacznikiem, dziwadłem, kimś, kogo można traktować per noga, z dezaprobatą kręcąc głową, z kogo można się naigrawać albo pozwalać mu, żeby ich zabawiał.

Amanda chciała, żeby w nekrologu w „VLT” była piłka futbolowa jako symbol. Majken zaproponowała jeden kwiatek albo dwa skrzyżowane kije do bandy. Amanda uważała, że powinno się napisać, że dziadek był mistrzem hartownikiem i zawodnikiem. Tak mówił o sobie jej i Maximowi. Że jest „eleganckim zawodnikiem”. Nie bardzo wiedziała, co miał na myśli, ale dla niej znaczyło to tyle, że był taki, jaki był – był kimś, kogo bardzo lubiła.

Wieczorem zadzwoniła Nina. Była zmartwiona. Skontaktowała się z nią kuzynka Rosita i przekazała wiadomość od rodzeństwa taty, że czuje się urażone, bo moje dyspozycje w sprawie pogrzebu ośmieszają ich brata. Zadzwoniłam do pracownika Fonusa z prośbą o usunięcie z nekrologu „mistrza hartownika” i „zawodnika”. Zapytał, czy na pewno tego chcę.

– Robię to, czego chce rodzeństwo taty. I zamiast piłki futbolowej niech pan da kryształowy żyrandol, talerz purée z ziemniaków, brukwi i marchwi albo cokolwiek. Może pan robić, co się panu podoba, albo zadzwonić do nich i spytać, co tam ma być.

Powiedział, że przywykł do takich sytuacji i że najchętniej niczego by nie zmieniał. To ja – nikt inny – decyduję o pochówku Leifa. Nabrałam odwagi, ale zaczęłam się zastanawiać, czy rodzeństwo mimo wszystko nie postępuje słusznie, że się wtrąca. Tego, co łączyło mnie i moje dzieci z tatą, nie da się przecież zamknąć w kilku słowach w „VLT”.

W nocy śniło mi się, że moja praca doktorska zamieniła się w nekrolog: „Mój wspaniały tata, mój kumpel i kompan, miś Baloo, kapitan Efraim Pończocha, zawodnik i mistrz hartownik Leif Andersson... opłakiwany przez Margarethę Krook...”.

I w tym śnie nagabuje mnie mój profesor Torstendahl.

– Åsa, musisz się dowiedzieć, jak się nazywał twój tata. Musisz się zdecydować, kim on naprawdę był.

Obok profesora siedział Nacka Skoglund i ubolewał, że nie może być na pogrzebie.

Poszliśmy po klucz do Majken i Aleksieja.

Dom, w którym jako dziecko spędziłam dużo czasu, nie zmienił się, nie licząc obrazów z mieszkania taty, które stały teraz w salonie pod ścianami i meblami.

– Åsa-Staruszko, czy chciałabyś jakiś obraz? – spytała Majken.

Zaskoczona, rozejrzałam się za tym ze srokami, ale już go wziął mój kuzyn. Nie wiedzieć czemu wybrałam ten z łosiami, w ramie ze starych skrzynek na cygara.

Chciałam też dziadkowy obraz kobiety w bikini, który tata, tak jak dziadek, powiesił nad łóżkiem, ale Majken się nie zgodziła. W dzieciństwie nie rozumiałam, dlaczego babcię irytuje ta kobieta o czarującym uśmiechu. Teraz widziałam jej ponętność.

Tęskniłam za babcią i dziadkiem, tęsknoty za tatą jeszcze do siebie nie dopuszczałam.

Mieszkanie taty było zadbane jak zwykle, chociaż z pustymi ścianami wyglądało dziwnie. Wisiały tylko zdjęcia szkolne i przedszkolne, moje i dzieci.

Usiadłam na kanapie, żeby zanurzyć się w świat dzieciństwa, ale nic z tego nie wyszło. Przede mną byli tutaj inni, przeszukali wszystkie szafki, zastanawiali się, co wziąć, martwili się, że nie mogą znaleźć klucza do piwnicy.

W szafce pod zlewem leżała kolekcja książeczek Gösty Knutssona z osiedlowej biblioteki. W szafce powyżej była butelka ze smoczką i kilka smoczków. Jeden zszyty niedźwiedzią nicią¹³⁹. Pamiętam, jak mama go zszywała, bo nie chciałam żadnego innego. Kiedy go rozciągnęłam, pokruszył się, zbrązowiały ze starości. Zdziwiłam się, widząc białe talerze z lamówką w niebieskie kwiaty. Beżowy serwis babci z małymi słodkimi kwiatuskami znałam od a do zet, pamiętałam każdą najdrobniejszą ryś i odprysk, używaliśmy go na co dzień, ale białe talerze z lamówką w niebieskie kwiaty widywałam rzadko. Ni stąd, ni zowąd pojawiały się na stole z rakami albo muszlami makaronowymi z sosem mięsnym. Zostały tylko trzy, reszta pewnie się potłukła. Jeden sama stłukłam, upuszczając go na podłogę, kiedy zamieniłam się w mamę, w Tanię,

i krzyczałam: „Przebacz mi, przebacz mi, przebacz mi!”, a tata oparł się lewym przedramieniem o kuchenny blat i patrzył na to wszystko z miną, której nigdy nie zapomnę i której nigdy nie udało mi się rozszyfrować.

Zniknęła obrączka ślubna, która wisiała w kuchni na haczyku koło radia przez całe moje dzieciństwo i okres dorastania. I killelek. Czarny kodak – wzgardzone ustrojstwo – który kiedyś dokumentował szczęście w postaci kwadratowych zdjęć, a potem przestał, bo nie było już żadnego szczęścia do sfotografowania, wciąż leżał w szufladzie. Wyjęłam z niego trzydziestoletnią rolkę filmu i włożyłam do torby. Po chwili się rozmyśliłam i wrzuciłam ją do worka na śmieci.

Obejrzałam ławę z marmurowym blatem, kryształowy żyrandol, regał z mosiężnymi okuciami, empirową komódkę, zasłony z ciemnoczerwonego aksamitu, ozdóbki. Obejrzałam dorobek całego robotniczego życia. Tutaj było wszystko, co tata po sobie pozostawił.

Przez trzydzieści trzy lata mieszkał na Rönnergatan i był sam ze swoją tęsknotą.

Przeglądając jego rzeczy, próbowałam namalować taki jego obraz, jaki chciałam zachować. Z każdego mebla i drobiazgu, które zatrzymywałam albo wyrzucałam, tworzyłam mój własny majątek – pamięć o tacie.

Dotykałam przedmiotów ze szkła i porcelany, aksamitu i bordiury. Lekkie, chłodnawe, gładkie, miękkie – groteskowo kontrastowały z jego prawdziwym życiem.

Czy dzięki lampkom i okienku 24 w adwentowym kalendarzu mógł kiedykolwiek zaskarbić sobie uznanie? Świeciły w świecie, który niczego nie widział, dla ludzi, którzy nie mieli pojęcia, że tam mieszka miły, serdeczny mężczyzna, złąkniony towarzystwa kogoś, z kim mógłby szeptać i do kogo mógłby się uśmiechać podczas bezimiennych nocy.

Co mówił o nim jego dom?

Dlaczego, nie mając pieniędzy na jedzenie, wydał ostatnie tysiące z odprawy na duży zegar stojący?

Czy powodowało nim coś więcej niż przyjemność obcowania z tymi przedmiotami? Czy, jak większość ludzi, dobrze się czuł w ładnym, zadbanym domu?

Jako historyczka próbowałam profesjonalnie spojrzeć na wszystko, co znałam z dzieciństwa i okresu dorastania. Uczynić przedmiotem analizy, posiłkując się dowolną teorią społeczno-polityczną o podziałach klasowych, upodobaniach i tożsamości. Wiedza zdobyta na studiach dała mi odpowiedź, która mnie uspokoiła, ale nie na długo, bo okazała się niewystarczająca i zwodnicza. Po rozłożeniu wszystkiego na części pierwsze nic się nie zmieniło.

Musiałam szukać odpowiedzi na swoje pytania w nim samym, w tym, kim dla mnie był.

Wyobrażam sobie, że kiedy mama od nas odeszła, chciał pokazać, że nie trzeba być kobietą, żeby dobrze prowadzić dom. Dlatego marzyło mu się, żeby baby przechodzące pod jego oknami podziwiały tę zaradną kobietę, która tam mieszka, podczas gdy to on, mistrz hartownik Leif Andersson, sam jeden wszystkiego doglądał i opiekował się swoją dziewczuszką.

Ale to niedostateczne wyjaśnienie. Przecież skórzanej kanapy nikt z zewnątrz nie widział.

Na półeczce w łazience, w której nie było żelu pod prysznic ani szczoteczki do zębów, leżała ciemnoczerwona jedwabna róża. Nie wchodziłam tam od dziesięciu lat. Zapamiętałam łazienkę jako smutne miejsce i wolałam ją omijać. Teraz, widząc ten kwiat, pomyślałam o samotności taty – przyozdabiał swój dom w oczekiwaniu na towarzystwo, tęsknił za czyjąś obecnością. Za kimś.

Na pewno odczuwał także potrzebę stworzenia swojego małego świata z dala od hałasu i brudu fabrycznych hal w Zakładach Metalurgicznych. Czegoś tchnącego spokojem, miękkiego i lśniącego. Meble przydawały mu godności, przedmioty dawały poczucie, że świat nie jest aż tak brzydki. Może lampki w oknach utrzymywały go na powierzchni? Nie roztrwonił wszystkiego, nie zrezygnował z pięknych przedmiotów, które z takim wysiłkiem

zdobył.

Patrząc na te świecidełka, przypomniałam sobie, jak tata marzył o bezklasowym społeczeństwie, o które w ogóle nie walczył. Nie walczył ani dla siebie, ani dla kogokolwiek. Co roku pierwszego maja martwił się, że w demonstracjach nie bierze udziału więcej ludzi, ale nawet nie pomyślał, żeby się do nich przyłączyć. Był śmiertelnie przerażony, że wyjdzie na jaw jego radykalizm, że koledzy z pracy zahaczą go o poglądy, których nie będzie mógł obronić. Nie był w stanie czytać literatury socjalistycznej, żeby zapoznać się z argumentami. Od dziadka Karla i krewnych mamy nauczył się, że ten, kto jest czerwony, może być wyizolowany i prześladowany i może stracić pracę. Nie mogło być nic gorszego.

Bardzo chciał być taki jak ci z Funkisgatan, którzy ukrywali osoby ścigane, ryzykując utratę pracy w imię tego, w co wierzyli. Chciałby pewnego dnia odłożyć narzędzia i podburzyć swoich kolegów do nienawiści, a nie zdobył się nawet na podpisanie czeku czerwonym długopisem.

Człowiek wie, co ma, ale nie wie, co może stracić.

Socjalistyczna retoryka oddaje cześć bohaterom gotowym umrzeć w walce, która wymaga mężczyzn ze stali, ale tata miał coś do stracenia. Pracę, dom, opiekę nad dziewczuszką. Tych, którzy mają największy powód do podjęcia walki, najmniej stać na utratę tego, co mają, a mają bardzo mało.

Choćby tata nie wiadomo ile mówił o tym, jak to jest być robotnikiem, nie do końca czuł się częścią głównego nurtu klasy robotniczej. Stał obok, nawet w swoim kolektywie. Nie miał teściowej, samochodu, domku letniskowego, hamaka, grilla kulistego, odsetek, amortyzacji, internetu i karty płatniczej ICA. Ani razu nie był na wycieczce czarterowej. Na pewno potrafił rozbawić kolegów swoim poczuciem humoru, ale nie potrafił poprowadzić rozmowy w pożądanym przez siebie kierunku.

Chciał, żeby rozmawiali o socjalizmie. Gdyby było więcej takich, którzy marzyli o końcu niesprawiedliwości, też by się odważył powiedzieć parę słów o tym, jak powinny albo mogłyby wyglądać

różne rzeczy. Tymczasem rozmawiali o błahostkach. Oczywiście psioczyli na rząd, ale nic poza tym. Gdyby tata mówił jak dziadek Juliusz o niewolnictwie płacowym i walce klas, odwróciliby się do niego plecami – tylko ci z księżycą i komuniści wierzą, że społeczeństwo można urządzić inaczej. Nie chciał mieć etykiety pajaca, nie zapomniał tego, co sam myślał o Juliuszu i jego wykładach.

W dzieciństwie miałam próbkę tego, jak tata mógł się zachowywać w pracy. Opierany przez Majken, głośno utyskiwał na emerytów, którzy rezerwują pralnię akurat w tych godzinach, kiedy mogą z niej skorzystać ci, co pracują.

– Między piątą a dziewiątą wieczorem pralnia zamienia się w złoża wapna, bo baby piorą wyłącznie wtedy i tylko po to, żeby się awanturować.

Wiktem zajmowała się babcia, ale tata i tak narzekał, że ile razy chciał mi coś zrobić na kolację, właśnie to już jadłam.

– Proponuję paluszki rybne. Guzik! Były w szkole. Falukorv i purée ziemniaczane? Były w budzie.

O cudzych doświadczeniach mówił jak o własnych. Wprawiał się w domu, co i jak powiedzieć. Smakował słowa, sprawdzał, czy dobrze leżą w ustach, czy brzmią wiarygodnie. Siedząc w swoim pokoju, słyszałam, jak cicho ćwiczy w kuchni.

Nie przypadkiem tata, czekając na powrót mamy, narysował dokera, który stoi w pewnej odległości od kolegów. Jako dziecko zastanawiałam się, dlaczego nie jest razem z nimi. Nie mógł czy nie chciał?

Gdzie się podział ten rysunek? Czy tata w końcu znalazł w sobie siłę, żeby się go pozbyć? Czy pozbył się również obrączki i sukni ślubnej, których nigdzie nie było?

Jeśli tak, to dlaczego zostawił karton płatków kukurydzianych z kogutem?

Majken i Aleksiej siedzieli w kuchni, a Anders i ja sortowaliśmy i wyrzucaliśmy. Dałam im skórzaną kanapę, regał, zegar stojący i dwie torby książek. Oni poczęstowali nas kanapkami, tortem z bitą śmietaną i kruchymi ciasteczkami.

Rozmawialiśmy o nieoczekiwanym ubezpieczeniu ze Związku Metalowców, jakie dostałam, bo tata zmarł, będąc w wieku produkcyjnym. Siedemdziesiąt sześć tysięcy koron.

– Dorabiasz się, Åsa – powiedziała Majken.

Aleksiej spytał, czy obyłałbym się bez rosyjskiego dzbanka do zaparzania herbaty, który stał na stoliku serwisowym w kuchni. Zachwyciła się nim kuzynka Rosita, kiedy się rozglądała po mieszkaniu.

Po południu Majken i ja zostałyśmy przez chwilę same. Powiedziała, że tata był im winien pieniądze. Zapytałam ile.

– Nie-nie-nie, to głupstwo.

– Mów! O jaką sumę chodzi? Kilka tysięcy?

– Nie-nie-nie, to głupstwo!

– Mów!

– Sto koron.

Wyszłam do przedpokoju po portfel. Pobiegła za mną.

– Nic nie chcę! Zapomnijmy o tym!

Wyjęłam banknot stukoronowy i spytałam, czy na pewno nie więcej, bo pożyczał od niej przez całe życie. Nie chciała przyjąć. Nie odpuszczałam. Nic nie chciała. Nalegałam. Zamachała rękami w odmownym geście. Prosiłam. Nie-nie-nie. W końcu popchnęłam ją przedramieniem. Nie wiem, co mnie naszło. Prawie straciła równowagę, ale mi oddała. Ważyła czterdzieści pięć kilo, miała blisko osiemdziesiąt lat, była wyjątkowo ładna i silniejsza ode mnie.

Opanowałyśmy się.

Patrzyłam na kobietę, która przez całe życie opiekowała się najmłodszym bratem. Odrabiała za niego lekcje, opierała go, dawała mu pieniądze i dbała o mnie. Przygotowywała mi kąpiel, kręciła włosy rozgrzaną do czerwoności lokówką i skrzeczącym głosem śpiewała piosenki z *Min skattkammare*¹⁴⁰.

Bez Majken bylibyśmy jak bez ręki.

To dlatego pewnego letniego dnia tata pojechał do niej z drzewkiem pomarańczowym, które sam wyhodował.

– Widzisz? – powiedział, pokazując mi dwie pomarańcze wielkości winogron.

Dar miłości.

Dar miłości umarł parę tygodni później.

Nie wiem, co Majken sobie o mnie pomyślała. Wzięła sto koron i wróciła do kuchni.

Plastikowe worki szybko się zapełniły: klubowa marynarka i gabardynowe spodnie taty, moje stare sukienki i sandały od Grimaldich, wielkanocne bieźniki, miedziane naczynia, zupa z owoców dzikiej róży, pudding ryżowy w folii, trzydziestoletnia puszka białej fasoli Heinza, nowe pismo pornograficzne, co mnie trochę ucieszyło, i opakowanie płatków śniadaniowych.

Szast-prast i do worka.

Ostatni był kryształowy żyrandol, który kiedyś wisiał na Björkgatan. Stearynowe świece nigdy nie zostały zapalone.

Skończyliśmy.

W pokoju dziennym spojrzałam w okno. Jak zwykle elektrociepłownia świeciła na czerwono dla żywych i umarłych. Najpiękniejszy budynek, jaki kiedykolwiek widziałam. Kiedyś na jego widok tata rozłożył ramiona jak do skoku do wody. Z gracją, tajemniczo. Niemal przerażająco.

Stacja segregacji odpadów znajdowała się na Malmabergsgatan obok Zakładów Metalurgicznych. W samochodzie było zimno. Na kolanach trzymałam jedyny kwiat doniczkowy z Rönnergatan, który nie był ani z plastiku, ani z jedwabiu. Pokażna roślina wisząca o groszkowozielonych, okrągłych, lekko karbowanych liściach. Stała na stole w kuchni i czekała na mnie, jak trzecia róża w wierszu Nilsa Ferlina, która „rozkwita dopiero po śmierci ofiarodawcy, ale kwitnie dość długo, kochanie”¹⁴¹. Zdecydowałam się na ten wiersz, kiedy miałam piętnaście lat, i umieściłam go w nekrologu.

W późne zimowe popołudnie promienie zachodzącego słońca obrysowały nieczynne zabudowania fabryczne. Kopparlunden było

obecnie muzeum przemysłu i centrum kultury, mieściły się tutaj sklepy, firmy zajmujące się leasingiem pracowniczym i firmy IT.

Kiedy wyrzucaliśmy kryształowy żyrandol i łóżko z radiem, zobaczyłam znajomą twarz. To był Micke, mój rówieśnik, z którym pobiłam się w trzeciej klasie. Posprzeczaaliśmy się po meczu w palanta i rzuciliśmy na siebie z pięściami. W końcu się poddał – z płaczem i z rozciętą wargą. Inni chłopcy nie mogli wyjść z podziwu. Dziewczyna przyłożyła chłopakowi! Pani Margit też była zadowolona, Mickego wolno było bić. Kiedy opowiedziałam o swoim wyczynie tacie, nie usłyszałam pochwały, której się spodziewałam.

– Ten chłopak na pewno nie ma lekko.

Mimo to parę lat później próbowałam powtórzyć swój wyczyn, ale nie spotkałam się z aplauzem. Nikt w klasie nie rozumiał, dlaczego zaatakowałam Mickego. Co on ci zrobił? Nic.

Nie widziałam go od dwudziestu lat. Ucieszyłam się i lekko zawstydyłam. Szukając jego spojrzenia, upuściłam lustro z przedpokoju. Głęboko rozcięło mi dłoń, krew skapywała na śnieg, tworząc malutkie błyszczące kałuże. Wyglądały jak kamienie w pierścionku, który dostałam od taty po jednej z naszych nielicznych kłótni o alkohol. Poszłam do samochodu po papierową chusteczkę, żeby zatamować krew, a kiedy wróciłam, Mickego nie było.

Przyniosłam mamie radziecką encyklopedię, której tata nie chciał jej oddać.

– Co to jest? – spytała. – Aha!

Wyjmowała z torby tom po tomie. Pobieżnie przeglądała. Zaskoczona. Prawie zapomniała o encyklopedii, o którą przez kilka lat się upominała. Zapamiętała ją jako dużo większą. Cięższą. Bardziej żółtą.

Tata miał prawie sześćdziesiąt jeden lat, kiedy zmarł. Średnia wieku Szwedów wynosi siedemdziesiąt osiem lat. Samotny mężczyzna, bez kobiety, rzadko żyje tak długo. Członek LO statystycznie powinien żyć osiem lat krócej niż ktoś z wyższym wykształceniem. Mimo to tata umarł młodo i dlatego został przewieziony do Zakładu Medycyny Sądowej w Uppsali, parę minut rowerem od mojego miejsca pracy.

Nie miałam pojęcia, że przez chwilę był tak blisko mnie. Dowiedziałam się o tym dopiero wtedy, kiedy dostałam pocztą protokół sekcji zwłok.

Zdziwił mnie jego zrozumiały język. Przeczytałam, że grubość tkanki tłuszczowej na wysokości pępka wynosiła 2,5 centymetra, głowę porastały szpakowate włosy o długości około 10 centymetrów, z tyłu, na plecach, były w pełni wykształcone, zlewające się, sinoczerwone plamy pośmiertne. Brak śladów obrażeń zewnętrznych, ruchomość głowy w normie, zewnętrzne narządy płciowe i otwór odbytowy bez uwag i nieuszkodzone. Wniosek był taki, że tata nie był narażony na żadną przemoc zewnętrzną. Żołądek zawierał 600 mililitrów lekko przelewającego się płynu, resztek pokarmu brak, ślady po paracetamolu. Inaczej mówiąc, nie zatrzał się tabletkami. Zmarł śmiercią naturalną.

Mózg ważył 1250 gramów i miał normalny kształt. Ogólne rozległe zwapnienia tętnic. Serce ważyło 516 gramów, naczynia wieńcowe były tak stwardniałe, że nie dało się ich rozciąć. W lewej komorze widoczna duża szarawa blizna wielkości 5 na 4 centymetry po przebyłym rozległym zawale, o którym nie wiedział. Przypuszczalnie poczuł okropny ból, ale ani myślał pójść do lekarza.

Wątroba ważyła 1635 gramów i w przekroju była tylko lekko otłuszczona. Czyli alkohol nie zniszczył go aż tak, jak wielu sądziło.

Jedno płuco ważyło 733 gramy, drugie – 1184. To wyjaśniało, dlaczego cierpiał na silny ból pleców. Przez kilka miesięcy miał ostre zapalenie jednego płuca, wypełnionego ropą i płynem, co nie powstrzymało go przed chodzeniem do pośredniaka i warsztatu stolarskiego. Nie chciał się leczyć.

Ordynator napisał we wniosku, że tata zmarł z powodu obrzęku

płuc, czyli dużej ilości płynu w płucach, przebytego zapalenia prawego płuca i dużego zwapnienia serca.

Przejrzeli go od stóp do głów. Wyjmowali, mierzyli i ważyli każdy organ, wszystko z wyjątkiem języka i oczu. Wyobraziłam sobie, jak ludzie w zielonych kitlach i plastikowych fartuchach ochronnych wycinają ociekające krwią kawałki, wkładają do nierdzewnych misek i stawiają na wadze. Zimny dźwięk. I jak sobie pomagają, żeby go odwrócić. Głuchy odgłos członków uderzających o stół sekcyjny. Białe światło lampy chirurgicznej. Niesentymalny raport martwego ciała informujący o ciężkiej pracy, niechlujnym życiu i samotności.

Protokół mógł wzbudzić we mnie obrzydzenie, tymczasem czułam jedynie wdzięczność, że ktoś przez chwilę okazał tacie zainteresowanie, że ktoś się nad nim pochylił, mimo że wykonywał tylko swoją pracę.

Czekając na pogrzeb, przejrzałam papiery i fotografie w komóдке taty. Było tam trochę większe zdjęcie drużyny Klubu Sportowego Skiljebo, którego wcześniej nie widziałam. Tata, z fryzurą na Elvisa, siedzi w kucki w klubowej koszulce ze starannie podwiniętymi rękawami, która przypomina zwykłą koszulę, bo na czarno-białym zdjęciu nie widać żółto-czarnych barw klubowych. Ma siedemnaście lat, właśnie skończył trzyletnią szkołę przemysłową i dostał etat w Zakładach Metalurgicznych, gdzie od dawna pracowali jego ojciec i bracia. Za nim stoi zadowolony trener, chudy, w szarym robotniczym garniturze.

Na odwrocie tata napisał, że zakończyli sezon 1958/1959 na drugim miejscu. W czerwcu 1958 roku Szwecja przegrała z Brazylią w meczu finałowym Mistrzostw Świata w Piłce Nożnej. To okres żniw dla socjaldemokratów. Rządowi udało się przeforsować wprowadzenie powszechnej renty uzupełniającej z tytułu zarobków i Tage Erlander miał przed sobą jeszcze dziesięć lat premierowania.

Tylko tata patrzy w obiektyw aparatu. Jest tak przystojny, że aż przymykam oczy z wrażenia.

W jego spojrzeniu jest coś, co przywodzi mi na pamięć dwie linijki wiersza Gunnara Ekelöfa. Nikt mnie nie ma, zdaje się myśleć tata, przeświadczony, że przed nim całe życie.

„Nikt mnie nie ma
nawet ja”.

W małym ciemnoczerwonym blaszanym pudełku po cygaretkach Ritmeester Livarde było pięć zdjęć z automatu, które można było zrobić w domu towarowym EPA albo na dworcu. Rozpoznałam Krychola, tego z Irsty. Drugi mężczyzna też był z Irsty, a trzeci i czwarty z Kärrobo. Nawet sympatyczni, ale kiedy do nas przychodzili, wcale nie było fajnie. Ich hałaśliwe rozmowy o niczym zagłuszały telewizor. W końcu zasypiałam na kanapie. Następnego dnia rano biegłam do swojego pokoju, wyjmowałam lalki, którymi nigdy się nie bawiłam, sadzałam je w kole na łóżku, wskazywałam na nie palcem, mówiłam: „Ty jesteś Elsa, ty jesteś Sune, ty jesteś...” – i biłam je tak mocno, że lądowały na podłodze. Potem mężczyźni

i lalki zniknęli z mojego życia. Wiele lat później, kiedy wpadłam do taty z krótką wizytą i zobaczyłam Sunego na kanapie, zszokowana odwróciłam się na pięcie i pojechałam z powrotem do Uppsali.

Tata zadzwonił wieczorem.

– Mówiłem mu, żeby sobie poszedł, bo zaraz przyjdzie dziewczuszka, ale skurczybyk siedział dalej, jakby nigdy nic. Było mi wstyd. Kupiłem dla nas raki.

– To ja powinnam cię przeprosić. Nie powinnam była tak po prostu wyjść. Zachowałam się jak dziecko.

Na piątym zdjęciu była Sonia w wieku dwudziestu pięciu lat. Jasne włosy zaczesane do tyłu, przy uszach korkociągi, prosty drobny nosek, czarny eye-liner. Jest trochę podobna do Pii Degermark w *Miłości Elwiry Madigan*. Tata miał rację, ona rzeczywiście była tak piękna, że zapierało dech w piersiach. Na zdjęciu nie jest sama. Układa wargi jak do pocałunku, który adresuje do mężczyzny z bokobrodami. To nie jest tata, to ktoś inny, ktoś, kto chce wyglądać jak Ralf Edström. Sonia dała tacie zdjęcie, na którym wymienia czułości z jakimś obcym facetem, a tata je zachował.

Wychodząc z bloku, zauważyłam, że na drzwiach Soni jest inne nazwisko. W spisie telefonów, który tata nosił w portfelu, nie było nikogo o imieniu Sonia ani Anita. W jednej linijce była „Veronica”, i tyle.

Ten spis nie dawał mi spokoju. „Paproch, Czacha, Buster, Wężu, Hoffa, Babben, Kwiatek, Bella, Cycata Britta...”. Co to za ludzie?

Znałam go tylko jako mojego tatę. Nic nie wiedziałam o jego innym życiu. Kiedy się od niego wyprowadziłam, na pewno wydarzyło się mnóstwo rzeczy, ale nigdy nie byłam ich ciekawa. I nigdy go o to nie zapytałam.

W pierwszej linijce było moje imię. Pod spodem „Alko” i numer do weekendowego meliniarza. Byłam zdezorientowana i zdziwiona, mimo że z tego wpisu nie dało się wywnioskować, ile tata pił. Może uśmierzał ból pleców, może miał okresy nawrotów? Czy to był numer alarmowy, czy jego dzień powszedni? Odkąd stracił pracę, ani razu nie widziałam ani nie słyszałam, żeby był pijany.

Tak czy inaczej, ucieszyło mnie, że moje imię jest na pierwszym

miejscu.

W papierowej torbie było świadectwo pracy i wypowiedzenie umowy o pracę. Na przełomie lat 1991 i 1992 dział mechaniczny Zakładów Metalurgicznych zmienił właściciela i mógł zatrudnić tylko połowę załogi. Ubolewają, że jedną z konsekwencji powyższego jest to, że Leif został zwolniony. W długim okresie zatrudnienia wykonywał wszystkie rodzaje obróbki cieplnej większości gatunków stali, zarówno szybkoznących, jak i narzędziowych. W zakres jego obowiązków wchodziło również serwisowanie pieców, polegające na wymianie anod i pirometrów, i w pewnej mierze kontakt z klientami. Praca była samodzielna, a Leif godnym zaufania, fachowym pracownikiem.

Nie wspomniano, że był najlepszym hartownikiem w Szwecji.

Tata powiedział, że składając podpis pod wypowiedzeniem, czuł się tak, jakby podpisywał na siebie wyrok śmierci. Mimo to zrobił to pewną ręką. Ale podpis wygląda inaczej niż zwykle. Długo myślałam, zanim odkryłam, że napisał „Leif B. Andersson”. B jak Boris, jego drugie imię.

Bezrobotny, ale gramotny. Leif B. Andersson był kimś.

Albo może dodał B, próbując sobie wmówić, że to nie on został bez pracy. Leif B. Andersson to był ktoś inny.

Cmentarz Hovdestalund leżał pod śniegiem. Był ogromny, niezmierny. Kiedy wysiadłam z samochodu, podszedł do mnie kuzyn Martin, syn Rolfa. Zawsze go lubiłam. Przez jakiś czas był kolegą taty z pracy. Tatę zwolnili, on został. Wyciągnął do mnie rękę i oboje się rozpłakaliśmy. Jego dłonie powoli zaczynały się upodabniać do dużych dłoni taty.

Szpony.

Siostry i bracia taty już byli w przedsionku kaplicy. Wielu nie widziałam od lat. Próbowałam zamienić z nimi kilka słów. Przeszli dalej, mijając mamę, jakby znalazła się tam przez pomyłkę.

Kiedy zobaczyłam mamę obok Erlanda – jedyne go brata taty, który wyprowadził się z Västerås, żeby pracować w Zakładach Metalurgicznych w innym mieście – z głębin mojej pamięci wypłynęło odległe wspomnienie. Jesteśmy w jakimś domu, wszędzie mnóstwo ludzi. Jest lato. Tata wchodzi do środka, żeby ochłodzić się piwem. Mama i ja obejmujemy go w drzwiach, kiedy nagle wpada Lilly, pudełka Erlanda. Tata robi taki ruch, jakby chciał zamknąć drzwi i przytrzasnąć jej głowę, ale się powstrzymuje. To żart.

– Parszywy kundel – mówi, a mama uśmiecha się porozumiewawczo.

Patrzę na nich, odczuwam ulgę i lekkie rozczarowanie, że tata go nie uśmiercił.

Zabrałam Amandę i Maxima do kaplicy, żeby pokazać im trumnę. Wbrew moim obawom wcale nie była taka brzydka. Trochę przypominała „Åsę”, łódź taty.

Największa wiązanka była od „przyjaciół z osiedlowej restauracji Västerport”, dzięki czemu domyśliłam się, co to za jedni Buster, Kwiatek, Hoffa i inni. Tata miał kumpli, może z warsztatu stolarskiego, z którymi spotykał się w restauracji i którym, jak to on, nadał ksywki. Szkoda, że nie mieli odwagi przyjść.

Bukiet z mimoz i frezji, ulubionych kwiatów taty, opasywała jedwabna wstążka z napisem „Dziękuję za Åsę”. Wiązanka od mamy.

Rolf, jedyny z rodzeństwa, kupił wieniec „z ostatnim

pożegnaniem”. Inni pewnie uznali, że już aż nadto się na tatę wykosztowali albo że to zbędne, bo przecież to tylko Leffe.

Byli podekscytowani, że znowu się zebrali, i hałasowali jak uczniaki w kolejce w szkolnej stołówce. Na próżno mistrzyni ceremonii pogrzebowej prosiła o ciszę podczas bicia dzwonów. Siedziałam w ławce i czułam się zagubiona. Z tyłu stali Berit i Börje, oboje smutni. Od kilku lat byli najlepszymi przyjaciółmi taty. Nie wiem, jak się poznali, widziałam ich po raz pierwszy. Byli dla taty ważni, od razu zrozumiałam, dlaczego świetnie się czuł w ich towarzystwie. Innych przyjaciół nie było, ale w kombinezonie roboczym przyszedł majster z warsztatu stolarskiego, o którym tata tak dobrze mówił. Dzięki jego obecności uczczono pamięć taty jako zasłużonego robotnika.

Za plecami słyszałam narzekania, że na pogrzebie nie ma pastora. Kenneth Kvist zagrał na flecie poprzecznym *Sov på min arm*¹⁴² i te niespieszne, subtelne dźwięki kompletnie mnie rozłożyły. Przypomniałam sobie duże bezpieczne ramiona taty i jego jasne twarde włosy pod pachami, trochę podobne do sitowia na przystani żeglarskiej.

Rodzeństwo, zegnając tatę przy trumnie, zdawało się myśleć: Ale ci urządziła pogrzeb, Leffe! Proszę, kim się stała ta twoja dziewczuszka. Jest taka sama jak Tania.

Przyprawili mnie o wstyd, że w ogóle tam jestem.

Na końcu podeszła mama z Maximem na rękę. Położył jej kwiatek. Ładnie razem wyglądali.

I było po wszystkim. Załobnicy poszli na tort kanapkowy. Ja wróciłam do taty.

Nareszcie zostaliśmy sami. On się nie obudził. Ja się nie bałam.

Między nami nie było ani szklanki piwa, ani czarującego uśmiechu. Ani drgnięcia kącika ust w zadumie, ani papierosa, ani żartu. Żadnej niewypowiedzianej tęsknoty za mamą, za innym losem, żadnego marzenia o innym życiu. Był tylko tata i ja.

Pogłaskałam trumnę tam, gdzie miał głowę. Podeszłam do drugiego końca i wychyciłam zapach jego stóp.

Wracaliśmy do Uppsali okreśną drogą obok Zakładów Metalurgicznych. Ogrodzenia i strażników nie było, teraz każdy mógł tam wejść i obejrzeć fabryczne szeregowce. Zajmowały dużo większy obszar, niż sobie wyobrażałam, i wyglądały zupełnie inaczej, niż je zapamiętałam. Najstarsze zabudowania – z bladopomarańczowej cegły, ze szlaczkami w białe kwiatki – miały sto lat i na swój sposób były piękne. I obce. I może o to chodziło. Praca taty na zawsze pozostanie dla mnie czymś niedostępnym, nigdy nie będę tego dociekać z obawy, że mogłoby to zburzyć moje wyobrażenia o nim.

Za szeregowcami znajdował się główny budynek. Przypominał starą fabrykę. Niemal się spodziewałam, że na kamiennych schodach pojawi się pryncypał. Nikt mi nie wierzy, mawiał tata, że wszystko jest przestarzałe. Że czas się tam zatrzymał, że wszystko wygląda tak jak wtedy, kiedy byłem chłopcem i kiedy ojciec był młody.

W dzieciństwie myślałam o tacie jak o poskramiaczu smoków, ale w gruncie rzeczy to smoki go poskromiły. Ani razu nie zatęsknił za powrotem do Zakładów Metalurgicznych, kiedy ostatni raz odbił kartę.

Minęliśmy Finnslätten¹⁴³, jedno z największych w Europie miejsc pracy. Tysiące robotników wykonywało obwody drukowane, przekaźniki, roboty, nastawnie i przyrządy kontrolne. Anonimowi ludzie, którzy samochodami albo autobusami wracali do swoich domów. Jeśli ktoś nie wiedział, że tam są, nie miał pojęcia, że w ogóle istnieją.

Västerås zostało za nami. W równych odstępach czasu nasze twarze oświetlały światła na E18. Za oknami rozpościerały się ośnieżone pola Irsty, gdzie pewnego letniego gorączkowego poranka tata i ja widzieliśmy rysia. Anders koncentrował się na prowadzeniu samochodu. Amanda, z tyłu za nim, w milczeniu patrzyła na ciemny zimowy wieczór.

Maxim siedział za mną w dziecięcym foteliku i kopał w oparcie mojego fotela.

– Mamo, czy dziadek Leif jest teraz nieżywy? Dlaczego? Dlaczego

jest nieżywy?

Popatrzyłam na wnuki taty i uświadomiłam sobie, że one nigdy nie zrozumieją, że kanapka z chlebem od Lundiusa smakuje inaczej niż zwykła kanapka. I że nie będę umiała im wytłumaczyć, jakie to uczucie zasypiać obok kogoś spracowanego, kto pachnie potem, piwem i samotnością, i zuchwałym marzeniem o solidarności i sprawiedliwości.

Po raz milionowy obraz przetoczyły mi się przez głowę. Słyszę dźwięk otwieranych drzwi, kiedy tata przekracza próg przedszkola i wyciera buty.

– Hej, staraniuniu, fajnie cię widzieć – mówi, odwzajemnia mój uścisk i bierze mój rysunek księżniczki w sukni ślubnej.

A potem sadza mnie na bagażniku i naciska na pedały. Jedziemy do babci i dziadka na sandacza z Mälaren.

Mój tata i ja.

Podziękowania

Dziękuję Thomasowi Anderbergowi, Pii Bergström, Samuelowi Edquistowi, Martinowi Lindemu, Johnowi Swedenmarkowi, Andersowi Thorému, Jenny Tunedal i tym wszystkim, którzy pomogli mi w pracy nad tą książką. Szczególne podziękowania kieruję do Erika Wijka.

Autorka

¹ Nazwa fabryki odsyła do Mimira, mitologicznego strażnika źródła mądrości. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

² Konsum – szwedzka sieć supermarketów.

³ Gunnar Sträng (1906–1992) – szwedzki polityk, od 1945 r. urzędnik ministerialny i parlamentarzysta z ramienia socjaldemokratów, piastujący m.in. funkcję ministra rolnictwa (1948–1951), ministra ds. społecznych (1951–1955) i ministra finansów (1955–1976).

⁴ Axel Robert Petersson (1868–1925), znany jako Döderhultarn (od miejsca ur.) – szwedzki rzeźbiarz w drewnie, samouk, twórca małych i średnich (25–70 cm) figurek zwierząt i nieco karykaturalnych postaci smalandzkich chłopów, księży, żołnierzy. Jego prace osiągają ceny rzędu kilkuset tysięcy koron.

⁵ „Vestmanlands Läns Tidning” – liberalny dziennik poranny, wychodzący w Västerås od 1831 r.

⁶ Cassino, casino albo California Cassino – klasyczna wykładana gra karciana, polegająca m.in. na liczeniu punktów.

⁷ Szw. *tabbe*, ang. *sweep* – jednorazowe zebranie wszystkich wyłożonych kart.

⁸ Popularna piosenka Ulfa Pedera Olruga (1919–1972) *Tjo och tjim och inget annat* (1946, 'Hopsa i siup, i już').

⁹ Mellanöl – historyczna klasyfikacja piwa w Szwecji według zawartości alkoholu. W latach 1965–1977 – 3,6 proc., obecnie – ok. 4,5 proc.

¹⁰ Otto Lundius – założyciel piekarni w Västerås, istniejącej w latach 1869–2007.

¹¹ 'Ser pastora'.

¹² Dagmar Hagelin (1959–1977?) – Argentynka z podwójnym obywatelstwem, argentyńskim i szwedzkim, ofiara tzw. brudnej wojny prowadzonej przez argentyńską juntę w latach 1976–1983.

¹³ Nadziewane dropsy czekoladowe firmy Cloetta.

¹⁴ Batoniki z mlecznej czekolady nadziewane toffie, w jednym kawałku lub w cząstkach, firmy Cloetta.

¹⁵ Rozruchy głodowe spowodowane brakiem żywności, podczas których robotnicy domagali się m.in. wydania zapasów kartofli.

¹⁶ Jan Birger Sparring (1930–1992) – po krótkiej karierze operowej (bas-baryton) niezwykle popularny śpiewak w Kościele zielonoświątkowym, często obecny w radiu i telewizji, nagrał przeszło 20 płyt.

¹⁷ Lars Ekborg (1926–1969) – szwedzki aktor teatralny, rewiowy i filmowy.

¹⁸ Lennart „Nacka” Skoglund (1929–1975) – szwedzki piłkarz, napastnik skrzydłowy, brązowy medalista MŚ 1950 i srebrny MŚ 1958.

¹⁹ Jan Fridegård (1897–1968) – szwedzki pisarz, zaliczany do proletariackich. *Offerrök*

(‘Dym ofiarny’) stanowi ostatnią część trylogii traktującej o wydarzeniach w czasach wikingów.

²⁰ Magnus Härenstam i Brasse Brännström – szwedzki duet komików, popularny w latach 70., znany m.in. z cyklicznego programu TV dla dzieci *Fem myror är fler än fyra elefanter* (‘Pięć mrówek to więcej niż cztery słonie’) i występów kabaretowych.

²¹ Stefan Demert (ur. 1939) – szwedzki bard, autor ballad i piosenek burleskowych przesyconych wiejskim komizmem.

²² Rolf Oskar Lorentz Bengtsson (1931–1976) – szwedzki aktor, komik i piosenkarz, uczestnik wielu programów rozrywkowych w TV, gospodarz telewizyjnego show *Bengtssons vansinniga värld* (‘Zwariowany świat Bengtssona’), popularny aktor dubbingowy filmów dla dzieci.

²³ Hasseåtage – Hans „Hasse” Alfredson (ur. 1931) i Tage Danielsson (1928–1985) – szwedzki duet komików, pisarzy, reżyserów, producentów rewii i filmów z ich udziałem, aktywnych od lat 50. do śmierci Danielssona. W 2006 r. w Tomelilli powstało poświęcone im muzeum.

²⁴ Maj Lillemor „Lill” Lindfors (ur. 1940) – szwedzka piosenkarka, komiczka i aktorka, kompozytorka i autorka tekstów własnych show i musicali, ambasadorka UNICEF-u.

²⁵ Ernst Egon Kjerrman (1920–2007) – szwedzki kapelmistrz i kompozytor, producent, dyrygent radiowej orkiestry rozrywkowej i orkiestry regionalnej w Karlskronie.

²⁶ ‘Chleb i Ryby. Solidarność w Praktyce’ – fundacja założona w 1972 r. w Västerås, zbierająca środki na rzecz potrzebujących w Szwecji (m.in. organizująca targi odzieży używanej) i wspierająca projekty pomocowe i programy edukacyjne na świecie.

²⁷ Gra planszowa, w niektórych krajach nazywana chińskimi warcabami.

²⁸ Czarne albo czerwone – gra karciana, jedna z odmian tzw. gry alkoholowej (alkohol można zastąpić dowolnym napojem, np. sokiem), polegająca na odgadnięciu koloru pierwszej karty z talii. Błąd kosztuje wypicie jednego łyka. Po trzech trafieniach gracz może wprowadzić swoje reguły, np. przed karniakiem trzeba puknąć w stół, nikt nie może powiedzieć „czarne” itp.

²⁹ Szw. killelek albo campio – zniekształcona nazwa włoskiej gry karcianej cambio, nowszej wersji XVII-wiecznej cuccú, włoskiej przeróbki francuskiej gry hazardowej coucou, wymyślonej ok. 1500 r. W pld. Niemczech, Austrii i Szwajcarii znana pod nazwą Hexenspiel i Vogelkarten.

³⁰ Szw. *Stoppa sabbet!* – hasło zainicjowanej w 1980 r. kampanii szwedzkiego Urzędu Telekomunikacyjnego przeciwko demolowaniu budek telefonicznych. Rysunki zaangażowanych w nią dzieci szkolnych zostały później wykorzystane na okładkach książek telefonicznych.

³¹ John Blund (‘Jan Dobranocka’) – lalka z pierwszego w Szwecji programu TV przy kawie ‘Wpół do siódmej’ emitowanego codziennie w Telewizji Szwedzkiej w latach 1971–1973.

³² Postaci szwedzkiego serialu animowanego wzorowanego na książce Eduarda Uspienskiego *Krokodyl Giena i przyjaciele*, nadawanego w ‘Szwedzkim Magazynie’ – popularnym programie

TV przy kawie emitowanym w latach 1973–1978.

³³ ‘Kåcik Hylanda ABC’ – książka wydana w sezonie 1966 przez ‘Kåcik Hylanda’ (popularny szwedzki talk-show Lennarta Hylanda, emitowany w Telewizji Szwedzkiej w latach 1962–1983), na którą złożyły się wierszyki widzów zilustrowane przez znanych artystów. Rozeszła się w nakładzie przeszło pół miliona egzemplarzy.

³⁴ Bo Balderson – pseudonim nieznanego autora (albo grupy autorów) powieści kryminalnych ukazujących się w latach 1968–1990, których akcja rozgrywa się w kręgach rządowych.

³⁵ Oryg. *Pippi Långstrump på de sju haven* – film (1970).

³⁶ ‘Uwaga! Dzieci’.

³⁷ Bohater książki obrazkowej Serge’a Danota i Jacques’a Charriére’a *Mimmi och Pollux bygger hus* (‘Mimmi i Pollux budują dom’), trzeciej z popularnej serii *Karusellböckarna* ukazującej się w latach 1967–1969 (zob. www.libris.kb.se).

³⁸ Sala koncertowo-taneczna.

³⁹ Najbardziej wpływowa w Szwecji grupa uprawiająca muzykę progresywną, założona w 1970 r. przez Mikaela Wiehe, Björna Afzeliusa i Petera Clemmedsona. Nazwa zespołu odsyła do okrzyku bojowego termitów z kreskówki o Kaczorze Donaldzie.

⁴⁰ Przebój z 1973 r. zespołu Schytts grającego muzykę taneczną. Słowa i muzyka: Rune Wallebom.

⁴¹ ‘Goguś na klozecie’ – książeczka dla dzieci Anniki Elmqvist z jej rysunkami, wydana w 1970 r., krytykowana i chwalona za radykalne przesłanie polityczne. „Fekalny przełom w szwedzkiej literaturze dziecięcej”.

⁴² Lusen – składanie weszek z ponumerowanych elementów, które trzeba wyrzucić kostką. Np. głowa – 2, oko – 4 etc. Grę rozpoczyna ten, kto wyrzuci najwięcej punktów.

⁴³ ‘Fridolfik’ – tytułowy bohater cyklu słuchowisk radiowych (łącznie 40) Runego Moberga emitowanych od 1955 r., czterech filmów fabularnych i komiksów. Rzecz o pantoflarzu i jego żonie Selmie, która wie, jaki z tego zrobić użytek.

⁴⁴ Jedna z wersji popularnej w Szwecji przyśpiewki żeglarskiej *Mugge Vigge*.

⁴⁵ Luterkańska organizacja pomocowa w Kościele Szwedzkim, początkowo sekcja szwedzka założonej w 1947 r. Światowej Federacji Luterkańskiej, w 2008 r. połączyła się z organizacją misyjną Kościoła Szwedzkiego (SKM) i pod wspólną nazwą Międzynarodowa Praca Kościoła Szwedzkiego działała na rzecz najuboższych i najbardziej potrzebujących. Lutherhjälpen wydawała m.in. pismo pod tym samym tytułem.

⁴⁶ Domus – szwedzka sieć supermarketów.

⁴⁷ Tzw. czerwone grzbiety – seria książek dla dziewcząt ukazujących się w wydawnictwie Wahlströms.

⁴⁸ Funkisgatan – „funkis” od „funkcjonalizm” w architekturze.

⁴⁹ Gustav Möller (1884–1970) – szwedzki polityk, sekretarz partii socjaldemokratycznej (1916–1940), od 1917 r. parlamentarzysta, minister handlu (1938–1939), z przerwami minister ds. socjalnych (1924–1951).

⁵⁰ 'Nowy Dzień' – dziennik Szwedzkiej Partii Komunistycznej, później Partii Lewicy – Komuniści, wychodzący od końca grudnia 1929 r. do sierpnia 1990 r.

⁵¹ Z: *Pieśń o solidarności* (1930) Bertolta Brechta i Hannsa Eislera.

⁵² Niewielka miejscowość w Norbotten, gdzie zimą 1939–1940 internowano 300–370 szwedzkich komunistów, syndykalistów, pacyfistów i radykalnych socjaldemokratów, uznanych za zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa na wypadek wojny ze Związkiem Radzieckim. W Storsien znajdował się obóz dla internowanych i obóz pracy.

⁵³ VI Światowy Kongres Związków Zawodowych w Warszawie w dniach 8–22 października 1965 r.

⁵⁴ Carl-Henrik Hermansson (1917–2016) – szwedzki polityk, w latach 1964–1975 lider Komunistycznej Partii Szwecji (SKP), od 1967 r. Partii Lewicy – Komuniści (VPK), parlamentarzysta (1963–1985), zwolennik rozluźnienia więzi z ZSRR i przyłączenia się do eurokomunizmu. Na kongresie w 1967 r. uchwalono deklarację o współpracy ze wszystkimi ruchami, partiami i grupami walczącymi o pokój, narodową niezależność, wolność i socjalizm. W 1968 r. opowiedział się przeciwko wejściu wojsk Układu Warszawskiego do Czechosłowacji i domagał się natychmiastowego zamrożenia stosunków dyplomatycznych z ZSRR. Dwa lata później stonował krytykę gwoli „utrzymania dobrych stosunków” z czechosłowacką partią komunistyczną.

⁵⁵ 20 maja 1902 r. – wyzwolenie Kuby spod okupacji USA.

⁵⁶ Dosł.: „Burżuazja stwarza sobie świat na obraz i podobieństwo swoje” w: *Manifest Partii Komunistycznej*.

⁵⁷ Arvid Falk – bohater powieści Augusta Strindberga *Czerwony pokój*.

⁵⁸ Sven „X” Erixson (1899–1970) – malarz ekspresjonista, profesor Szwedzkiej Królewskiej Akademii Sztuki w Sztokholmie w latach 1943–1953.

⁵⁹ Göran Palm (1931–2012) – szwedzki poeta („poezja nowej prostoty”), krytyk literacki i społeczny, redaktor pism literackich, tłumacz (m.in. Różewicza).

⁶⁰ Najstarsza restauracja w Sztokholmie, założona w 1772 r. na Gamla Stan, miejsce spotkań wybitnych osobistości szwedzkiej kultury.

⁶¹ Trawestacja słów Gustawa Wazy z 1527 r., w wolnym przekładzie: „Wszyscy są na nie, każdy woli siedzieć cicho”.

⁶² Refren protest songu *Vi måste höja våra röster* Margarety Garpe i Suzanne Osten (muzyka: Gunnar Edander) ze sztuki *Tjejsnack* (1971, 'Dziewczyńskie gadanie'), który znalazł się na płycie *Sånger om kvinnor* ('Songi o kobietach').

⁶³ W referendum przeprowadzonym 23 marca 1980 r. znalazły się trzy propozycje (tzw.

linjer) zgłoszone przez trzy bloki polityczne. Trzecia propozycja – Partii Centrum, Partii Lewicy – Komuniści i Partii Zielonych – „zakładała zlikwidowanie w ciągu 10 lat sześciu już pracujących elektrowni jądrowych, wstrzymanie procesu uruchamiania i budowy dalszych bloków jądrowych, zakaz eksploatacji szwedzkich złóż uranowych oraz zakaz eksportu technologii atomowej” (Grzegorz Jezierski, *Energetyka jądrowa w Szwecji. Najlepsza w surowym klimacie*, <http://gigawat.net.pl/article/articleprint/360/-1/41/>).

⁶⁴ Lars Helge Werner (1935–2013) – w latach 1975–1993 przewodniczący VPK, członek Riksdagu (1965–1994).

⁶⁵ Flagowy projekt socjaldemokratów, zakładający rozbudowę huty stali w Luleå, zastopowany przez nowy rząd w 1976 r.

⁶⁶ ‘Klub śniadaniowy’ (1946–1951, 1954–1978), ‘W minutę’ (1969–), ‘Zadzwoń, zagramy’ (1968–) – cykliczne audycje rozrywkowe emitowane w soboty w różnych programach Szwedzkiego Radia. Sigge Fürst (1905–1984) – szwedzki aktor, piosenkarz, artysta estradowy, gospodarz programów rozrywkowych.

⁶⁷ ‘Marzenie o Elin’ (1970) – piosenka Petera Himmelstranda do melodii *Borgholmsvalsen* (‘Borgholmski walc’) ölandzkiego muzykanta Olaus Nilssona.

⁶⁸ ‘List z kolonii’ – szwedzka wersja Cornelisa Vreeswijka (1965) parodii Allana Shermana *Hello Muddah, hello Fadduh*.

⁶⁹ Moltas Erikson (1932–1988) – szwedzki artysta estradowy i czynny zawodowo lekarz psychiatra, znany m.in. z telewizyjnych programów rozrywkowych i medycznych.

⁷⁰ Stig Järrel, właśc. Ohlson (1910–1998) – wszechstronnie utalentowany szwedzki aktor teatralny i rewiowy.

⁷¹ Lasse Berghagen (ur. 1945) – szwedzki piosenkarz, tekściarz, kompozytor, gospodarz programów muzycznych i rozrywkowych, człowiek instytucja. Piosenka o starym mężczyźnie *En kväll i juni* (‘W pewien czerwcowy wieczór’), znana również jako *Han tog av sig sin kavaj* (‘Zdjął marynarkę’), to wielki przebój Lassego Berghagena z końca lat 60., śpiewany do dzisiaj.

⁷² Do 1933 r. swastyka była logo Asei.

⁷³ Diplomatstaden, Miasto Dyplomatów – osiedla willowe Ambassador i Dyplomata w centrum Sztokholmu, w bogatej dzielnicy Östermalm, z charakterystycznymi pałacowymi willami z lat 20. i późniejszymi rezydencjami, gdzie mieszczą się również ambasady.

⁷⁴ Hakonbolaget – spółka Hakona Swensona (1883–1960), założona w 1917 r. w Västerås, zrzeszająca trzy centrale prywatnych kupców współpracujących w ramach ICA.

⁷⁵ ‘Dziewczęca Gwardia’ – początkowo (1962–1964) jako Euterpe – orkiestra dęta założona w Västerås przez muzyka wojskowego i dyrygenta Hildinga Ahrborna (1912–1987), pod koniec lat 90. przemianowana na Damy Hildinga i koncertująca jako big-band.

⁷⁶ Odmiana ogórków uprawianych w Västerås po pożarze miasta w 1714 r., który „zrobił miejsce” pod ich uprawę.

⁷⁷ *Spola kröken* – jedno z haseł kampanii antyalkoholowej państwowej sieci sklepów monopolowych we współpracy z organizacjami sportowymi w latach 1971–1988, które znalazło się m.in. na reklamówkach. Później zastąpiono je innym: „Nie, dziękuję, uprawiam sport”.

⁷⁸ Svenska Byggnadsarbetareförbundet – Szwedzki Związek Pracowników Budowlanych.

⁷⁹ *Fröken Fräken* (1964) – szlagier lat 60. Thorego Skogmana (1931–2007), piosenkarza, kompozytora, tekściarza, aktora i muzyka, autora ponad 1200 piosenek.

⁸⁰ Wychodzący od 1946 r. kolorowy tygodnik dla kobiet.

⁸¹ Svenska Industritjänstemannaförbundet – Szwedzki Związek Pracowników Umysłowych Przemysłu.

⁸² Farbror Blå – postać z bajki Elsy Beskow *Tant Grön, tant Brun och tant Gredelin* (‘Ciocia Zielona, ciocia Brązowa i ciocia Liliowa’).

⁸³ *Ingeborg, Ingeborg...* Lennarta Hellsinga (1919–2015), uznanego twórcy szwedzkiej literatury dziecięcej, autora popularnej i ciągle wznawianej książeczki obrazkowej *ABC* (1961, z ilustr. Poula Ströyera), zbioru rymowanek zaczynających się kolejnymi literami alfabetu, która doczekała się wersji telewizyjnej i filmowej.

⁸⁴ ‘Gotujmy drogę Panu’ – Psalm 53 z *Den svenska psalmboken* (1937, ‘Szwedzka księga psalmów’) Fransa Michaela Franzena (1812, wersja popr. 1817) o wjeździe Jezusa do Jerozolimy wg Ewangelii św. Mateusza 21,11 i nast.

⁸⁵ Wyrażenie prawdopodobnie odsyła do wyznawców bogini Kali, sekty lub bractwa indyjskich dusicieli, którzy zaciągali jedwabny sznur na szyi swoich ofiar.

⁸⁶ Pieszczotliwa nazwa drużyny piłkarskiej Hammarby IF.

⁸⁷ ‘Slumsy na Söder’ – popularny szwedzki serial TV (1970) o perypetiach dwóch braci z dzielnicy slumsów w latach 30. XX w.

⁸⁸ ‘Nasza paczka’ – szwedzka komedia filmowa (1942) o grupie młodych, utalentowanych muzycznie ludzi z Söder.

⁸⁹ 37,5 cl.

⁹⁰ Barwy liberalno-konserwatywnej Umiarkowanej Partii Koalicyjnej (Moderaterna).

⁹¹ Podobieństwo fonetyczne. W szw. „Natasza” wymawia się „Nataszsza”, a „Tarzan” – „Taszszan”.

⁹² Clark Oderth Olofsson (ur. 1947), od 1991 r. Daniel Demuynck – były obywatel szwedzki, obecnie belgijski, znany z wielokrotnych wyroków m.in. za usiłowanie morderstwa, pobicia, rozboje i narkotyki, który pół życia przesiedział w więzieniach, nazywany największym popowym gangsterem w Szwecji.

⁹³ Zbiory rocznych felietonów Torstena Ehrenmarka (1919–1985) – szwedzkiego dziennikarza, felietonisty, pisarza i tłumacza – wydawane w latach 1966–1985 i wznawiane do 1995 r.

⁹⁴ Popularny w Szwecji śpiewany toast. *Helan* znaczy tyle co „pierwszy sznaps”.

⁹⁵ ‘Melodia walca’ – jeden z najbardziej znanych wierszy Nilsa Ferlina (1898–1961) z jego debiutanckiego tomiku *En döddansares visor* (1930, ‘Piosenki tancerza śmierci’), śpiewany do muzyki Lille Brora Söderlundha.

⁹⁶ ‘Staro-nowe’ – telewizyjny program rozrywkowy emitowany w latach 1971–1989, prowadzony przez Bossego Larssona, w którym prezentowano zespoły ludowe, muzykę pop, czasami muzykę religijną, występowali komicy i estradowcy.

⁹⁷ Lakritsbåtar – rodzaj słodczy o smaku słodkiej lukrecji w kształcie 2–3-centymetrowych kódek, produkowanych m.in. w szwedzkiej fabryce Aroma od 1928 r.

⁹⁸ Sven Joachim Eriksson Thåström (ur. 1957) – szwedzka ikona rocka, uprawiał punk i industrial, wokalista, instrumentalista i autor piosenek.

⁹⁹ Kawiarnioksięgarnia.

¹⁰⁰ Kommunistisk Ungdom – związek Młodych Komunistów założony w 1970 r. po rozpadzie Vänsterns Ungdomsförbund (VKF – Związek Młodzieży Lewicy), młodzieżówki VPK.

¹⁰¹ ‘Jezu, dziewczyny, wolność tuż-tuż’ – tytułowy song ze sztuki Margarety Garpe i Suzanne Osten (muzyka: Gunnar Edander), wydany na płycie w 1974 r.

¹⁰² ‘Projekt Namiot’ albo ‘Są nas tysiące’ – udratyzowana historia szwedzkiego ruchu robotniczego, widowisko teatralno-muzyczne pokazywane w latach 1977–1981 w Szwecji i w Danii, zarejestrowane na taśmie filmowej i płytach LP i CD.

¹⁰³ Nawiązanie do albumu *Elden är lös* (‘Pali się’) Mikaela Wiehe i Kabaréorkestern z 1979 r.

¹⁰⁴ Ove Rainer (1925–1987) – szwedzki prawnik, polityk, organizator imprez sportowych, dyr. generalny Centralnego Urzędu Pocztowego (1973–1982), minister sprawiedliwości (1982–1983), pozbawiony funkcji ministerialnej po ujawnieniu przez „Aftonbladet” jego (legalnych) transakcji handlowych, dzięki którym zmniejszył sobie podatek od milionowych przychodów i od majątku do 10 proc.

¹⁰⁵ Obs! – założona w 1963 r. pierwsza sieć hipermarketów dyskontowych Szwedzkiej Organizacji Spółdzielców w amerykańskim stylu. W 1976 r. powstaje Obs! Interiör, oferujący meble i wyposażenie domu. Od 2001 r. w Coop Forum.

¹⁰⁶ Folke Ivar Valter Fridell (1904–1985) – szwedzki pisarz robotniczy, robotnik, autor powieści poświęconych ludziom pracy, ich życiu i walce przeciwko różnym systemom ocen kompetencji, co opisał m.in. w na poły autobiograficznej ‘Ręce martwego mężczyzny’ (1946).

¹⁰⁷ ‘Państwo i kapitał’ (Ebba Grön).

¹⁰⁸ ‘Zbróćcie się’ (Ebba Grön).

¹⁰⁹ ‘Kim będziesz?’ (Ebba Grön).

¹¹⁰ Wychodzący od 1929 r. popularny tygodnik dla kobiet, z poradami domowymi, przepisami kulinarnymi, krzyżówkami, horoskopami itp.

¹¹¹ Pismo opiniotwórcze założone w 1970 r. przez Hansa Nestiusa, współpracujące jako non profit z tzw. związkiem R reprezentującym środowiska osób wykluczonych, stawiające na

reportaż i dziennikarstwo śledcze. Od kilku lat własność prywatna.

[112](#) IB – pełna nazwa sporna, Informations byrån (‘Biuro Informacji’) lub Inhämtning Birger (‘Zbieranie info. Birger’), od imienia szefa, Birgera Elméra – utworzona w 1965 r. szwedzka tajna komórka wywiadowcza podlegała Sztabowi Obrony, która oprócz działań wywiadowczych zajmowała się infiltracją komunistów i ich związków z „obcymi siłami”. Od 1974 r., po serii publikacji prasowych (tzw. afera IB), oficjalnie w Sztabie Obrony.

[113](#) Północno-wschodnia dzielnica Västerås.

[114](#) Pierwsze gimnazjum w Szwecji, założone w 1623 r. w Västerås przez biskupa Johannes Johanna Rudbeckiusa (1581–1646).

[115](#) Osiedle starych drewnianych domów w centrum Västerås.

[116](#) *Gröna vågen* – w latach 70. trend przenoszenia się młodych z wielkich miast na prowincję. To trzecia zielona fala, po pierwszej w latach 1780–1820 i drugiej w latach 1890–1920. Dzięki polityce kontrurbanizacji w wyborach do Riksdagu w 1973 i 1976 r. Partia Centrum zdobyła ok. 25 proc. głosów i w 1976 r. tekę premiera objął Thorbjörn Fälldin.

[117](#) Smörgårstårter – wafle pszenne, wypiekane od 1935 r. pod Göteborgiem, bez dodatku cukru, o neutralnym smaku, używane do kanapek.

[118](#) Popularne w Szwecji w latach 1955–1975 trio sióstr Norén.

[119](#) Ingemar Mundebo (ur. 1930) – członek Ludowej Partii Liberalistów (od 2015 r. Liberalowie), minister gospodarki ds. budżetu w latach 1976–1980.

[120](#) Percy Barnevik (ur. 1941) – szwedzki biznesmen, dyrektor naczelny wielu koncernów, m.in. Asea (1980–1987), ABB Asea Brown Boveri (1989–1996), Astra Zeneca, zaangażowany w działalność międzynarodowej organizacji charytatywnej Hand in Hand.

[121](#) Największy w Szwecji wydawca pocket-booków, obecny na rynku od 1980 r., z charakterystycznym logo – białym księżycem na niebieskim tle.

[122](#) Tumba-Tarzan, właśc. Rolf Eskil Johansson (1925–1978) – szwedzki włamywacz, który w 1954 r. zasłynął tym, że przez ponad pół roku uciekał przed policją.

[123](#) Sieć restauracji fastfoodowych.

[124](#) Östen Warnerbring (1934–2006) – szwedzki piosenkarz, instrumentalista, kompozytor, tekściarz i artysta estradowy, m.in. pisał muzykę do wierszy znanych szwedzkich poetów i prowadził listę przebojów w Szwedzkim Radiu.

[125](#) Popularny cykliczny program telewizyjny o poszukiwanych przestępcach i niewyjaśnionych zbrodniach, emitowany w TV3 w latach 1990–2015, od 2015 r. w TV8.

[126](#) Danie z brązowej gotowanej fasoli z dodatkiem mąki ziemniaczanej, octu i syropu.

[127](#) ‘Pilznerowe kielbaski Bullena’ – gotowane kielbaski w puszcze, które zaczęto produkować w 1953 r. w związku z epidemią salmonelli, obecnie produkowane w Scan. Nazwa pochodzi od pseudonimu aktora grającego w komediach klasy B, tzw. pilznerowych, Erika Berglunda, znanego również jako autor książek kucharskich. Oczywiście w składzie produktu

nie ma piwa.

[128](#) Kjell-Olof Feldt (ur. 1931) – minister handlu w gabinecie Olofa Palmego (1970–1975), minister finansów w gabinetach Olofa Palmego i Ingvara Carlssona (1983–1990), parlamentarzysta (1971–1990).

[129](#) Erik Åsbrink (ur. 1947) – wiceminister finansów w gabinecie Ingvara Carlssona (1990–1991), minister finansów w gabinecie Görana Perssona (1996–1999).

[130](#) Nawiązanie do makabrycznego monologu *Bunta ihop dom* w genialnej interpretacji Larsa Ekborga z rewii Beppego Wolgera *Klotter* ('Gryzmoły') wystawionej w sztokholmskim Maximteater w 1968 r. i zarejestrowanej na trzech płytach.

[131](#) Inga Thorsson (1915–1994) – szwedzka dyplomatką, przewodnicząca socjaldemokratycznego związku kobiet, ambasadorka Szwecji w Izraelu (1964–1966, 1967–1970) i przy ONZ (1966, 1970–1982), przewodnicząca delegacji szwedzkiej na konferencji rozbrojeniowej w Genewie (1974–1982).

[132](#) 10 marca 1976 r. Astrid Lindgren opublikowała w popołudniówce „Expressen” bajkę satyryczną *Pomperipossa i Monismanien* ('Pomperipossa w Monismanii') wymierzoną w absurdy szwedzkiego systemu podatkowego, co opisała na własnym przykładzie, kiedy okazało się, że będzie musiała zapłacić 102 proc. podatku od najwyższej części dochodu. Bajka stała się przyczynkiem do debaty parlamentarnej i wpłynęła na wyniki wyborów do Riksdagu w 1976 r. Po raz pierwszy od 40 lat socjaldemokraci stracili władzę.

[133](#) Olof Palme.

[134](#) Thorbjörn Fälldin.

[135](#) Gösta Knutsson, *Filonek Bezogonek i jamnik Janik*.

[136](#) 'Noworoczne dzwony' – wiersz Alfreda Tennysona *Ring out, wild bells* w szwedzkim przekładzie Edvarda Fredina, od 1895 r. wykonywany publicznie o północy w Nowy Rok, początkowo w Skansenie, później w radiu i telewizji. Margaretha Krook czytała go w latach 1997–2000.

[137](#) Luthagen – dzielnica Uppsali.

[138](#) Hammarby IF Bandyförening – sekcja bandy w Hammarby IF.

[139](#) Brytyjskie nici bawełniane J.&P. Coats Bear cotton thread, skręcane podwójnie z dziewięciu nitok, nazwa pochodzi od wizerunku niedźwiedzia na szpulce.

[140](#) 'Mój skarbiec' – wydawana od 1947 r., wznawiana i uzupełniana seria dziesięciu książek dla dzieci (3–14 lat) zawierających bajki, piosenki i rymowanki. Od 1987 r. wychodzi również *Min nya skattkammare* ('Mój nowy skarbiec').

[141](#) *Får jag lämna några blommor* ('Czy mogę zostawić kilka kwiatów'). W 1939 r. Lille Bror Söderlundh napisał do niego muzykę.

[142](#) 'Śpij w moich ramionach' – pierwsze słowa piosenki Everta Taubego *Nocturne* (1948).

[143](#) Administracyjna i przemysłowa dzielnica Västerås.

Przekład: Halina Thylwe
Redakcja: zespół
Korekta: Agnieszka Gzylewska, Magdalena Matuszewska

Projekt okładki: Bogdan Kuc
Zdjęcie wykorzystane na I stronie okładki: © Thomas Barwick/Iconica/Getty Images

Skład i łamanie: Plus 2 Witold Kuśmierczyk

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-391 Warszawa, al. 3 Maja 12
tel./faks (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-4774-7

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo